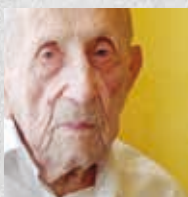


POLSKA ZRODZINA

nr 9 (881)
WRZESIEŃ 2019

ISSN 0867-4523



**STANISŁAW
LEŚKO**

Nigdy nie
zdradziłem
słów przysięgi

80.

rocznica wybuchu

**II WOJNY
ŚWIATOWEJ**

TEMAT NUMERU

**Wszystkie scenariusze
Września '39 według Janusza
Odziemkowskiego, Jerzego
Kirszaka i Jakuba Polita**

POLACY, DO BRONI!

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



1.09 - 18.11 2019 r.

Druga edycja kampanii honorowego krwiodawstwa organizowana przez
Stowarzyszenie Honorowych Dawców Krwi Legion i Wojskowy Instytut Wydawniczy



PATRONAT HONOROWY
Mariusz Błaszczak
Minister Obrony Narodowej



Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

**NIEPODLEGŁA
MAMY WĘ KRWI**

Zaplanuj swoje donacje z nami - wygraj cenne nagrody!

Gdzie i kiedy:

Krew będziemy zbierać od 1 września do 11 listopada 2019 r. Wówczas odbędzie się 50 akcji krwiodawstwa, które zorganizują z nami jednostki Wojska Polskiego oraz kluby HDK. Ale to nie wszystko! Do kampanii będziesz mógł dołączyć każdego dnia w dowolnym Centrum Krwiodawstwa. Wystarczy, że zarejestrujesz swoją donację na Portalu Legion lub w aplikacji „Legion Bohaterów - Honorowi Dawcy Krwi” i weźmiesz udział w konkursie.

Konkurs z nagrodami:

Konkurs potrwa 71 dni. Oznacza to, że swoje donacje możesz zaplanować w taki sposób, aby dwukrotnie oddać krew w ramach naszej kampanii. To podwójna pomoc tym, którzy potrzebują Twojej krwi. To także podwójna szansa na nagrody dla Ciebie. Każdego dnia wybierzemy pięciu krwiodawców, którzy zostaną nagrodzeni. Z kolei na koniec kampanii wylosujemy szczęśliwców, którzy zdobędą atrakcyjne nagrody. Wśród nich będą między innymi: pióro z faksymile Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, skoki w tandemie z komandosami JWK czy biżuteria. Łącznie nagrodzimy aż 400 krwiodawców.

Jak dołączyć do kampanii:

Więcej informacji znajdziesz na Portalu Legion: www.legionhdk.pl



ORGANIZATORZY:

PATRONI MEDIALNI:

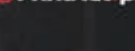
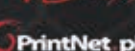
WSPIERAJĄCY KAMPANIĘ:



PREZIDENT PL



ENIGMA



80.
rocznica wybuchu
II WOJNY
ŚWIATOWEJ



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



**ZNISZCZENIE POLSKI JEST
NASZYM PIERWSZYM ZADANIEM.
[...] BĄDŹCIE BEZ LITOŚCI, BĄDŹ-
CIE BRUTALNI”, TYMI SŁOWAMI**

**ADOLF HITLER ZWRÓCIŁ SIĘ DO NIEMIECKICH
DOWÓDCÓW TUŻ PRZED WYBUCEM
II WOJNY ŚWIATOWEJ.**

W tym konflikcie faktycznie bezwzględność agresorów – III Rzeszy, ale i Rosji sowieckiej – była bezprecedensowa. Polscy żołnierze zmierzli się wówczas z atakiem z dwóch stron. Historycy, na przykład Marian Porwit czy Jerzy Adam Łojek, surowo ocenili działania władz i dowództwa polskiego podczas kampanii wrześniowej. Nie zmienia to faktu, że polscy żołnierze walczyli do końca. Najpierw we Wrześniu '39. Później na wszystkich frontach II wojny światowej wykazywali się bohaterstwem, odwagą i sprytem. Walczyli o honor swój i swojego narodu.

Weterani II wojny światowej są jeszcze wśród nas. Kontakty z nimi to niezwykle cenne doświadczenie dla naszej redakcji. Od lat publikujemy wywiady z ludźmi, którzy walczyli na wielu frontach, przeżyli nazistowskie obozy koncentracyjne i sowiecką zsyłkę. Teraz ich wspomnienia wydaliśmy w formie książki „Jedno z moich imion brzmi życie”. „Do dziś śnią mi się po nocach spływający krwią pokład »Gryfa« i porozrzucane na przybudówkach szczątki moich kolegów po którymś z kolei nalocie Luftwaffe”, to słowa jednego z bohaterów, Stanisława Pyrka, który we wrześniu 1939 roku na pokładzie ORP »Gryf« brał udział w wielkiej bitwie z niemieckim lotnictwem. Pełne emocji wypowiedzi pokazują, jak żywe są to wspomnienia. Weterani dzielą się nimi, abyśmy nie zapomnieli, aby te doświadczenia były zarówno przestrogą, jak i lekcją dla współczesnego pokolenia.

O II wojnie światowej na łamach wrześniowego numeru dyskutują historycy: prof. Janusz Odziemkowski, dr Jerzy Kirszak i dr hab. Jakub Polit. W debacie poświęconej walkom we wrześniu 1939 roku podkreślają, że w całej Europie nikt, nie tylko Polska, nie mógł skonfrontować się z Niemcami, bo nie był przygotowany do wojny błyskawicznej. Przedstawiają również mocne i słabe strony ówczesnej polskiej armii oraz układ sił w czasie wojny obronnej. Znakomitym uzupełnieniem debaty jest mapa, którą załączamy do numeru. Pokazuje ona pozycje polskich wojsk oraz prezentuje sylwetki dowódców Września '39. ■



PIOTR KORCZYŃSKI,
TADEUSZ WRÓBEL

12 Do broni!

Debata historyków
na temat Września '39

ROBERT SENDEK

20 Robot w akcji

MACIEJ NOWAK-KREYER

24 Z fasonem na front

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

28 Skok na bardzo głęboką wodę

Nurkowie w wojskach
specjalnych

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

34 Oko na Europę

Rozmowa z Norbertem
Bąkiem

MICHAŁ ZIELIŃSKI

38 Gotowi na Liban

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

42 Terapia pokoleń

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

46 Przecieranie szlaków

MAREK BUDZISZ

50 Propagandowy wyścig zbrojeń

Rosyjskie władze wspierają
zbrojeniówkę

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

56 Nowy pancerz Unii

TADEUSZ WRÓBEL

60 Ambitny cel Ankary

KRZYSZTOF WILEWSKI

66 Odrzutowi żołnierze

TOMASZ OTŁOWSKI

68 Na Zachodzie fala zmian

TADEUSZ WRÓBEL

74 Zbrojeniówka w cieniu polityki

TOMASZ OTŁOWSKI

78 Bomba tyka

Radykalne działania Turcji
wobec uchodźców

MICHAŁ ZIELIŃSKI

84 Wypadki się zdarzają

ROBERT SENDEK

85 Małżeństwo z rozsądku

ROBERT CZULDA

88 Dogonić Wielkiego Brata

MICHAŁ BOGUSZ

91 Portowe manewry

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

93 Przeciąganie liny

Rozmowa z Jędrzejem
Czerepem





HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

96 Nigdy nie zdradziłem słów przysięgi

Rozmowa
ze Stanisławem Leśką

ROBERT SENDEK

102 Ostatnia bitwa leśnych ludzi

TOMASZ OTŁOWSKI

106 Umarły dla świata

MAGDALENA

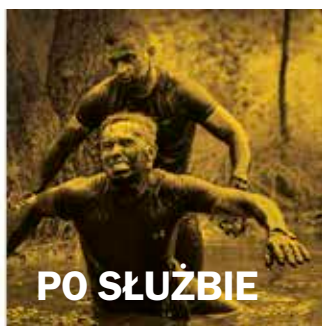
KOWALSKA-SENDEK

112 Jesteśmy jak oni

PIOTR KORCZYŃSKI

114 Nie bałam się Niemców

Rozmowa z Aliną Dąbrowską



PO SŁUŻBIE

MICHAŁ ZIELIŃSKI

118 Zmieszaj się z błotem

Bieg Katorżnika

PIOTR KORCZYŃSKI

124 Śląskie sceny z życia

Rozmowa z Józefem Kłykiem

ANDRZEJ FAŁARA

130 Ucieczka „Orła”



Zdjęcie na okładce:
Żołnierz na letnich
manewrach Wojska
Polskiego, 1938 rok,
Narodowe
Archiwum Cyfrowe

Znajdziesz nas tutaj:



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,

Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Michał Bogusz, Marek Budzisz,

Robert Czulda, Andrzej Fafara, Krzysztof Kubiak,

Maciej Nowak-Kreyer, Tomasz Otłowski,

Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,

Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;

Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Agnieszka

Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Marta Szulc,

Małgorzata Szustkowska, tel.: 261 845 387, 261 845 180,

faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 26.08.2019 r.

DRUK

ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym
prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,
dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



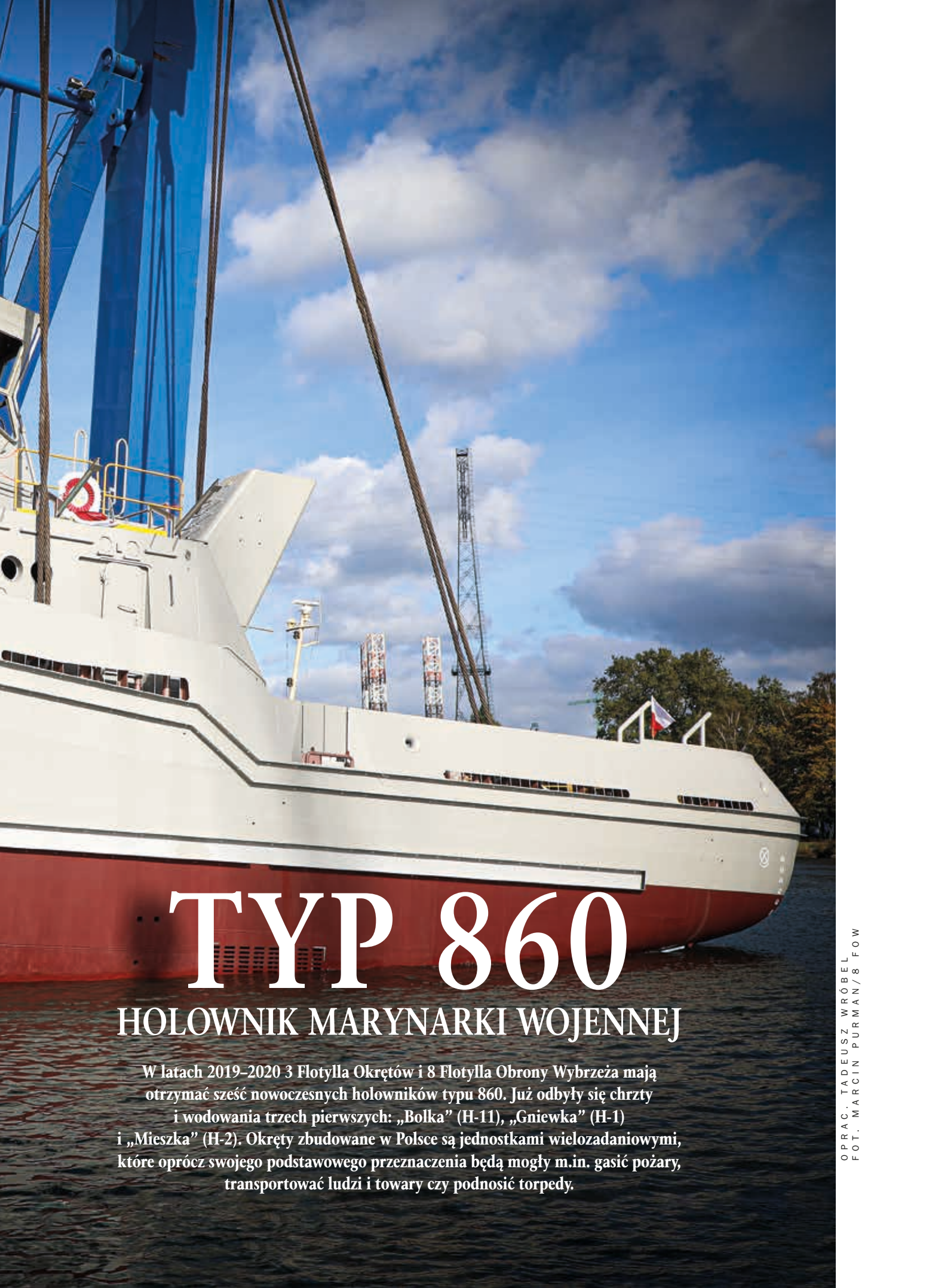
Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.

Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska
Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje
regulamin dostępny na stronie głównej portalu
polska-zbrojna.pl.



- Wyporność – do 490 t
- Długość całkowita – 29,2 m
- Szerokość – 10,4 m
- Wysokość na śródokręciu – 4,95 m
- Uciąg – 35 t
- System napędowy – 2 silniki główne, każdy o mocy 1200 kW; 2 pędniki azymutalne, każdy o mocy 1200 kW, FP
- Załoga – 10 osób

Nowością w MW jest wyposażenie holownika w eskortową wciągarkę holowniczą na dziobie i rufowe pędniki azymutalne.



TYP 860

HOŁOWNIK MARYNARKI WOJENNEJ

W latach 2019–2020 3 Flotylla Okrętów i 8 Flotylla Obrony Wybrzeża mają otrzymać sześć nowoczesnych holowników typu 860. Już odbyły się chrzty i wodowania trzech pierwszych: „Bolka” (H-11), „Gniewka” (H-1) i „Mieszka” (H-2). Okręty zbudowane w Polsce są jednostkami wielozadaniowymi, które oprócz swojego podstawowego przeznaczenia będą mogły m.in. gasić pożary, transportować ludzi i towary czy podnosić torpedy.

W DEFILADZIE

UCZESTNICZYŁO 2600 ŻOŁNIE-
RZY, ZAPREZENTOWANO
TEŻ 185 JEDNOSTEK SPRZĘTU
ORAZ 60 SAMOLOTÓW
I ŚMIGŁOWCÓW.

MICHAŁ NIWICZ

Gwiazdki generalskie

Pięciu oficerów w Święto WP odebrało z rąk prezydenta akt mianowania na wyższy stopień.

Na stopień generała dywizji awansowani zostali: gen. bryg. Sławomir Kowalski, dowódca Centrum Operacji Lądowych – Dowództwa Komponentu Lądowego, oraz gen. bryg. Krzysztof Radomski, dowódca 16 Dywizji Zmechanizowanej. Pierwszą generalską gwiazdkę otrzymali: płk Artur Jakubczyk, zastępca dowódcy 18 Dywizji Zmechanizowanej, oraz płk pil. Krzysztof Walczak, dowódca 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego. Kmdr Piotr Nieć, dowódca 8 Flotylli Obrony Wybrzeża, został awansowany na stopień kontradmirała. Nominacje generalskie oficerom wręczył prezydent Andrzej Duda, a z rąk



Prezydent RP
wręczył odznaczenia,
m.in. Medal 100-le-
cia Odzyskania Nie-
podległości.

Mariusza Błaszczaka, ministra obrony narodowej, oficerowie otrzymali buzdygany honorowe i pierścienie generalskie. „Wstąpienie do korpusu generalicji i admiralicji Rzeczypospolitej Polskiej to awans do elity Wojska Polskiego”, mówił zwierzchnik Sił Zbrojnych RP. W czasie uroczystości z okazji Święta Wojska Polskiego prezydent wręczył też odznaczenia, m.in. Medal 100-lecia Odzyskania Niepodległości. Wśród uhonorowanych byli: Robert Ciupa, dyrektor Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności, Sławomir Czyż, prezes Stowarzyszenia Pokolenie NZS, oraz Marcin Krupa, prezydent miasta Katowice. EK/PZ ■



MICHAŁ NIWICZ

Świętujemy

Po raz pierwszy oficjalne obchody Święta Wojska Polskiego odbyły się w Katowicach.

Wszystko po to, aby oddać hołd nie tylko uczestnikom Bitwy Warszawskiej, lecz także powstańcom śląskim. „Polski Górny Śląsk to wielkie dzieło trzech śląskich powstań, które doprowadziły do tego, że ta ziemia stała się częścią Rzeczypospolitej Polskiej”, mówił prezydent Andrzej Duda. Zwrócił się też do żołnierzy: „Dziękuję wam za trud, jaki wkładacie w codzienną służbę dla ojczyzny, za poświęcenie i gotowość oddania życia.

Życzę wam wszystkim, aby Wojsko Polskie rozwijało się pomyślnie i rośło w siłę”. Do wspólnego świętowania razem z wojskiem zachęcał minister obrony Mariusz Błaszczak: „Pokażmy dumę z tego, że jesteśmy Polakami, podziękujmy żołnierzom za ich codzienną służbę”. Mieszkańcy kilkunastu miast na wojskowych piknikach mogli spotkać się z żołnierzami oraz obejrzeć czołgi, śmigłowce, wozy opancerzone i samoloty. PZ/MM ■

NIE TYLKO RAKI

Moździerze, które trafiły do żołnierzy już w 2017 roku, są częścią **kompanijnych modułów ogniowych**. Teraz przyszedł czas na kolejny element tego systemu.

Umowa na dostawę 24 artyleryjskich wozów amunicyjnych dla kompanijnych modułów ogniowych 120-milimetrowych moździerzy samobieżnych Rak została zawarta między Inspektorem Uzbrojenia MON a Hutą

Stalowa Wola. Zakład ma wyprodukować sprzęt do 2020 roku. Artyleryjski wóz amunicyjny to je-

den z elementów kompanijnego modułu ogniowego, na który składają się osiem moździerzy samobieżnych M 120 Rak, cztery artyleryjskie wozy dowodzenia, dwa artyleryjskie wozy rozpoznania oraz komponenty logistyczne, czyli artyleryjski wóz remontu, wóz zabezpieczenia technicznego i właśnie trzy wozy amunicyjne. PR/PZ ■



**SAMOBIEŻNY
MOŹDZIERZ
KALIBRU 120 MM
RAK JEST
ORYGINALNĄ
POLSKĄ
KONSTRUKCJĄ.**

WCZEŚNIEJ NA EMERYTURĘ

Prezydent podpisał nowelizację ustawy emerytalnej. Żołnierze, którzy wstąpili do wojska po 2012 roku, będą mogli przejść na emeryturę po 25 latach służby bez konieczności ukończenia 55 lat.

Jeszcze do 1 lipca tego roku żołnierze zawodowi, którzy rozpoczęli służbę po 31 grudnia 2012, musieli spełnić łącznie dwa kryteria uprawniające ich do świadczenia emerytalnego. To 55 lat życia i co najmniej 25-letni staż służby. Analogiczne przepisy obowiązywały w służbach podległych MSWiA. W tym ostatnim resorcie jednak już w ubiegłym roku rozpoczęły się prace nad zmianami w systemie emerytalnym. Chodziło o rezygnację z wymogu ukończonych 55 lat przy przechodzeniu na emeryturę i pozostawienie jako jedynego warunku otrzymywania świadczenia

25-letniego stażu służby. Przygotowany projekt nowelizacji sygnowany przez MSWiA nie uwzględniał jednak żołnierzy. Dlatego z propozycją wprowadzenia analogicznych zmian w stosunku do wojskowych zwrócili się do ministra obrony narodowej przedstawiciele Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych. Ostatecznie MON włączyło się do prowadzonych prac legislacyjnych.

Rządowy projekt nowelizacji ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym służb mundurowych został przyjęty przez rząd na początku lipca. W sierpniu nowelizację pod-

pisał prezydent Andrzej Duda (ustawa z 19 lipca 2019 roku o zmianie ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjonariuszy Policji,

PRZEPISY OBOWIAZUJĄ OD 1 LIPCA 2019 ROKU

Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Służby Wywiadu Wojskowego, Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Straży Granicznej, Służby Ochrony Państwa, Państwo-

wej Straży Pożarnej, Służby Celno-Skarbowej i Służby Więziennej oraz ich rodzin oraz niektórych innych (ustaw).

Nowelizacja zakłada rezygnację z wymogu ukończonych 55 lat przy przechodzeniu na emeryturę i pozostawienie jako jedynego warunku otrzymywania świadczenia 25-letniego stażu służby. Przepisy dotyczą tylko tych żołnierzy, którzy wstąpili do wojska po 31 grudnia 2012 roku. Tych, którzy służbę rozpoczęli wcześniej, obowiązują stare zasady – mogą oni przejść na emeryturę już po 15 latach służby wojskowej. PG ■

DO WYNAJĘCIA

W Wielkopolsce ruszył pilotażowy program „Mieszkanie dla terytorialsa”.

Zaspokajanie w pierwszej kolejności potrzeb żołnierzy zawodowych to jedno z najważniejszych zadań Agencji Mienia Wojskowego. Aby lokale nie stały puste, postanowiliśmy udostępnić je żołnierzom wojsk obrony terytorialnej”, wyjaśnia Krzysztof Dembiński, dyrektor oddziału AMW w Poznaniu. Z takiego rozwiązania bardzo zadowolony jest płk Rafał Miernik, dowódca 12 Wielkopolskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Tak powstał pilotażowy program „Mieszkanie dla terytorialsa”. Dzięki niemu znajdujące się w zasobach Agencji Mienia Wojskowego mieszkania będą mogli wynajmować ochotnicy, którzy służą w szeregach wojsk obrony terytorialnej.

AMW udostępniła terytorialsom lokale w Swarzędzu, Śremie, Witkowie i Kruszewni.

Aby wynająć mieszkanie, żołnierz musi spełnić kilka warunków – służyć w 12 Wielkopolskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej, cieszyć się dobrą opinią przełożonych, mieć stałe źródło dochodów (umowa o pracę lub działalność gospodarcza), a także wpłacić kaucję w wysokości trzymiesięcznego czynszu. Każda umowa najmu jest zawierana na rok, z możliwością przedłużenia do trzech lat, pod warunkiem że w tym czasie najemca nadal będzie żołnierzem WOT-u. Szer. Andrzej Jungermann, jako pierwsza osoba objęta tym programem, odebrał już klucze do swojego nowego lokum w Swarzędzu. PZ/MM ■





Śląskie tradycje



W. KRÓL / CO MON

Przysięga terytorialsów oraz apel z okazji przejęcia tradycji przez 13 Śląską Brygadę Obrony Terytorialnej odbyły się w katowickiej dzielnicy Nikiszowiec z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy oraz ministra Mariusza Błaszczaka. Podczas uroczystości szef MON-u wręczył płk. Tomaszowi Białasowi, dowódcy 13 ŚBOT, decyzję o nadaniu jednostce imienia patrona. Został nim ppłk Tadeusz Puszczyński „Wawelberg”, uczestnik III powstania śląskiego. Brygada przejęła tradycje oddziałów i grup walczących o przyłączenie Śląska do Polski. Z rąk gen. dyw. Wiesława Kukuły, dowódcy wojsk obrony terytorialnej, płk Białas otrzymał też proporce rozpoznawcze, których barwy nawiązują do opasek noszonych przez powstańców śląskich w stopniach oficerskich. Podczas uroczystości decyzją ministra Błaszczaka na stopień kapitana mianowano por. Krystynę Koczy, łączniczkę Armii Krajowej, która po wojnie zajmowała się m.in. pomocą dla więźniów politycznych. PG/PZ ■

NA DYŻURZE

Piloci F-16 z 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego znowu pełnią dyżur bojowy NATO w Łasku.

Baza w Łasku przez ponad dwa lata nie prowadziła dyżuru bojowego ze względu na remont pasa startowego. Modernizacja polegała na m.in. wydłużeniu drogi startowej do 3 km, a także wzmocnieniu nawierzchni tak, by mogły tam lądować nawet ciężkie samoloty transportowe. „Łask jest dziś jednym z najnowocześniejszych lotnisk wojskowych w Europie, przygotowanym do tego, by przyjmować największe i najcięż-

sze statki powietrzne”, mówił minister obrony Mariusz Błaszczak na spotkaniu z pilotami, którzy jako pierwsi pełnią dyżur bojowy w Łasku.

Przez dwa lata łascy lotnicy dyżurowali w bliźniaczej bazie w Krzesinach. „To nie był łatwy czas. Piloci nie tylko byli przebazowani, ale też brali udział w misjach rozpoznawczych nad Irakiem”, mówił gen. bryg. pil. Jacek Pszczółka, inspektor sił powietrznych. PZ/KE ■

Awans generała



Gen. dyw. Piotr Błazeusz będzie odpowiadał za planowanie strategicznego użycia sojusznich sił w operacjach NATO oraz Unii Europejskiej.

Gen. dyw. Piotr Błazeusz został zastępcą szefa sztabu ds. strategicznego rozwoju i przygotowań w Naczelnym Dowództwie Sojusznich Sił w Europie (Supreme Headquarters Allied Powers Europe – SHAPE) w Mons w Belgii. To najwyższe stanowisko w strukturze dowodzenia NATO zajmowane przez polskiego oficera. Zespół pod kierownictwem generała zajmie się m.in. planowaniem i prowadzeniem szkoleń oraz ćwiczeń,

a także analizą rozwoju zdolności militarnych Sojuszu.

Generał wcześniej był szefem sztabu w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Służył również m.in. w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej, a także na stanowisku specjalisty ds. NATO w Sekretariacie Sekretarza Stanu MON czy zastępcy attaché obrony wojskowego, morskiego i lotniczego przy Ambasadzie RP w Waszyngtonie. PZ/MS/PG ■

**TEMAT
NUMERU**

/ WRZESIEŃ '39



DO BRONI!

*Z Januszem Odziemkowskim,
Jerzym Kirszakiem i Jakubem Politem
o wszystkich scenariuszach Września '39
rozmawiają Piotr Korczyński i Tadeusz Wróbel.*

Obsługa cięż-
kiego karabinu ma-
szynowego 7,92 mm
„Browning” wz. 30 na sta-
nowisku podczas obrony
Warszawy. Skrzyżowanie
Alej Jerozolimskich
i ulicy Marszałkow-
skiej





PROF. JANUSZ ODZIEMKOWSKI

Profesor nauk historycznych. Zajmuje się głównie historią wojskowości, historią XIX wieku i współczesnymi konfliktami zbrojnymi. Wykładowca na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

W

porę rozpoczęty odwrót po bitwie granicznej na początku września 1939 roku uniemożliwił Wehrmachtowi zniszczenie polskiej armii. Niemcy rozpoczęli pościg, ale zaskoczeniem dla nich

była kontrofensywa gen. dyw. Tadeusza Kutrzeby nad Bzurą. Dowódca armii „Poznań” znacznie wcześniej chciał uderzyć na północne skrzydło Grupy Armii Południe, ale sprzeciwiał się temu marszałek Edward Rydz-Śmigły. Czy obrona przez atak nie przyniosłaby nam lepszych efektów?

Janusz Odziemkowski: Co by nam to dało? Być może dzięki bardziej ofensywnym działaniom zyskalibyśmy kilka dni, ale przecież do przełamania naszych pozycji doszło daleko od ewentualnego miejsca uderzenia gen. Kutrzeby, bo korpus pancerny zrobił to pod Piotrkowem dwa, trzy dni później. Kiedy on chciał atakować, front był jeszcze mniej więcej stabilny, a armia „Poznań” była w trakcie odwrotu znad granicy, nieskoncentrowana do uderzenia. Armia „Pomorze”, która właśnie

poniosła klęskę w Borach Tucholskich, znajdowała się daleko i nie mogła wzmocnić uderzenia. Kutrzeba dysponowałaby tak naprawdę tylko dwoma dywizjami. Nawet gdyby zdołał zaskoczyć przeciwnika i przełamać w jakimś punkcie front, Niemcy szybko by się zorientowali, że mają przed sobą niewielkie siły polskie. Mieliby wówczas możliwość błyskawicznego manewru lotnictwem i oddziałami zmotoryzowanymi, zatem ewentualny sukces polski dotyczyłby niewielkiego terenu i byłby krótkotrwały. Nie zapominajmy też o innych frontach, które ugiwały się pod niemieckim naporem. Zaczynały się łamać nasze skrzydła – armia „Modlin” na północy i armia „Kraków” na południu przystąpiły do odwrotu.

Naczelny Wódz miał odwody, które mógł rzucić do kontrnatarcia.

Janusz Odziemkowski: Rzeczywiście większe korzyści prawdopodobnie dałoby planowane uderzenie części armii „Prusy” na skrzydło wojsk niemieckich pod Piotrkowem. To także nie zahamowałoby na długo marszu wojsk niemieckich, ale zważywszy na to, co zrobił jeden pułk polski... Otóż zaatakował Niemców, bo nie otrzymał na czas rozkazu odwrotu. I chociaż w tymże ataku w więk-



NIEMCY PODKREŚLA- LI, ŻE POLSCY PIE- CHURZY W 1939 RO- KU BYLI LEPIEJ WY- SZKOLENI NIŻ ICH ŻOŁNIERZE. PROBLE- MEM W NASZEJ AR- MII BYŁO TO, ŻE NIE DOCENIANO WOJSK ZMOTORYZOWANYCH

szości wyginął, to zawrócił część jednej dywizji pancernej, gdyż nagle okazało się, że zagrożone zostały niemieckie tyły. Gdyby w to miejsce uderzyły większe siły polskie, być może walka przybrałaby inny obrót i zyskalibyśmy dzień, dwa na odcinku pod Warszawą.

Mieliśmy wtedy jakieś szanse, których nie wykorzystaliśmy?

Janusz Odziemkowski: Istnieją analizy sztabowców niemieckich sporządzone po zakończeniu kampanii, dotyczące tego, co mogło przedłużyć opór Polaków. Wskazano, że moglibyśmy wycofać się od razu na linie wielkich rzek i tam konstruować obronę. Dzięki temu skróciłaby się linia frontu i mielibyśmy dogodniejsze pozycje do walki. Pierwsze uderzenie niemieckie trafiłoby w pustkę, a dowództwo, po marszu znad granicy, musiałoby od początku planować nowe natarcie.

Jerzy Kirszak: Rydz-Śmigły, jeśli nawet nie był wybitnym wojskowym, zdawał sobie sprawę z tego, że rozciągnięcie sił zbrojnych wzdłuż całej granicy przeczy wszelkim zasadom sztuki wojennej. Skoro jednak mówimy o wycofaniu armii w głąb kraju – o tej niezrealizowanej koncepcji, która pojawiała się podczas planowania obrony – to musimy pamiętać, że nie chodziło o wycofanie wszystkich jednostek na

linię Narwi, Wisły i Sanu. Na granicy zachodniej pozostałyby oddziały kawalerii i Obrony Narodowej. To oczywiście byłyby stracone placówki, ale dzięki temu nie powstałoby wrażenie, że Polacy oddają swoje ziemie bez walki. Tak czy inaczej, tej kampanii w żadnym wypadku nie moglibyśmy wygrać.

Nie mieliśmy żadnych szans na skuteczną obronę, nawet jeśli nie wkroczyliby Sowieci. Jedyne mogłaby się ona przeciągnąć, może o tydzień.

Janusz Odziemkowski: Obrona Narodowa broniłaby się jeden dzień i te wszystkie oddziały zostałyby stracone bez większego efektu. Dobrze, że tego nie zrobiono. One byłyby odpowiednie do zabezpieczania tyłów czy obrony linii kolejowej, ale nie do walki frontowej. A jeśli tak, to tylko tam, gdzie rzeczywiście je umieszczano, czyli w miejscach, w których nie spodziewano się głównego uderzenia. Całe szczęście, że odrzucono tę koncepcję, bo to byłaby rzeź. Generalnie gdybyśmy się wycofali na linie wielkich rzek, to obrona kresów zachodnich okazałaby się najwyżej symboliczna i świat by jej nie widział. Zobaczyłby natomiast, że Polacy oddali część kraju bez walki. To w istocie była kwadratura koła, wzięwszy pod uwagę wszystkie względy polityczne i gospodarcze. Wystarczy wspomnieć, że oddanie Wielkopolski bez ewakuacji zapasów oznaczało, że nie tylko



wojsko, lecz także cały kraj w ciągu trzech miesięcy stanąłby przed widmem głodu, a po czterech miesiącach musielibyśmy kapitulować niezależnie od rezultatów walk. Trzeba było więc bronić się na ziemiach zachodnich, żeby ewakuować stamtąd, co się da. A następnie cofać się, osłaniając jak najdłużej centrum kraju.

Jakub Polit: Z całą pewnością w Sztabie Generalnym zdawano sobie sprawę z tego, że skrócenie frontu na linii Wisły, a potem Bugu byłoby optymalne, ale coś robić, kiedy względy polityczne na to nie pozwalają. Ponadto, wszystkie cele warte obrony znajdowały się na lewym brzegu Wisły. Istniało też kolejne niebezpieczeństwo – że jeśli nie spowodujemy interwencji sojuszników, to po co w ogóle ta kampania. Tymczasem panowała niemająca pokrycia w rzeczywistości, ale powszechna obawa o to, co się stanie, jeśli Niemcy osiągną granicę Rzeszy z 1914 roku i wówczas zażądają pokoju. Pamiętajmy, że Benito Mussolini usiłował w tym czasie doprowadzić do zwołania kolejnej konferencji międzynarodowej, jakiegoś następnego Monachium. Wiemy, jak relatywnie szybko nasi sojusznicy zareagowali na wybuch wojny – chodzi tutaj przede wszystkim o Brytyjczyków, bo postawa Francuzów zależała od tego, co zrobi Londyn – ale zapominamy o tym, pod jak ogromną presją byli nasi ambasadorowie w ciągu pierwszych godzin wojny. Nie ma w powszechnej świadomości znamiennej sceny, kiedy Winston Churchill telefonuje do ambasadora Edwarda Raczyńskiego, wzdycha i mówi: „Mam nadzieję, że Anglia dotrzyma swojego słowa...”.

Natychmiast nasuwa się pytanie, czy gdybyśmy się wycofali na linię wielkich rzek, Wielka Brytania i Francja wypowiedziałyby wojnę Niemcom.

Janusz Odziemkowski: Odwrót bez walki z politycznego punktu widzenia był złym rozwiązaniem, a dla polskiego społeczeństwa, wierzącego w potęgę państwa, nie do przyjęcia.

Kiedy uświadomiono sobie, że czeka nas klęska?

Janusz Odziemkowski: Marszałek zdał sobie sprawę z przegranej kampanii mniej więcej 7–8 września. Trzeba przyznać, że miał odwagę powiedzieć: „Kampania jest przegrana. Co robimy?”. Jedyną realną alternatywą stało się przedmoście rumuńskie, bo tam przynajmniej była możliwość, nie tylko teoretyczna, uzyskania zaopatrzenia od sojuszników. W Wielkiej Brytanii już ładowano na statki broń i sprzęt, które przez sojuszniczą Rumunię miały dotrzeć koleją do Polski.

Czy faktycznie obrona na przedmościu była realna?

Janusz Odziemkowski: Wielkim błędem w planowaniu działań na przedmościu, a także wcześniej, przy konstruowaniu obrony na granicach, było to, że nie brano pod uwagę

MICHAŁ NIWICZ



DR HAB. JAKUB POLIT

Adiunkt w Zakładzie Historii Powszechnej Najnowszej Wydziału Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bada m.in. Imperium Brytyjskie w stosunkach międzynarodowych XX wieku oraz ekspansję mocarstw w Azji Wschodniej w XIX i XX wieku.

możliwości manewrowych Wojska Polskiego. Przecież oddziały wycofujące się znad Pilicy, Wisły, a nawet Bugu miały do pokonania 400–600 km. Piechur musiałby maszerować miesiąc. A niemieckie jednostki zmotoryzowane mogły znaleźć się tam już 18–20 września. Trzeba jednak pamiętać, że nikt w Europie nie był przygotowany do takiej wojny błyskawicznej, jaką narzucili Niemcy.

Jakub Polit: Pamiętajmy, że przyszło nam walczyć z najlepszą wówczas armią świata.

Janusz Odziemkowski: I nikt do końca nie wiedział, jak ta wojna będzie wyglądać – ani Francuzi, ani Sowieci, ani nawet część dowództwa niemieckiego.

Jakub Polit: Cokolwiek byśmy zrobili i tak jesienią 1939 roku stwierdzono by, że zostaliśmy pokonani błyskawicznie, nawet gdyby kampania trwała do listopada.

Dlaczego w lipcu lub na początku sierpnia 1939 roku nie przeprowadzono mobilizacji?

Jerzy Kirszak: Nie wiem, czy panowie znają książkę „Podśluchiwanie. Niemieccy generałowie w brytyjskiej niewoli 1942–1945”, w której spisano nagrane potajemnie rozmowy niemieckich dowódców. Jeden z nich stwierdził, że w ogóle nie powinni atakować nas w 1939 roku. Argumentował następnie, że należało po prostu czekać, bo Polska nie udźwignęłaby pod względem ekonomicznym utrzymywania mobilizacji przez długi czas – jej miesiąc kosztował tyle, co dwa lata normalnego funkcjonowania państwa. Żaden budżet by tego nie udźwignął.



ARODOWE ARCHIWUM CIĄGOWE

Tankietki TKS użyte podczas wojny obronnej 1939 roku

Opóźnienie mobilizacji nie było jednak błędem?

Jerzy Kirszak: Przesunięcie mobilizacji powszechnej o dobę w związku z interwencją Anglików nie miało takiego znaczenia, jak nieprzeprowadzenie mobilizacji niejawnej, kartkowej. Gdyby to zrobiono kilka dni wcześniej, nie sprowokowalibyśmy Hitlera do wojny, a zyskalibyśmy inny układ sił na granicy. Jednostki z mobilizacji alarmowej ogłoszonej 23 sierpnia miały zakończyć etap koncentracji 2 września. Wystarczyło ją przyspieszyć o trzy, cztery dni, aby wszystkie oddziały znalazły się na terenie operacyjnym. Wówczas przebieg bitwy granicznej byłby inny, choć nie zmieniłby rezultatu samej kampanii. To z kolei dałoby czas na osiągnięcie pełnej gotowości bojowej jednostkom z mobilizacji powszechnej, co niewątpliwie wpłynęłoby korzystnie na ich siłę, a co za tym idzie – jakość działania.

Co jednak by się stało, gdyby Anglia i Francja we wrześniu 1939 roku rozpoczęły ofensywę na Zachodzie?

Janusz Odziemkowski: To czysto teoretyczne rozważanie, bo po stronie aliantów przede wszystkim brakowało psychicznego przygotowania do rozpoczęcia II wojny światowej.

Jakub Polit: Musiałyby istnieć inne dowództwo, inne kierownictwo polityczne i inne plany wojenne. Nawet gdyby Francuzi i Brytyjczycy rozpoczęli wielką ofensywę we wrześniu, to w ostatecznym rozrachunku niewiele byśmy zyskali.

W 1939 ROKU PANO- WAŁA NIEMAJĄCA PO- KRYCIA W RZECZYWI- STOŚCI, ALE PO- WSZECHNA OBAWA O TO, CO SIĘ STANIE, JEŚLI NIEMCY OSIĄ- GNĄ GRANICĘ RZESZY Z 1914 RO- KU I WÓWCZAS ZAŻĄ- DAJĄ POKOJU

Niemcy musieliby przerzucić na front zachodni część wojsk, więc dalszym podbojem Polski zajęłaby się Armia Czerwona.

Jerzy Odziemkowski: Pamiętamy, że to byli też inni żołnierze niż ci, którzy walczyli w roku 1914. A marszałek Józef Piłsudski miał sceptyczny stosunek do państw zachodnich. Ma-

wiał, że Zachód jest „parszywieńki”.

Jerzy Kirszak: Nawet gdyby ten francuski żołnierz miał w sercu lwa swego ojca z 1914 roku, to i tak nic by to nie dało. Czasami się mówi, że Niemcy byli bardzo słabi na zachodniej granicy, że wystarczyło tylko wejść w głąb i byłoby po wszystkim. To jest mit. Oczywiście oni mieli tam dywizje gorszej jakości, ale i tak wystarczające, żeby powstrzymać atak Francuzów. Pamiętamy też, co się stało w 1944 roku. Linie Zygfryda alianci zdobywali przez pół roku, a ona wcale nie była dużo bardziej rozbudowana w stosunku do stanu z 1939 roku. Przecież Amerykanie dysponowali wtedy totalną przewagą w powietrzu i na lądzie, a mimo to jej przełamywanie trwało pół roku. Francuzi w 1939 roku nie byłiby w stanie w ogóle wgrzyźć się w te umocnienia. Podobnie rzecz się miała z Anglikami, którym wypomina się, że w 1939 roku rozrzucali z samolotów tylko ulotki. Jedyny nalot, na Wilhelmshaven, miał miejsce już 4 września, ale gdy Anglicy zobaczyli, jakie ponieśli straty i odnieśli je do miernych efektów, to wycofali się z dalszych nalotów.



Musimy zatem podtrzymać tezę, że jedynym naszym sukcesem we wrześniu 1939 roku było to, że do wojny wciąż wciągnęliśmy Anglię i Francję?

Jakub Polit: Oprócz kwestii Francji i Wielkiej Brytanii istniały też wszelkiego rodzaju wahania. Argumentem strony polskiej było przede wszystkim to, że wojsko nie odstępowało bez walki. Oczywiście niezwykle cenne jest rozważanie, czy mogliśmy drożej sprzedać krew żołnierzy, bo przecież wspominaliśmy jedną z największych klęsk w dziejach naszego narodu. Wiemy też, że na tle następnych porażek naszych sojuszników spisaliśmy się nie najgorzej, ale niestety byliśmy w tym szeregu pierwsi.

Jakie błędy popełniliśmy w przygotowaniach do wojny?

Janusz Odziemkowski: Niemcy podkreślali, że polscy piechurzy w 1939 roku byli lepiej wyszkoleni niż ich żołnierze. Problemem w naszej armii było to, że zarówno przed wybuchem wojny, jak i po jej rozpoczęciu nie doceniano wojsk zmotoryzowanych. W 1932 roku sporządzono w Wojsku Polskim zestawienia, ile kosztuje utrzymanie brygady kawalerii, a ile zmechanizowanej – okazało się, że jest to zbliżona wartość... I choć niektórzy oficerowie zwracali uwagę na potrzebę zmotoryzowania wojska, to przeważało bagatelizowanie tej kwestii. Co więcej, wyszukiwano każdy przykład porażki koncepcji mechanizacji wojska, tak aby udowodnić, że w przyszłej wojnie nie odegra to wielkiej roli.

Jakub Polit: Często przywoływano tutaj przykład wojny domowej w Hiszpanii i rolę marokańskiej kawalerii w zwycięstwach nad zmechanizowanymi oddziałami republikańskimi.

Janusz Odziemkowski: Albo rozwodzono się nad wysoką awaryjnością niemieckiego sprzętu, który w czasie Anschlusu Austrii zalegał w przydrożnych rowach. Mówiono, że nie mamy się czym przejmować, a w „Przeglądzie Kawaleryjskim” można znaleźć artykuł napisany przez fachowca wojskowego, który udowadnia, że na naszych drogach polski koń jest lepszy od czołgu.

Czy przemysł byłby gotowy, gdyby jednak zdecydowano się na zmotoryzowanie wojska?

Janusz Odziemkowski: Możliwości naszego przemysłu były pod tym względem dużo większe niż zamówienia wojska. Zakładano, że na początku lat czterdziestych można by wyprodukować nawet 100 tys. pojazdów mechanicznych. Problemem była wysoka cena, dlatego państwo dopłacało do każdego samochodu ciężarowego, żeby obywatele zechcieli je kupować. Wojsko mogło być największym odbiorcą. Gdyby zamówiło od razu kilka tysięcy sztuk, znacząco obniżyłoby to koszty produkcji tych pojazdów, a także ich cenę.

Jerzy Kirszak: Wchodzimy teraz na wysoki poziom szczegółowości, więc proponowałbym podać kilka liczb

MICHAŁ NIWICZ



DR JERZY KIRSZAK

Historyk, pracownik Instytutu Pamięi Narodowej i Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego.

dotyczących przedwojennej motoryzacji. Moim zdaniem pojawienie się kilku tysięcy samochodów naraz było nie do „przetrawienia” przez ówczesne Wojsko Polskie. W latach trzydziestych w Stanach Zjednoczonych jeden samochód przypadał na pięciu mieszkańców. We Francji – na 24, a w Niemczech – na 99, w Rumunii – na ponad 600, a w Polsce – na około 1200 mieszkańców. W 1939 roku mieliśmy ponad 41 tys. pojazdów mechanicznych i 1 mln 300 tys. rowerów.

Jakub Polit: Niemcy mieli wtedy ponad 2 mln pojazdów mechanicznych...

Jerzy Kirszak: Czyli mieli więcej samochodów niż my rowerów. Nawet gdybyśmy podwoili liczbę pojazdów, to i tak by to nie pomogło. Skąd wziąć odpowiednią liczbę kierowców i mechaników? Kiedy we wrześniu 1939 roku nasi żołnierze rozbili zmotoryzowaną SS „Germanię”, nie było kim obsadzić zdobycznego motorowego sprzętu i większość maszyn zniszczono.

Janusz Odziemkowski: Zgoda, ale przecież myśmy przed wojną mieli kilka lat, żeby to zmienić. Podnoszą panowie problem kierowców i mechaników, a w armii amerykańskiej kierowcami po krótkim przeszkoleniu stawali się słabo wykształceni Afroamerykanie. W Związku Sowieckim szkolono chłopów. To samo można było zrobić i u nas. Chłopi nie byłiby wysokiej klasy mechanikami, ale pojazdy wojskowe mogliby prowadzić. Przypomnę naszą pierwszą brygadę pancerno-motorową płk. Stanisława Maczka. Podchodzono do niej jak pies do jeża. A przecież sam Rydz-Śmigły wykorzystywał samochody do przerzutu wojska na froncie w 1920 roku! Do gen. Władysława Sikorskiego można mieć różne

pretensje, ale on konsekwentnie postulował mechanizację wojska przez cały okres II Rzeczypospolitej. Tylko że przez wiele lat był na bocznym torze. On dobrze pamiętał, że w roku 1920 zwycięstwo przyniosła nam dobra manewrowość. Przypominam, że jeden zagon pancerno-motorowy na Kowel rozmontował cały front bolszewicki na Wołyniu. Ten przykład analizowali później zarówno alianci, jak i Niemcy czy Sowieci w swych szkołach wojskowych. Tylko myśmy o nim zapomnieli...

Nie inwestowano również w lotnictwo.

Janusz Odziemkowski: To fakt. Anglicy, którzy przyjechali do nas w 1939 roku zbadać stan polskiej armii, stwierdzili na przykład, że polskie lotnictwo jest znakomicie zorganizowane! Jednego mu tylko brakowało – nowoczesnego sprzętu. A kiedy zapoznali się z możliwościami polskiego przemysłu pod względem produkcji samolotów i czołgów, to wydali opinię, że wystarczy nam rok, by nadrobić w tej mierze wszystkie zaległości.

Może bylibyśmy bardziej efektywni, gdybyśmy nie utopili funduszy w marynarce wojennej? Stworzono ją do konfrontacji z zupełnie innym przeciwnikiem, czyli z sowiecką Flotą Bałtycką.

Jakub Polit: Tutaj od razu nasuwa się konkluzja, że po wrześniu 1939 roku oficerowie marynarki wojennej byli mniej od innych obarczani winą za klęskę. I wynikało to nie tylko z tego, że walczyła w specyficznych warunkach, lecz także z tego, że otoczenie gen. Sikorskiego mniej знаło się na tym rodzaju wojsk. Oczywiście marynarka wojenna mogłaby odegrać jakąś większą rolę we wrześniu 1939 roku tylko w walce ze Związkiem Sowieckim.

Skoro wiedzieliśmy, że z niemiecką flotą nie mamy większych szans, to dlaczego nie wycofano do Wielkiej Brytanii wszystkich okrętów, tylko pozostawiono na pewne zatracenie dwie stosunkowo nowoczesne jednostki?

Jerzy Kirszak: Z powodów prestiżowo-politycznych. Po prostu na najwyższym szczeblu wydano rozkaz, że jakaś reprezentacja naszej floty musi pozostać i wziąć udział w walce – padło na „Gryfa”, który mógł skutecznie zagrozić niemieckim okrętom swymi minami, i „Wichra” – jednego z niszczycieli, który miał osłaniać „Gryfa” w rejsach minerskich. Wracając jednak do konfrontacji z sowiecką Flotą Bałtycką, niestety muszę stwierdzić, że nie mieliśmy zbyt

wielu szans. Na Bałtyku we wrześniu 1939 roku Sowieci mieli dwa stare, ale silnie uzbrojone pancerniki i nowoczesny krążownik typu Kirow. Ponadto 11 niszczycieli, 38 okrętów podwodnych i ponad 60 kutrów torpedowych.

Jakub Polit: W wojnie z Sowiecami nasza marynarka mogła jednak odegrać jakąś większą rolę, w wojnie z Niemcami także, ale po wycofaniu jej z Bałtyku, co słusznie częściowo uczyniono.

Przejdźmy do 17 września 1939 roku. Czy sowiecki atak rzeczywiście był dla polskiego dowództwa totalnym zaskoczeniem?

Jakub Polit: Istnieje potężna literatura o przeciekach tajnych protokołów do układów dyplomatycznych, m.in. książka prof. Marka Kornata, mówiąca w zasadzie nie o tym, czy wiedziano o tych planach, tylko o tym, dlaczego nie wzięto ich poważnie pod uwagę. Różnie to było tłumaczone, pojawiły się m.in. hipotezy psychologiczne, że w straszne wiadomości się nie wierzy. Wiele pokazuje też rozmowa ambasadora Raczyńskiego z lordem Edwardem Halifaxem. Oczywiście obaj panowie nie znają treści tajnych protokołów

paktu niemiecko-sowieckiego, ale na pytanie Anglika, co trzeba robić, Raczyński odpowiada, że ten dokument raczej wzmacnia naszą pozycję... I tutaj można zapytać, czy nasz ambasador był taki bezmyślny, czy też po prostu nie mógł powiedzieć nic innego. Przecież nie mógł stwierdzić: „Wasza lordowska mość, jesteśmy w fatalnej sytuacji, nie wiążcie się z politycznym bankrutem”.

Prawdopodobnie część państw знаła treść towarzyszących układowi tajnych protokołów, ale nie Polska...

Jakub Polit: Rzeczywiście Francuzi czy niektórzy ministrowie państw bałtyckich zdołali dość trafnie roze-

znać się w tym, co było w tych tajnych protokołach. Nas zawiedli sojusznicy i tzw. państwa przyjazne – mam tu na myśli przede wszystkim Stany Zjednoczone, które nie zwierzyły się z tajemnic przekazywanych przez swoich dyplomatów i wywiad. Poza tym my także nie podjęliśmy żadnych odpowiednich kroków. Prof. Kornat argumentuje to tak: zakładano, że Związek Sowiecki może interweniować, ale będzie czekał na rozwój wojny, czyli na to, jak Francuzi poradzą sobie z niemieckimi fortyfikacjami. I w pewnym sensie tak też się stało – Józef Stalin, upewniwszy się, że Anglicy i Francuzi nie przeprowadzą uderzenia, ruszył 17 września na Polskę. ■



II Zgrupowanie Partyzanckie Armii Krajowej, dowodzone przez por. Waldemara Szwieca, wyróżniało się szczególną aktywnością wśród oddziałów AK w Świętokrzyskiem.

Robot w akcji

W czwartą rocznicę wybuchu wojny partyzanci świętokrzyscy zdobyli miasto w samym sercu Generalnego Gubernatorstwa.

ROBERT SENDEK

Okupacja niemiecka w czasie II wojny światowej była dla Polaków trudna do zniesienia. Szybko rozwijał się jednak ruch oporu, który właściwie z każdym kolejnym miesiącem wojny podejmował walkę w sposób coraz bardziej zdecydowany. Na mapie zbrojnego podziemia z tego okresu ważne miejsce zajmuje Świętokrzyskie, a wśród oddziałów działających na tym terenie szczególną aktywnością wyróżniało się II Zgrupowanie Partyzanckie Armii Krajowej, dowodzone przez por. Waldemara Szwieca „Robota”.

Sam „Robot” to postać nietuzinkowa. We wrześniu 1939 roku jako żołnierz 15 Dywizji Piechoty najpierw brał udział

w bojach o Bydgoszcz, potem walczył nad Bzurą i uczestniczył w obronie Warszawy. Po zakończeniu kampanii wrześniowej przez Bałkany i Włochy przedarł się dotarł do Francji i wstąpił do formującej się 10 Brygady Kawalerii Pancernej gen. Stanisława Maczka. Znalazł się później w Wielkiej Brytanii, gdzie zgłosił się do działań w kraju. Jako cichociemny wrócił do Polski w październiku 1942 roku. Skierowano go w Góry Świętokrzyskie i powierzono mu dowodzenie jednym ze zgrupowań partyzanckich, podległych Janowi Piwnikowi „Ponuremu”.

Podwładni „Robota” byli zaangażowani w wiele akcji zbrojnych w północnej części województwa świętokrzyskiego,



PRZYPOMNIELI NIEMCOM, ŻE POLSKA ŻYJE I WALCZY, A SPOŁECZEŃSTWU DODALI OTUCHY



Cichociemni por. Jan Piwnik „Ponury” i ppor. Waldemar Szwiec „Robot”. W głębi pluton pchor. Tadeusza Jencza „Allana”



ROBOT to postać nie-tuzinkowa. We wrześniu 1939 roku jako żołnierz 15 Dywizji Piechoty najpierw brał udział w bojach o Bydgoszcz, potem walczył nad Bzurą i uczestniczył w obronie Warszawy.

w okolicach powiatowego miasta Końskie. Jedna z nich została przeprowadzona w nocy z 19 na 20 sierpnia 1943 roku: jadący na trasie Skarżysko-Końskie pociąg transportowy, robotowcy zatrzymali i po krótkiej walce opanowali. Rozsypali przewożone zboże i przejęli na własny użytek znalezione w transporcie ubrania, bieliznę i buty. To zaś, czego nie udało się zabrać – spalili.

Akcję przeprowadzono w miejscowości Wąsosz, zaledwie kilka kilometrów na południowy wschód od Końskich. Była to kolejna operacja tego typu w okolicy, wcześniej m.in. niszczone młocarnie, żeby utrudnić trwające żniwa, palono stodoły i magazyny ze zbożem. W odpowiedzi Niemcy podjęli działania represyjne i już 20 sierpnia doszło do masowych aresztowań. Gestapo dokładnie wiedziało, pod jakimi adresami ma szukać członków i sympatyków polskiego podziemia zbrojnego. Niemcy mieli dokładne listy, sporządzone na podstawie informacji od miejscowych donosicieli. Ujęli w tej obławie około 275–300 osób, które następnie wywieziono na przesłuchania do Radomia lub Kielc, później zaś – do obozów koncentracyjnych. Wśród aresztowanych znajdowali się krewni lub znajomi partyzantów, którzy przeprowadzili atak na pociąg w Wąsoszu. W oddziale „Robota” zaplanowało przynębenie.

80 KONTRA 1700

Potrzebna była możliwie szybka reakcja na obławę. Najpierw „Robot” zajął się ustaleniem, kto spośród osób związanych z ruchem oporu pozo-

stał w mieście. Trzeba było bowiem odnowić struktury konspiracyjne. Równie ważne było namierzenie konfidentów i ich ukaranie. Okazało się to wcale nie takie trudne, gdyż niektórzy głośno rozpowiadali o swoim udziale w obławie.

Dość szybko powstała też koncepcja zorganizowania akcji zaczepnej, która mogłaby pokazać Niemcom, że ruch oporu nie został zdławiony. Zbliżał się wrzesień, więc nadarzała się idealna okazja, by uczcić w jakiś spektakularny sposób czwartą rocznicę wybuchu wojny, a jednocześnie podnieść na duchu partyzantów i miejscową ludność. Ponieważ w Końskich znajdowały się składy magazynowe pełne najróżniejszego ekwipunku, ubrań czy mundurów, istotnym celem akcji stało się również zdobycie wyposażenia dla ruchu oporu.

Sztab „Robota” rzucił się w wir przygotowań. Na podstawie zebranych informacji udało się ustalić liczebność stacjonującego w mieście niemieckiego garnizonu. W Końskich i w okolicy znajdowało się wówczas około 1700 żołnierzy wojsk okupacyjnych różnych formacji. W samym mieście stacjonowało 200 Niemców z oddziałów pomocniczych, żandarmów i policjantów. Znaczną siłę stanowiło około tysiąca osób z tzw. legionu wschodniego (Ostlegion), mających własne kosza-ry na północnych peryferiach miasta. Tworzono go z ochotników wywodzących się z Kaukazu i Azji Środkowej pod niemieckim dowództwem. Często żołnierzy rekrutowano spośród jeńców sowieckich, a w Końskich znajdował się obóz. Dodatkowo w pobliskiej wsi Barycz stacjonował



DLA UPAMIĘTNIECIA AKCJI ZGRUPOWANIA „ROBOTA” KAŻDEGO ROKU W KOŃSKICH SĄ ORGANIZOWANE OFICJALNE UROCZYSTOŚCI, ZNANE JAKO KONECKI WRZESIEŃ

oddział 500 włosowców. Okupant miał zatem do dyspozycji znaczne siły, dysponujące bronią lekką i ciężką oraz samochodami opancerzonymi.

Przeciwko takiej sile stawiał się oddział liczący zaledwie 80 osób. Jak wynika z meldunków, robotowcy mieli wówczas w wyposażeniu jeden ciężki karabin maszynowy, sześć ręcznych karabinów maszynowych, siedem pistoletów maszynowych, 52 karabiny, 30 pistoletów oraz około 60 granatów. Kluczem do powodzenia miało być precyzyjne zaplanowanie i wykonanie akcji. Szczegółowo zatem rozpracowano harmonogram dnia i zwyczaje stacjonujących w Końskich jednostek niemieckich. Informacji na ten temat dostarczyli wywodzący się z miasta partyzanci, w tym Tadeusz Jencz „Allan”. Plan akcji przewidywał błyskawiczny atak z kilku punktów, zablokowanie lokalnych sił niemieckich, przejście ekwipunku z magazynów oraz możliwie szybki odwrót.

PIĘŚCIĄ W OKO

Akcja rozpoczęła się 31 sierpnia w nocy. Do miasta weszło kilka grup partyzantów ze ściśle określonymi zadaniami. Przed siedzibą Ordnungspolizei ustawiła się grupa bojowa pod dowództwem pchor. Stanisława Kołodziejczyka „Bandery”. Budynek żandarmerii obstawiła grupa pchor. Jana Wroniszewskiego „Znicza”. Z kolei sekcja dowodzona przez por. Mariana Janikowskiego „Kmicica” miała rozbić składy magazynowe. Utworzono również trzyosobową sekcję, złożoną z kpr. Stanisława Janiszewskiego „Dewajtisa”, kpr. Tadeusza Chmielowskiego „Bartka” oraz „Leona”. Mieli oni przeprowadzić rajd po mieście, żeby zlikwidować donosicieli, których oskarżono o wskazanie Niemcom osób do aresztowania w niedawnej obławie. Wyroki na konfidentów wydał uprzednio podziemny wojskowy sąd specjalny.

Gdy budynki zajmowane przez niemieckich żołnierzy zostały obstawione, odcięto w mieście elektryczność. To był sygnał do przystąpienia do akcji. Partyzanci rozpoczęli ostrzał garnizonu. Zaskoczeni Niemcy nie byli w stanie podjąć sprawnej obrony.

Jak wspominał później Tadeusz Chmielowski, „pod silnym ogniem Niemcy nie usiłowali nawet wychylić głów i starali się jedynie przez oświetlenie terenu rakietami uniemożliwić partyzantom natarcie. Niemieckie pociski, wysyłane na ślepo, górowały i nie powodowały strat”. Każda próba podjęcia przez okupanta jakiegokolwiek akcji była przez partyzantów blokowana. Według słów Chmielowskiego, jeden z niemieckich patroli, „zorientowawszy się w rozmiarach akcji, ukrył się gdzieś w krzakach i tkwił w nich, nie zdradzając swej obecności aż do jej zakończenia”. Równocześnie z akcją trwało plądrowanie magazynów sieci Społem oraz niemieckiej hali. Grupa partyzantów załadowała na podstawioną ciężarówkę oraz chłopskie firy bele materiału, ubrania i obuwie, po czym szybko się wycofała.

Precyzyjnie zaplanowaną akcję ataku na Końskie wykonano perfekcyjnie. Po dwugodzinnej operacji partyzanci się wycofali. Zginęło siedmiu Niemców, ranny został komendant niemieckiej żandarmerii. Jak wspominał później Chmielowski, nastroje w oddziale po zakończonej tak pomyślnie akcji były doskonałe: „Pomaszerowaliśmy w radosnym nastroju środkiem szosy jako straż tylna, śmiejąc się, i żartując, przez Płomyków, Piłę, aż do Smolarni”. Inny z partyzantów, Marian Świdorski „Rys” pisał: „Akcja powiodła się znakomicie. Cel został osiągnięty. Przypomnieliśmy Niemcom, że Polska żyje i walczy, a społeczeństwu dodaliśmy otuchy do przetrwania. Stanowiło to swego rodzaju demonstrację siły podziemia. Akcja ta zachwiała wśród Niemców poczucie bezpieczeństwa, a zdeprymowane po ostatnich aresztowaniach społeczeństwo koneckie podniosło na duchu”.

Sukces był tym większy, że oddział „Robota” osiągnął wszystkie cele bez strat własnych. Zdobyto dużo ubrań, mundurów, płaszczy nieprzemakalnych, bielizny, skarpet i kocioł, co pozwoliło na niemal kompletne umundurowanie oddziału, który zaczął wyglądać jak wojsko z prawdziwego zdarzenia.

Dla upamiętnienia akcji zgrupowania „Robota” każdego roku w Końskich są organizowane oficjalne uroczystości, znane jako Konecki Wrzesień. ■



Partyzanci mieli w wyposażeniu jeden ciężki karabin maszynowy, sześć ręcznych karabinów maszynowych, siedem pistoletów maszynowych, 52 karabiny, 30 pistoletów oraz około 60 granatów.

KWARTALNIKBELLONA.PL

KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
TRADYCJA POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ
OD 1918 ROKU



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

Z FASONEM NA FRONT

**Z czym do boju ruszali polscy
żołnierze we wrześniu 1939 roku?**

MACIEJ NOWAK-KREYER

W powszechnych wyobrażeniach dotyczących polskiego piechura z 1939 roku długo pokutował obraz kiepsko umundurowanego żołnierza we francuskim hełmie na głowie. Temu wizerunkowi przeciwstawiano nowocześnie wyekwipowanych piechurów niemieckich. Tymczasem pod względem wyposażenia nie było przepaści między Wojskiem Polskim a Wehrmachtem. Co więcej, w niektórych aspektach byliśmy od Niemców lepsi.

SALAMANDRA NA DONICY

Oslonę głowy w warunkach bojowych stanowił hełm wzór 31. Wykonany z jednego kawałka mocnej stali, głęboki, pozbawiony osłabiających konstrukcję otworów wentylacyjnych, skutecznie chronił przed odłamkami i pociskami pistoletowymi. Na głowie stabilizował go pasek zapinany na haczyk i drucianą pętlę. Ze względu na kształt zyskał u żołnierzy miano donicy. Prawdopodobnie stanowił polskie rozwinięcie niemieckich hełmów M1916 i M1918. Aby zapobiec refleksom światła, malowano go tzw. salamandrą, czyli zieloną farbą wymieszaną z okruskami korka. Hełm produkowano w jednym, uniwersalnym rozmiarze (niemieckie w pięciu).

Kształt niemieckiego M1935 w 1939 roku był najnowocześniejszy na świecie. I na długo takim pozostał. Do niedawna prawie wszystkie armie używały podobnych hełmów o nieco zmodyfikowanym kształcie. Niemniej jednak otwory wentylacyjne osłabiały ich właściwości ochronne, a kalokomanie w barwach III Rzeszy nie służyły skutecznemu maskowaniu.



STRZELCZAK - ROK WZ. 38
SOCHACZEW 1939

ROGATYWKĄ CZY FURAŻERKĄ

W polu polscy piechurzy nosili sukienne rogatylki. Mieli do dyspozycji dwie nieznacznie różniące się wersje tego nakrycia głowy – wzór 34 i wzór 37. Konstrukcję rogatylki oparto na popularnej wówczas czapce narciarskiej – sukieny daszek chronił przed deszczem i słońcem, zapinany otok można było rozłożyć i zapiąć pod brodą, aby chronił uszy i policzki przed mrozem. W 1939 roku żołnierze sporadycznie używali niepraktycznych furażerek.

Z podobnych wzorów korzystali projektanci przy opracowywaniu czapki polowej Feldmütze M43, ale przeciętny niemiecki piechur dostał ją dopiero w drugiej połowie wojny. W 1939 roku Niemcy wciąż używali kolorowo obszytych furażerek.



NIE DALI PLAMY

Chociaż we wrześniu 1939 roku na świecie prowadzono już zaawansowane badania nad plamiastym maskowaniem munduru, to jeśli chodzi o front, było ono pieśnią przyszłości. Polscy specjaliści od umundurowania w kwestii kamuflażu osiągnęli bardzo dobre efekty. Ogólna kolorystyka wyposażenia i umundurowania piechura była zielono-brązowa. Praktycznie wykluczono z niej słabo maskującą czerń, a każdy element składowy (hełm, mundur, oporządzenie) celowo miał inny odcień brązu lub zieleni. Sylwetka żołnierza stała się więc zestawem większych plam poprzetykanych mniejszymi, co dokładnie odpowiada projektom nowoczesnych kamuflaży. ■

WŁAŚCIWY ODCIEŃ ZIELENI

W 1936 i 1937 roku polskim żołnierzom zaczęto wydawać mundury polowe – kurtki wzór 36 oraz spodnie z owijkami wzór 37. Miały one zastąpić używane do tej pory komplety wzór 19. Nowe umundurowanie było jednym z najnowocześniejszych na świecie.

Przy projektowaniu przede wszystkim położono nacisk na walory maskujące. Jednolita, zielonobrunatna barwa całego zestawu stanowiła rezultat wieloletnich badań nad kolorem, który skutecznie wtopiłby się w otoczenie w polskich

warunkach. W polu, poza drobnymi wyjątkami, nie noszono żadnych oznak ani odznaczeń. Nawet stopnie na naramiennikach zazwyczaj zasłanianio sukiennymi nasuwkami. Kurtkę zapinaną na siedem guzików przewidziano w tym samym kroju dla żołnierzy wszystkich stopni. Zaprojektowano na niej bardzo poręczne cztery naszywane kieszenie, dwie na piersiach i dwie na wysokości bioder. W wersji dla szeregowych była dodatkowa we-

wnętrzną kieszonką na opatrunek, a z tyłu kurtki wszyto metalowe haki do podtrzymywania pasa. Kołnierz zapinało się pod szyją na parę haftek. Chociaż sukienny, na tyle odstawał od szyi, że w warunkach polowych zwykle nie trzeba było zakładać pod niego chroniącego przed odparzeniem płóciennego szalika, tzw. halsztuka. Spodnie sukienne wzór 37, o długich prostych nogawkach z dwiema wpuszczanymi kieszeniami, ściągano w okolicy kostek owijkami, przez co nabierały wygodnego, bufiastego kształtu. Stabilizowały nogę w kostce, spełniając tę samą funkcję co późniejsze opinacze. Mundur wzór 36 występował także w wersji letniej, z lnianego dreluchu. W tej odmianie również pojawiał się we wrześniu 1939 roku, ale znacznie rzadziej niż odmiana sukienna.

Niestety, te mundury wydano w 1939 roku przede wszystkim mobilizowanym rezerwistom. Dostali je też starsi podoficerowie i oficerowie. Sporo żołnierzy poszło do boju w mundurach starszego i wielokrotnie modyfikowanego wzoru 19, złożonych z kurtki z wysokim kołnierzem, zapinanym pod szyją na dwie haftki, i z dwiema wpuszczanymi, ukośnymi kieszeniami w dolnej części. Do kurtki, zapinanej na pięć guzików oraz wyposażonej w haki do podtrzymywania pasa, dopasowano spodnie o kroju zbliżonym do bryczesów, które na łydkach do wysokości kolan ścisano długimi owijkami sukiennymi. W kroju kurtki widać wyraźną inspirację mundurem niemieckim M1907 z czasów I wojny. Dostyc często zdarzały się także

JAROSŁAW WRÓBEL (2)





JAROSŁAW WRÓBEL

zestawy kombinowane, czyli kurtki wzór 36 i spodnie wzór 19 z owijaczami. Zielony kolor mundurów wzór 19 także miał doskonałe właściwości maskujące, co więcej, ostatnie ich partie szyto z tego samego sukna co mundury wzór 36. Dodatkową osłonę w chłodniejsze dni zapewniał jednorzędowy płaszcz wzór 36 z sukna o innym odcieniu zieleni niż mundur. Był stosunkowo luźny, z rozpinanym rozporkiem z tyłu, otwartym na czas marszu, co dawało większą swobodę ruchów. Używano też starszych – wzór 19 (krótszych i bez rozcięcia z tyłu).

Kiedy niemieckie mundury polowe używane w 1939 roku porówna się z polskimi, to odniesie się wrażenie, że pochodzą z jakiejś wcześniejszej, dawno minionej epoki. Przede wszystkim były z naszywkami i zdobieniami w kontrastujących z mundurem kolorach, umieszczonymi na kołnierzu, ramionach, a nawet na piersi, na sercu (hitlerowski orzeł w kolorze jasnoszarym). Kurtka występowała w jednej z odmian koloru feldgrau (szarawozielonego), niezbyt dobrze maskującej w warunkach terenowych Polski. Spodnie były ciemnoszare, prawie czarne, co dodatkowo pogarszało kamuflaż.

Ze względu na oszczędności w Wojsku Polskim zwykli piechurzy z reguły nie dostawali butów z cholewami (ich żołnierską wersję popularnie nazywano saperkami). Wyjątek stanowiły kompanie wartownicze. Typowym obuwem piechura z 1939 roku były sznurowane trzewiki za kostkę (różnych wzorów), podkute metalowymi ćwiekami.

Niemcy nosili buty z cholewami, ale doświadczenia wojen światowych wykazały zdecydowaną przewagę obuwia sznurowanego, do dziś najczęściej używanego przez żołnierzy.

KAPLICZKA NA PLECACH

Podstawowe oporządzenie, z którym polski żołnierz w 1939 roku wyruszał na front, w dużej mierze było zaadaptowanym systemem niemieckim z I wojny światowej, używanym zresztą przez Wehrmacht na początku II wojny światowej. Składało się ono: ze skórzanego pasa głównego, do którego na metalowych hakach podczepiano płócienny chlebak, podtrzymywany także paskiem nośnym; z pojemnika z maską przeciwgazową na osobnym pasku nośnym (początkowo była to puszka, później wraz z nowym typem maski pojawiła się

tańsza, lżejsza i poręczniejsza torba brezentowa); z zawieszanych na pasie bagnetu oraz łopatkę w skórzanym ramkach, a także wsuwanych na pas dwóch trójkomorowych, skórzanym ładownic. Do tego zakładano brezentowy tornister z usztywnianymi bokami na prywatne rzeczy, do którego przytraczano menażkę i złożony płaszcz, a w razie potrzeby także hełm. Charakterystyczny kształt tego zestawu sprawił, że tornister zyskał w wojsku miano kapliczki. Tornister stabilizowały parciane paski z metalowymi hakami, które zaczepiano o metalowe oczka u góry ładownic, przy okazji więc spełniał także funkcję szelek do obciążonego pasa. Oporządzenie, nie licząc luźno wiszącej torby z maską przeciwgazową, było stabilne i pozwalało równomiernie rozłożyć obciążenie, dzięki połączeniu większości elementów składowych z pasem głównym. W razie potrzeby dawało się szybko zdjąć i założyć jako całość – to była namiastka kamizelki taktycznej.

Oporządzenie przeciętnego piechura Wehrmachtu różniło się właściwie

szczególnościami. Przede wszystkim ładownice mieściły mniej amunicji. Poza tym niemiecki żołnierz na marsz i w bój nie zabierał tornistra, lecz używał szelek szturmowych, do których mógł w razie potrzeby podpiąć najpotrzebniejsze rzeczy.

W Wojsku Polskim brakowało nowoczesnych środków transportu, więc starano się, by żołnierz miał przy sobie tyle wyposażenia i amunicji, żeby mógł długo walczyć bez uzupełniania zapasów. Nie przejmowano się, że to zmniejsza jego mobilność, bo po doświadczeniach I wojny światowej nastawiano się na walkę pozycyjną. W zasadzie wówczas tylko Niemcy wiedzieli, że teraz na wojnie liczyć się będzie przede wszystkim szybkość manewru.

Armia niemiecka w 1939 roku pod bardzo wieloma względami niezaprzeczalnie górowała nad Wojskiem Polskim, jak zresztą nad każdą inną armią świata, łącznie z takimi mocarstwami, jak Francja i Wielka Brytania. Chociaż to niewielka pociecha, warto jednak pamiętać, że mimo bardzo ograniczonych zasobów we wrześniu 1939 roku wystawiliśmy przeciwko Niemcom żołnierzy nie tylko świetnie wyszkolonych, lecz także wyposażonych w rynsztunek nie gorszy niż ten niemiecki. ■

Francuskie hełmy, ale bez orłów, nosili kawalerzyści, którzy we wrześniu 1939 roku walczyli przede wszystkim pieszo, a koni używali głównie do szybkiego transportu. Dlatego można ich było pomylić z piechotą.

PATRIOT: SKUTECZNA OBRONA I PARTNERSTWO



OBRONA PRZECIWLOTNICZA I PRZECIWRAKIETOWA

Dzięki nieustannym innowacjom, system Patriot firmy Raytheon zapewnia Polsce zaawansowaną technologię zaprojektowaną tak, by doskonale sprostać dzisiejszym i przyszłym wyzwaniom. Wraz z wyborem systemu Patriot Polska dołącza do globalnego sojuszu 16 państw dysponujących najnowocześniejszym i sprawdzonym w boju systemem obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej.

RAYTHEON.COM/POLAND

Raytheon

ARMIA

/ WOJSKA SPECJALNE



SKOK NA BARDZO GŁĘBOKĄ WODĘ

**To nie jest robota
dla każdego.** Instruktorzy, którzy uczą
specjalsów nurkowania bojowego, podkreślają,
że są potrzebni wyselekcjonowani i doświadczeni
żołnierze z bardzo dobrą kondycją.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



Nurkowie z JWK to
ludzie, którzy nie bo-
ją się zimnej wody,
ciemności, dużych
głębokości. Są od-
porni, opanowani,
nie panikują, gdy
coś pójdzie źle.

JWK



W

nurkowaniu najbardziej lubię uczucie nieważkości, ale przede wszystkim ciszę i wszechogarniający spokój”, przyznaje nurek bojowy z Jednostki Wojskowej Komandosów. „Człowiek jest jakby zawieszony w próżni. Nie ma dna, nie ma żadnego punktu odniesienia, dookoła nie ma kompletnie nic”.

PRZYSPIESZONA LEKCJA

Żeby zostać nurkiem bojowym w wojskach specjalnych, trzeba spełnić kilka warunków. Najważniejsze to zaliczona selekcja i ukończenie rocznego kursu szkolenia bazowego. Kandydatów wybiera się bowiem spośród operatorów. „Woda to tylko środowisko działania. Nurkowanie zaś to sposób przemieszczania się, trochę jak skok ze spadochronem. Poza tym nie zawsze operacje przeprowadzamy pod wodą. Naszym zadaniem równie dobrze może być skryte przemieszczenie się na drugi brzeg, a tam rozpoznanie przeszkody lub przeciwnika, a nawet wykonanie akcji bezpośredniej”, precyzuje Stefan, dowódca grupy nurków jednego z zespołów bojowych JWK.

Jeśli chodzi o wymagania wobec nurków, to równie ważne jest zdrowie. Żołnierz musi przejść kilka specjalistycznych badań, m.in. elektroencefalografię i spirometrię (badania czynnościowe mózgu i płuc), a następnie otrzymać pozytywne orzeczenie z wojskowej komisji morsko-lekarskiej. Dopiero wtedy jest kierowany na kurs młodszego nurka.

Pierwsze szkolenie trwa siedem tygodni. Na tym etapie żołnierze schodzą pod wodę na głębokość 20 m, uczą się oddychania za pomocą aparatów o obiegu otwartym, poznają podstawy nawigacji. Dla wielu początki są trudne. Żołnierze z Jednostki Wojskowej Komandosów, dziś nurkowie z ogromnym doświadczeniem, wspominają je z uśmiechem. „John”, starszy nurek bojowy (najwyższy stopień wyszkolenia), który ma uprawnienia do kierowania podwodnymi

operacjami specjalnymi, opowiada, ile wysiłku kosztowało go zdobycie uprawnień instruktorskich. „Byłem jednym z pierwszych nurków w naszym zespole bojowym. I choć w świetle dziś obowiązujących standardów jest to nie do pomyślenia, to z wodą niewiele miałem wspólnego. Nawet nie najlepiej pływałem. Na kursie musiałem więc pracować dwa razy więcej niż pozostali. Po zajęciach zostawałem z kolegami w wodzie i doskonaliłem się nawet w tak prostych czynnościach jak przedmuchiwanie maski. Jestem przykładem na to, że jak się czegoś bardzo chce, to można”, podkreśla operator. Dziś na swoim koncie ma blisko tysiąc godzin spędzonych pod wodą.

Swój chrzest pod wodą z uśmiechem wspomina także Damian. „Instruktorzy mówili na to gry i zabawy”, opowiada i podaje jeden przykład: „Kandydat na nurka był wrzucany do wody na głębokość 3 m ze związanymi rękami i nogami. Musiał się odbić od dna, by wypłynąć na powierzchnię i złapać trochę powietrza, a potem znów opadał w dół”. Komandos przyznaje też, że pierwsze podwodne lekcje były dla niego wyzwaniem. Na początku szkolenia miał na przykład problem z szasowaniem maski, czyli usuwaniem z niej wody. „Robi się to pod powierzchnią. Zakładając maskę, trzeba niejako wydmuchnąć z niej wodę. A ja miałem z tym kłopot, bo woda wlewała mi się przez nos i dostawała do zatok. W ten sposób się podtapiałem. Powiedziałem instruktorowi, że nie dam rady tego zrobić. Zgodził się, ale okazało się, że to był blef. Gdy po raz kolejny wynurzyłem się na powierzchnię, zerwał mi maskę. Nie miałem innego wyjścia, jak zanurzyć się bez osłony. To była szybka i bardzo skuteczna lekcja”, wspomina Damian.

Jak tłumaczą żołnierze, takie zachowanie nie jest znęcaniem się nad kursantem, lecz ma za zadanie udowodnić mu, że nie osiągnął jeszcze granic swoich możliwości. „Jeśli tutaj spanikujesz, to ktoś cię wyciągnie i w razie potrzeby od razu udzieli pomocy. To są celowe działania, mające pokazać, że pod wodą ostatecznie nurek jest zdany sam na siebie. Jeśli na głębokości 5 czy 15 m coś pójdzie nie tak, musi mimo



NURKOWANIE W RZEKACH NIE JEST ŁATWE, ZE WZGLĘDU NA WYSTĘPUJĄCE SILNE PRĄDY, ZEROWĄ WIDOCZNOŚĆ I ZANIECZYSZCZENIA WODY

wszystko opanować nerwy. Tylko wtedy wyjdzie z opresji cało”, tłumaczy „John”.

Instruktorzy wyjaśniają, że podwodne działania bojowe mogą prowadzić komandosi, którzy ukończą szkolenie na drugim poziomie, czyli kurs nurka bojowego. W wojskach specjalnych operatorów o tej specjalności przygotowuje się w Ośrodku Szkolenia Nurków przy Jednostce Wojskowej Formoza. Zajęcia prowadzą jednak najczęściej instruktorzy z jednostek, z których pochodzą kursanci. Również część zajęć jest zorganizowana na terenie JWK czy GROM-u.

„To szkolenie nie należy do łatwych, dlatego uczestniczą w nim już wyselekcjonowani i doświadczeni żołnierze, z bardzo dobrą kondycją. Wyposażamy żołnierza w aparat oddechowy o obiegu zamkniętym [wydechany dwutlenek węgla jest absorbowany przez specjalny sorbent, a niezutyty tlen wraca do aparatu] i uczymy go nurkowania na głębokości przekraczającej 50 m, ćwiczymy także zakła-

danie ładunków wybuchowych pod wodą”, wyjaśnia instruktor z JWK.

ZAWIESZENI W TONI

Nauka trwa siedem tygodni. Kursanci dowiadują się m.in. o patofizjologii nurkowania i niebezpieczeństwie związanym z przebywaniem na dużych głębokościach. Uczą się, jak postępować w sytuacjach awaryjnych. „Z wykształcenia jestem ratownikiem medycznym, więc zdaję sobie sprawę z tego, jak niebezpieczne może być nurkowanie. Tutaj nie wolno popełniać błędów”, podkreśla „Sly”. Jest operatorem i ratownikiem medycznym z 15-letnim stażem służby. Trzykrotnie był w Afganistanie, ukończył też prestiżowy kurs medyczny SOCM (Special Operations Combat Medic) w Międzynarodowym Centrum Szkoleniowym Sił Specjalnych w Niemczech. Kilka tygodni temu został nurkiem bojowym.

Głównym niebezpieczeństwem jest dla nich źle przeprowadzona dekompresja. Damian, instruktor z JWK, wyja-



śnia, że im dłuższy jest czas spędzony na dużych głębokościach, tym bardziej organizm nasycy się azotem. W głębinie nie ma problemów, bo ten pierwiastek rozpuszcza się we krwi. „Jeśli jednak zbyt szybko wynurzymy się na powierzchnię z głębokości 50 m i nie zrobimy przystanków dekompresyjnych, to z naszym ciałem stanie się to samo, co ze wzburzoną szampanem w butelce”, wyjaśnia instruktor. Jak dodaje, młodych nurków uczuła się zwłaszcza na to, że dekompresji nie da się w żaden sposób przyspieszyć.

W czasie kursu specjalsi uczą się także nurkowania z wykorzystaniem dwusystemowego aparatu oddechowego Amphora. Operatorzy muszą na pamięć znać instrukcję i najdrobniejsze elementy urządzenia. „Trzeba dokładnie wiedzieć, jak używać tego sprzętu w ciemności, również w sytuacjach awaryjnych”, opowiada „Sly”. Aparat pozwala wykorzystywać dwa rodzaje gazów: tlen i nitroks (z tlenem nurkują na głębokość do 6 m, by zejść niżej, muszą przełączyć się na nitroks, czyli specjalną mieszankę tlenowo-azotową). „Nurkujemy przede wszystkim w tzw. obiegu zamkniętym, więc na powierzchnię wody nie wydostają się pęcherzyki powietrza, co gwarantuje nam skryte działanie”, dodaje „John”.

Treningi z amphorą komandosi odbywają najpierw na basenie, potem szkolą się w morzu i rzekach. Muszą wyćwiczyć odpowiednią pływalność. Chodzi tu nie tyle o utrzymywanie się w wodzie, ile o pozostawanie na stałej, określonej przez instruktora głębokości. „Trzeba balast dobrać do wagi żołnierza i jego wyposażenia, a na tym etapie kursu pod wodę schodzi się już z bronią, zasobnikami, kamizelką kuloodporną i całym osprzętem nurkowym”, wylicza „John”.

Specjalsi uczą się także nawigowania pod wodą. Korzystają przy tym z odpowiedniej konsoli, komputera, który wskazuje im głębokość, temperaturę wody i czas spędzony pod powierzchnią, oraz busoli. „Na głębokości kilkunastu metrów panuje całkowita ciemność, dlatego bardzo trudno tam nawigować. Najpierw musimy wyznaczyć azymuty na powierzchni, a potem trzymać się ich w wodzie”, tłumaczy „Sly”. „To trochę tak, jakby pilot miał wylądować przy bardzo złej pogodzie. On po prostu musi polegać na przyrządach. My także nie możemy zrobić tego, co nam się wydaje. Kierunek wyznacza nam busola, w przeciwnym razie można się zgubić”, mówi Damian. To jednak nie wszystko. Żołnierze podczas kursu zapoznają się z podsta-



TRENINGI Z AMPHORĄ KOMANDOSI ODBYWAJĄ NAJPIERW NA BASENIE, POTEM SZKOLĄ SIĘ W MORZU I RZEKACH. MUSZĄ WYĆWICZYĆ ODPOWIEDNIĄ PŁYwalNOŚĆ

w wodzie. I bacznie obserwować zachowanie żołnierzy, bo przecież nigdy wcześniej nie byli oni na takiej głębokości”, mówi Damian.

NIE SZUKAMY RAPTUSÓW

„To zdecydowanie nie jest robota dla każdego”, mówi Stefan. „Przede wszystkim szukamy ludzi, którzy nie boją się zimnej wody, ciemności, dużych głębokości. Są odporni, opanowani, nie panikują, gdy coś pójdzie źle. Znaleźć specjalistów w tej dziedzinie jest naprawdę trudno”, dodaje. Oficer jest nurkiem bojowym z kilkuletnim stażem, pod wodą spędził kilkaset godzin. „Gdy w spadochroniarstwie zdarzy się sytuacja awaryjna, trzeba działać szybko, mechanicznie. Nurek zaś musi czasem wziąć głęboki oddech i, wbrew logice oraz instynktowi, zatrzymać się, pomyśleć i dopiero zacząć działać”, opowiada Damian.

Specjalsi, którzy zdali egzamin i otrzymali tytuł norka bojowego, wrócili teraz do swoich jednostek, gdzie rozpoczną szkolenie taktyczne w sekcjach. „Kurs dał im jedynie uprawnienia i zapoznał z warunkami bezpieczeństwa czy nowym sprzętem. Teraz nauczą się działań operacyjnych. I to dopiero będzie skok na głęboką wodę”, podkreśla „John”.

Nurkowie z JWK, co wynika ze specyfiki jednostki, będą kierowani przede wszystkim do wykonywania wodnych operacji specjalnych w jeziorach lub rzekach. ■

ZAUTOMATYZOWANE SYSTEMY ZARZĄDZANIA WALKĄ I SIECIAMI TELEINFORMATYCZNYMI



Opracowane i rozwijane przez największy, najbardziej wyspecjalizowany, doświadczony i doskonały przez 23 lata zespół polskich inżynierów z zakresu wojskowego ICT
Kompleksowe, unikalne, wielokrotnie certyfikowane i rekomendowane m.in. przez NATO

Znajdź nas na MSPO - Stoisko ZF-8



TELDAT
www.TELDAT.com.pl





Okno na Europę

*Z Norbertem Bąkiem o tym,
co widać z wysokości 10 tys. metrów,
i o duchu współpracy na pokładzie AWACS-a
rozmawia Łukasz Zalesiński.*



FILIP MODRZEJEWSKI (2)

WIZYTÓWKA

POR. NAWIG.
NORBERT BĄK

Trzy lata służył jako nawigator w załogach natowskich samolotów wczesnego ostrzegania i dowodzenia. Jego macierzysta jednostka to 44 Baza Lotnictwa Morskiego w Darłowie.

Będzie panu brakować AWACS-a?

Myślę, że tak. Służba w Geilenkirchen była chyba przygodą mojego życia.

Kiedyś pilot transportowego herculesa powiedział mi, że lubi te maszyny, bo na ich pokładzie można poczuć „team spirit”, ducha współpracy. Ale to chyba nic w porównaniu z atmosferą panującą na pokładzie AWACS-a? Tam ludzi jest całe mnóstwo...

Załoga liczy, w zależności od rodzaju misji, od 16 do nawet 30 osób. To międzynarodowe towarzystwo, które niezależnie od składu doskonale się rozumie. Mimo różnych doświadczeń, z jakimi wyruszyliśmy na misję, wszyscy zostaliśmy wyszkoleni na podstawie tych samych procedur. A jednak fakt, że ten mechanizm funkcjonuje aż tak płynnie, nie przestawał mnie zadziwiać. Przy najmniej na początku...

Przyjrzyjmy się zatem przez chwilę pracy tego zespołu. Samolot dostaje zadanie i wzbija się

w powietrze. Co wtedy dzieje się na jego pokładzie?

Załogę można podzielić na kilka grup. Pierwszą jest obsada kokpitu. Do niedawna składała się ona z czterech osób: pierwszego i drugiego pilota, nawigatora oraz inżyniera pokładowego. AWACS-y nieustannie przechodzą jednak modernizacje. Podczas ostatniej zainstalowano m.in. nowe wyposażenie nawigacyjne. Wiązało się to ze zredukowaniem obsady do trzech osób. Byłem zatem trzecim, a zarazem ostatnim Polakiem na tym stanowisku... Obsada kokpitu odpowiada za sam lot: start, lądowanie, nawigację, korespondencję z kontrolą ruchu lotniczego.

Pierwszy pilot nie jest tutaj, tak jak w większości załóg, dowódcą?

Nie, misją dowodzi siedzący w tylnej części samolotu TD, czyli „tactical director”. Zarządza on kilkoma grupami, które realizują poszczególne elementy postawionego załodze zadania. Do dyspozycji ma sekcje „surveillance” i specjalistów zwanych „passive controllers”. Wszyscy oni są odpowie-



dzialni za stworzenie tzw. obrazu sytuacji powietrznej, nawodnej i naziemnej. Jednym słowem, zbierają wszelkiego rodzaju dane, które składają się na rozpoznanie danego obszaru. Identyfikują na przykład pojawiające się tam statki powietrzne czy jednostki pływające. Żołnierze z tych sekcji korzystają z wszelkich dostępnych na pokładzie sensorów, aktywnych i pasywnych. Głównym jest radar AN/APY-2, czyli potężny dysk w górnej części samolotu, za którego pomocą można zlustrować obszar o promieniu kilkuset kilometrów.

W skład załogi wchodzi też sekcja „weapons controllers”, która dowodzi walką powietrzną. Ci specjaliści sprawują kontrolę nad samolotami bojowymi, czasem także nad wyrzutniami rakiet. Zdarza się, że piloci myśliwców wyłączają radary, aby nie zdradzać swoich pozycji. Wówczas mogą liczyć na AWACS-a. Za pośrednictwem łączy, które zapewniają wymianę danych, otrzymują pełne zobrazowanie sytuacji taktycznej, namiary na poszczególne cele, zadania do wykonania. Zresztą z pomocy naszych specjalistów korzystają również załogi okrętów. Radary jednostek pływających są ograniczone horyzontem radiolokacyjnym. Marynarze sami mogą odpowiednio wcześniej nie dostrzec nadlatujących samolotów czy rakiet. My widzimy z góry o wiele więcej. Niezbędne informacje możemy gromadzić nawet z odległości kilkuset kilometrów od miejsc, gdzie operują samoloty czy okręty.

Załogę AWACS-a uzupełniają technicy: jeden jest odpowiedzialny za radary, inny za łączność, jeszcze inny za system elektroniczny na pokładzie. W czasie długich misji niektórzy członkowie załogi mają dublerów.

No właśnie, jak długo trwają misje AWACS-a?

Standardowo około 11 godzin, choć oczywiście zdarzają się i krótsze, i dłuższe. Tak naprawdę długość lotu jest ograniczona wyłącznie wytrzymałością załogi oraz dostępnością w danym rejonie samolotu cysterny, który mógłby przeprowadzić tankowanie w powietrzu. Oczywiście pracujący na pokładzie żołnierze mają ten komfort, że mogą odpocząć. W AWACS-ie jest specjalna strefa, gdzie można się przespać, posiedzieć w wygodnym fotelu, zrobić sobie kawę czy podgrzać posiłek.

Wspominał pan, że służył w międzynarodowym towarzystwie. Jak wiele państw ma swoich reprezentantów w załogach AWACS-ów?



MISJA AWACS-A TRWA ZWYKLE 11 GODZIN.

DŁUGOŚĆ LOTU JEST ZALEŻNA OD WYTRZYMAŁOŚCI ZAŁOGI I DOSTĘPNOŚCI W DANYM REJONIE DZIAŁAŃ SAMOLOTU CYSTERNY

W skład komponentu E3A, który stacjonuje w bazie Geilenkirchen, wchodzi 16 państw Sojuszu Północnoatlantyckiego. Płacą one składki, wysyłają do Niemiec swój personel i są w jakimś stopniu współwłaścicielami samolotów. Komponent stanowi część sił wczesnego ostrzegania i dowodzenia NATO. Jest tam spora rotacja – w ciągu trzech, czterech lat skład komponentu zmienia się niemal w stu procentach. Nowi żołnierze, zanim rozpoczną loty operacyjne, muszą przejść szkolenie: poznać procedury, oswoić się z samolotem, trybem pracy załogi. Specjaliści z większym stażem pod koniec misji często są obsadzani w roli instruktorów, choć oczywiście nie jest to obligatoryjne. Komponent tworzą trzy eskadry samolotów: dwie bojowe i jedna szkolna. Do dyspozycji jest 14 maszyn.

W ciągu kilku ostatnich lat trzy zostały wycofane i trafiły na cmentarzysko na pustyni w Arizonie. Zdecydowały o tym względy finansowe, związane m.in. z tym, że z komponentu wycofała się Kanada.



AWACS to Lotniczy System Ostrzegania i Kontroli (Airborne Warning and Control System). Jego zasadniczy element stanowi odpowiednio przystosowany samolot dozoru radiolokacyjnego dalekiego zasięgu Boeing E-3 Sentry. Z takich maszyn korzysta NATO, ale też lotnictwo USA czy Wielkiej Brytanii.



FILIP MODRZEJEWSKI

Natowskie maszyny wspomaga sześć AWACS-ów należących do Wielkiej Brytanii. Stacjonują one w bazie Waddington i również należą do sił wczesnego ostrzegania i dowodzenia.

W jaki sposób trafił pan na pokład AWACS-a?

Polska jako członek komponentu jest zobowiązana obsadzić ponad 20 etatów. W Geilenkirchen służą nasi informatycy, technicy naziemni. Mamy tam też trochę personelu latającego, głównie w załogach misyjnych. Ja byłem jedynym Polakiem, który latał w kokpicie. Oczywiście podczas dobiegającej właśnie końca rotacji, bo wcześniej mieliśmy w komponencie dwóch polskich nawigatorów. Trzy lata temu w Polsce było zaledwie kilku żołnierzy, którzy spełniali odpowiednie wymagania do objęcia tego stanowiska. Dostałem taką propozycję i pomyślałem sobie: dlaczego nie?

Jakie wymagania należało spełnić?

Trzeba posługiwać się angielskim na odpowiednio wysokim poziomie, mieć status nawigatora wyszkolonego do poziomu „combat ready” [pełna gotowość bojowa] oraz certyfikat umożliwiający dostęp do informacji niejawnych. Należało też zaliczyć serię szkoleń, w tym kurs SERE [Survival, Evasion, Resistance, Escape], czyli przetrwania po zestrzeleniu nad terytorium nieprzyjaciela. Koniecznym warunkiem jest też nie-nagane zdrowie.

Pan wcześniej służył w lotnictwie morskim...

Tak, jestem nawigatorem w załodze śmigłowca zwalczania okrętów podwodnych Mi-14PŁ. Moja macierzysta jednostka to 44 Baza Lotnictwa Morskiego w Darłowie.

Przeskok gigantyczny!

To prawda. Mi-14PŁ lata stosunkowo nisko, przede wszystkim nad polskimi wodami Bałtyku, podczas gdy AWACS po-

rusza się na wysokości 9–10 tys. m, w przestrzeni kontrolowanej, gdzie panuje spory ruch. W dodatku podczas jednej misji pokonuje ogromne dystanse. Bywało, że w dwa dni oblatywaliśmy bez mała całą Europę. Tyle że ja na studiach w Dęblinie przeszedłem szkolenie przygotowujące do służby nawigatora samolotów transportowych. Zdobyte wówczas doświadczenie okazało się bardzo pomocne.

Czy pamięta pan swoją pierwszą misję na pokładzie AWACS-a?

Tak, to był lot nad Polską. Zaraz potem były Wyspy Kanaryjskie. Braliśmy udział w ćwiczeniach, które organizowała hiszpańska armia. Wykonywaliśmy misje w okolicach Gran Canarii, lataliśmy na wysokości Sahary.

Brał pan udział w wielu ćwiczeniach. Które najmocniej utkwily panu w pamięci?

Na pewno udział w NATO Tiger Meet, czyli ćwiczeniach bojowych eskadr, które mają tygrysa w swoim logo. W 2018 roku po raz pierwszy odbyły się one w Polsce. Zresztą w ogóle stosunkowo często gościliśmy w Polsce. Wykonaliśmy na przykład przelot podczas Air Show w Radomiu. Częściej jednak operowaliśmy nad terytorium Turcji. Blisko stamtąd do Syrii, gdzie toczy się wojna domowa. Natomiast loty nad Atlantykiem był ciekawe z lotniczej perspektywy. Wykonywaliśmy też zadania za kołem podbiegunowym. Bywało na przykład, że przez kilka godzin „wisieliśmy” w okolicach Grenlandii.

Zdarzały się jakieś niespodzianki?

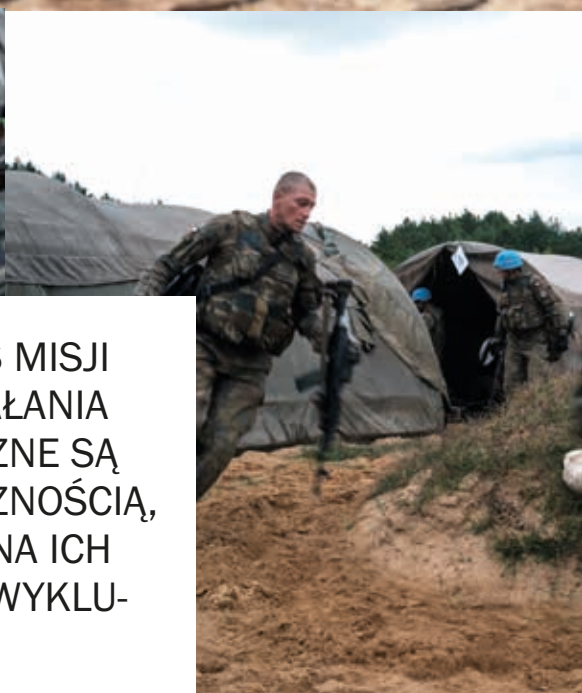
Dość szybko nauczyłem się tego, że zawsze trzeba mieć przy sobie paszport i kartę kredytową. Zdarzały mi się różne sytuacje. Startowałem rano z przekonaniem, że kolację zjem w domu. W końcu co zaskakującego mogło się wydarzyć podczas lotu nad Polską. Tymczasem w ciągu dnia dostawaaliśmy rozkaz, by lecieć na drugi koniec Europy i w rezultacie wracaliśmy do macierzystej bazy po tygodniu. Jeśli służy się na pokładzie tej maszyny, to nigdy nie wiadomo, gdzie się trafi...

Teraz pewnie będzie spokojniej?

Na pewno inaczej. Początkowo w Geilenkirchen miałem naloty sięgające 500 godzin rocznie. To jest ponad 40 misji. Ostatni rok pod tym względem był trochę inny. Mniej latałem, za to miałem bardzo dużo pracy przy planowaniu operacji. Ale w sumie i tak zaliczyłem ponad sto misji. To naprawdę niesamowite doświadczenie. Teraz wracam nad Bałtyk, do Darłowa. Znów będę musiał przypomnieć sobie, jak pracuje się na pokładzie czternastki, ale myślę, że nie potrwa to długo. No i mam wielką nadzieję, że doczekam nowych śmigłowców. ■



PODCZAS MISJI
ONZ DZIAŁANIA
KINETYCZNE SĄ
OSTATECZNOŚCIĄ,
NIE MOŻNA ICH
JEDNAK WYKLU-
CZYĆ





Gotowi na Liban

Żołnierze z Błękitnej Brygady przeszli certyfikację do PKW w Libanie. To ostatnia prosta przed rozpoczęciem pierwszej zmiany.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Kolumna rosomaków przesuwająca się metr za metrem po nieznanym terenie. Pluton przemieszczający się pojazdami przez cały czas musi zachować wzmożoną czujność. Co prawda w Libanie nie toczy się otwarty konflikt, ale w okolicach niebieskiej linii należy się spodziewać wszystkiego.

NOWA MISJA...

Nagle jeden z żołnierzy dostrzega ruch. Z pobliskich zarośli przez chwilę patrzą na niego ciemne oczy zamaskowanego mężczyzny. Pada strzał, w powietrzu zaczyna się unosić gęsty dym. Żołnierze z 12 Brygady Zmechanizowanej trzymają nerwy na wodzy. W momencie bezpośredniego ataku mandat ONZ dopuszcza użycie broni, ale każda taka sytuacja wymaga szcze-

gólnego podejścia. Na pograniczu Libanu z Izraelem nie jest trudno wywołać pożar, którego ugaszenie może być już niemożliwe.

Po chwili okazuje się, że sprawcami incydentu byli przemytnicy, którzy próbowali przeniknąć przez niebieską linię. Polscy żołnierze upewniają się, że pokrzyżowali te plany, po czym kontynuują swój patrol. Niespełna kilometr dalej na drodze przejazdu pojawia się człowiek, który żywiołowymi gestami próbuje zwrócić na siebie uwagę. Może to być pułapka, jednak dotychczasowe spotkania z lokalną ludnością pozwalają zachować optymizm. Mieszkańcy pobliskich wiosek utrzymują dobre relacje z Polakami. Podobnie jest tym razem. Mężczyzna poinformował siły pokojowe ONZ o niewypałach, na które natrafił w drodze na pastwisko. Zostaną one



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)



Na misji w Libanie nie można wykluczyć działań kinetycznych, więc żołnierze ćwiczą takie sytuacje, jak odparcie ataku czy konfrontacja z przemytnikami.

niezwłocznie zabezpieczone i podebrane przez saperów.

Opisane scenariusze były częścią ćwiczeń „Litani ’19”, które w drugiej połowie sierpnia przeprowadzono na poligonie w Wędrzynie. „Ich celem było stworzenie warunków dla zespołu certyfikującego do oceny przygotowania naszych pododdziałów. Wszystkie zadania były bezpośrednio związane ze specyfiką misji w Libanie, a reakcje żołnierzy opierały się na standardowych procedurach obowiązujących w ONZ”, tłumaczy ppłk Paweł Bednarz, dowódca 3 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej 12 Brygady Zmechanizowanej.

...NOWE WYZWANIA

Wieczorną rutynę przerywa wycie syreny alarmowej, poprzedzone potężną eksplozją. Baza ONZ znajduje się pod ostrzałem! Niezależnie od wykonywanych czynności żołnierze biegają do schronów. Po chwili okazuje się, że spadające z nieba rakiety są tylko zapowiedzią znacznie poważniejszych problemów. Na horyzoncie pojawiają się wrogie pododdziały, w tym transportery opancerzone. Nie ma żadnych wątpliwości, że ich celem jest zaatakowanie polskiej bazy. Rozpoczyna się

kanonada. W stronę nacierających wozów raz za razem lecą salwy oddawane z armatek rosomaków, dodatkowo wspierane granatami przeciwpancernymi. Ogień prowadzony jest także z dwóch stanowisk lekkich karabinów maszynowych, które skutecznie rozprawiają się z przeciwnikiem. Ogłuszający huk milknie równie niespodziewanie, jak się rozpoczął. Dzięki szybkiej reakcji atak został odparty.

Podczas misji ONZ działania kinetyczne są ostatecznością, nie można ich jednak wykluczyć. „Wchodzimy do nowej misji, która stawia przed nami specyficzne wymagania. Żołnierze wynieśli doświadczenie z Bałkanów, Iraku i Afganistanu. W Libanie będą wykonywać zadania pokojowe zgodne z wymaganiami ONZ, ale muszą być przygotowani na trudne sytuacje. Nawet jeżeli są one mało prawdopodobne”, podkreśla płk Mirosław Potocki, szef Oddziału Kontroli Operacyjnej i Certyfikacji Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Pierwsza polska zmiana PKW w Libanie osiągnie pełną gotowość operacyjną w listopadzie. ■

Więcej na temat udziału Polaków w misji w Libanie w „Polsce Zbrojnej” 8/2019 w artykule: „Cienka niebieska linia”



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)



W CZASIE MISJI
ŻOŁNIERZE BĘDĄ
WYKONYWAĆ ZA-
DANIA POKOJO-
WE, ALE MUSZĄ
BYĆ PRZYGOTO-
WANI DO DZIAŁA-
NIA W BARDZO
TRUDNYCH
SYTUACJACH



TERAPIA POKOLEŃ

„Jesteśmy iracko-afgańską rodziną, bo łączą nas podobne przeżycia”, mówią weterani oraz rodzice żołnierzy poległych, którzy spotykają się na turnusach rehabilitacyjno-integracyjnych.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Najstarszy uczestnik zajęć miał 77 lat, najmłodszy – zaledwie półtora roku. Ten pierwszy jest ojcem mjr. Jacka Kosteckiego, który zginął na misji w Iraku. Dziecko natomiast to córka mjr. rez. Jacka Piontki, weterana poszkodowanego, rannego podczas operacji w Bośni i Hercegowinie. Znaleźli się oni w grupie ponad 70 osób biorących udział w turnusie rehabilitacyjno-integracyjnym, który w ramach zadania zleconego MON-u zorganizowało w Zebrzydowicach Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.



TOMASZ KLOC:
„Jesteśmy skazani na systematyczną rehabilitację do końca życia”.

NIEZABLIŻNIONE RANY

W turnusie wzięli udział rodzice poległych żołnierzy. Często mimo upływu lat nie mogą oni zaakceptować śmierci dziecka. Od wypadku mjr. Jacka Kosteckiego, który w 2004 roku zginął w Iraku w katastrofie śmigłowca, minęło 15 lat, a jego ojciec ciągle nie potrafi o tym mówić bez wzruszenia. Podkreśla jednak, jak ważne są dla niego spotkania z weteranami. „Tworzymy iracko-afgańską rodzinę, bo łączą nas podobne przeżycia. Ale nie rozmawiamy o śmierci naszych synów. Czas tylko powierzchownie zbliżił nasze rany”, przyznaje Kazimierz Kostecki.

Wiedzą o tym członkowie stowarzyszenia, dlatego starają się pamiętać nie tylko o poległych kolegach, lecz także ich rodzicach. „Dobrze czujemy się wśród weteranów poszkodowanych, bo oni traktują nas jak własnych rodziców”, uważa Ewa Stypuła, matka kpr. Pawła Stypuły, żołnierza 2 Mazowieckiej Brygady Saperów w Kazuniu, który dziewięć lat temu zginął w Afganistanie podczas rozbrajania miny pułapki.

Aleksandra i Janusz Kurowscy, rodzice por. Łukasza Kurowskiego, który w 2007 roku zginął na misji w Afganistanie, po raz pierwszy skorzystali z zaproszenia stowarzyszenia na taki turnus. Doceniają to, że koledzy syna o nich pa-

miętają. „O tym, co się stało przed 12 laty, nie rozmawiamy”, mówi Aleksandra Kurowska. „To dla nas trudny temat, trauma nadal pozostaje silna”, dodaje Janusz Kurowski.

Dzięki obecności rodziców poległych misjonarzy oraz rodzin weteranów poszkodowanych na turnusie zapanowała rodzinna atmosfera. „Codzienne zabiegi pomagają nam w przywróceniu sprawności fizycznej, a wspólne marsze nordic walking oraz górskie wycieczki sprzyjają integracji środowiska. Wybieramy takie szczyty, na które dadzą radę wejść osoby starsze oraz poszkodowane”, wyjaśnia Tomasz Kloc, prezes stowarzyszenia, i opowiada o wyprawie na najwyższy okoliczny szczyt Klimczok. Wzięli w niej udział nie tylko ranni weterani, lecz także niemal wszyscy rodzice żołnierzy. Co prawda, część trasy pokonali kolejką górską, ale na szczyt weszli o własnych siłach.

„Organizujemy turnusy dla rannych weteranów, bo wielu z nas może normalnie funkcjonować tylko dzięki rehabilitacji”, dodaje Tomasz Kloc, który na I zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku służył jako saper. Do dziś w jego ciele tkwią odłamki po wybuchu miny pułapki, ma niedowład prawej ręki, a uszkodzony nerw udowy powoduje przykurcze. „Jesteśmy skazani na systematyczną rehabilitację do końca życia”, podkreśla.

WSPARCIE RODZINY

Rehabilitacja połączona ze wspólnym pobytem z najbliższymi przynosi pożądane efekty w przywracaniu sprawności ruchowej. Mjr rez. Jacek Piontek już po raz drugi przyjechał razem z żoną Julią i trzema córeczkami na turnus do Zebrzydowic. Jest przekonany, że udział w terapii członków rodziny pozytywnie wpływa na proces leczenia. Podkreśla, że Amerykanie stosują tę regułę od wielu lat podczas rehabilitacji swoich żołnierzy. „Staram się też zrekompensować moim bliskim czas, gdy mnie przy nich nie było, bo

służyłem w różnych miejscowościach, a rodzina nie nadążała za garnizonom”, mówi weteran. Przed ponad dwoma laty odszedł na emeryturę po 25 latach służby.

Piontek został ranny w Bośni i Hercegowinie w 2004 roku. Wówczas honker, którym jechał, dachował i wpadł na pole minowe. „Niezdolny do służby w wojskach powietrzno-desantowych”, orzekła komisja lekarska. „Przez kilka miesięcy byłem na morfinie. Mogłem tylko siedzieć i patrzeć w jeden punkt”, wspomina początki rehabilitacji. Trwa ona do dziś. „Zabiegi fizjoterapeutyczne ratują mój kręgosłup złamany podczas wypadku na misji”, mówi weteran poszkodowany. Wraz z żoną starają się korzystać z zabiegów wcześniej rano, gdy dzieci jeszcze śpią.

Podobnie postępują ppłk Sebastian Grell i jego żona. „Do południa, gdy nasze dwie córki bawią się pod czujnym okiem opiekunki, my »podłączamy się pod prąd« lub oddajemy w ręce masażyści”, opowiada. Podpułkownik, który niedawno został dowódcą 3 Zamojskiego Batalionu Zmechanizowanego, ma status weterana poszkodowanego. Na misji w Afganistanie w trakcie wymiany ognia skrzył staw kolonowy i zerwał więzadła. „To nic wielkiego, inni mają gorzej”, bagatelizuje swój dziesięcioprocentowy uszczerbek na zdrowiu. Dzięki systematycznej rehabilitacji i ćwiczeniom wzmacniającym mięśnie dziś może wraz z rodziną wędrować górkami szlakami. Najdłuższa wyprawa liczyła 26 km. „Ja i żona byliśmy już zmęczeni, ale musieliśmy sprostać wyzwaniu, bo okazało się, że obie córki mają niewyczerpane zasoby energii”, wspomina ze śmiechem.

O tym, że obecność najbliższych pozytywnie wpływa na proces leczenia, jest przekonany także Witold Kortyka, któremu na turnusie towarzyszą żona Beata i 12-letni syn Tomek. Chociaż od wypadku na misji w Iraku minęło 14 lat, Kortyka nadal odczuwa ból w uszkodzonym stawie skokowym i łokciowym oraz kręgosłupie i barku. Nie zaniedbuje jednak rehabilitacji. W marcu 2019 roku wrócił jako kapitan marynarki do służby w Komendzie Portu Wojennego Gdynia na stanowisko zdolny do służby z ograniczeniami. „Zaliczyłem nawet na piątkę egzamin z wychowania fizycznego”, podkreśla.

TARCZE PRZECIW TRAUMIE

Weteranów na turnusie odwiedziła Agata Norek, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, żeby pokazać jedną z metod leczenia PTSD. „Nie byłem na prawdziwej wojnie, ale też stoczyłam ciężką walkę. Teraz chcę się dzielić tym doświadczeniem z innymi”, tłumaczyła. Jej terapia polegała na zbudowaniu 27 tarcz obronnych, podobnych do tych, których używali rycerze. „Na jednej z wystaw tarcz dwóch mężczyzn płakało. Opowiedzieli mi o swoich najcięższych



→ DZIĘKI OBECNOŚCI
RODZICÓW POLEGŁYCH
MISJONARZY ORAZ
RODZIN WETERANÓW
POSZKODOWANYCH
NA TURNUSIE ZAPANOWAŁA
RODZINNA ATMOSFERA



PIOTR PYTEL / 12 BZ (2)

Czynny wypoczynek, wspomagany przez zabiegi wykonywane przez profesjonalnych terapeutów, to skuteczny środek na większość dolegliwości



życiowych doświadczeniach”, mówi artystka. Stąd wziął się pomysł na warsztaty, podczas których uczestnicy budują z różnych materiałów własne tarcze, by w ten sposób wyzwoić się z traumatycznych doświadczeń.

RAZEM Z SOJUSZNIKAMI

„Po raz pierwszy w ramach współpracy z amerykańską Fundacją Sił Sprzymierzonych [Allied Forces Foundation] zaprosiliśmy na turnus rehabilitacyjny weteranów z USA”, wyjaśnia Tomasz Kloc. Przyjechali żołnierze z batalionu poszkodowanych (Wounded Warrior Battalion East). „Gdy nasz dowódca zapytał, kto chce pojechać do Polski na rehabilitację, zgłosiłem się od razu”, mówi pochodzący z Teksasu sierż. Oscar Lemus, który do Zebrzydowic przyjechał wraz z żoną Moriah. „Wojsko zawsze było moją pasją, dlatego po szkole średniej wstąpiłem do piechoty morskiej. Ta służba daje duże możliwości rozwoju”, opowiada. Dlatego chciałby pozostać w armii, gdy skończy mu się pięcioletni kontrakt. Na razie jednak musi się skoncentrować na rehabilitacji, aby wyleczyć kolano, uszkodzone w wypadku na misji na Bliskim Wschodzie. W Zebrzydowicach wspólnie z polskimi weteranami korzysta z zabiegów fizjoterapeutycznych. „Moja rehabilitacja trwa już półtora roku. Jeszcze mam kłopot z bieganiem, bo przy dużym wysiłku kolano trochę mi puchnie. Ale się nie poddaję. Muszę wrócić do pełnej sprawności”, tłumaczy sierżant. Do Zebrzydowic przyjechało na kilka dni także czterech amerykańskich żołnierzy z zespołu współpracy cywilno-wojskowej (US Civil Affairs Team), stacjonującego na Słowacji, oraz dwóch służących w dowództwie 1 Dywizji Piechoty.

„Amerykańscy koledzy byli pod wrażeniem. Podobała im się organizacja naszego turnusu. Zadeklarowali, że postarają się wesprzeć nasze stowarzyszenie – zorganizują zbiórkę funduszy na realizację takich przedsięwzięć”, mówi Witold Kortyka. Współpraca z amerykańskimi weteranami zaczęła się przed rokiem górską wędrówką, liczącym blisko tysiąc kilometrów szlakiem św. Jakuba, który prowadzi z Francji do Hiszpanii. Przeszedł ją wówczas wspólnie z byłymi żoł-

nierzami z fundacji Veterans on the Camino. „Celem tej wyprawy było upamiętnienie sierż. Krystiana Banacha z 20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej, który zginął 21 grudnia w 2011 roku w Afganistanie”, wspomina polski weteran.

Polskie stowarzyszenie współpracuje także z organizacją zrzeszającą mołdawskich weteranów – Credinta Patriei. Z zaproszenia na turnus do Zebrzydowic skorzystał m.in. Alex Brighidin, weteran wojny domowej, która toczyła się

w Mołdawii na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Jak opowiada, nie mieli wówczas własnej armii, więc o niepodległość walczyła policja. Weterani tej wojny założyli stowarzyszenie, które dziś liczy około 300 członków. Chcą m.in. upamiętnić tych, którzy zginęli w czasie walk. „Opiekujemy się również grobami żołnierzy poległych w I wojnie światowej. Na jednym z cmentarzy w Kiszyniowie znajdują się także polskie mogiły z XIX wieku”, dodaje Alex Brighidin.

Jak mówi, pobyt na turnusie w Zebrzydowicach to dla niego okazja, aby zobaczyć, jak funkcjonuje stowarzyszenie polskich weteranów oraz jak rząd i organizacje pozarządowe pomagają misjonarzom.

KOLEJNE TURNUSY

Ciężko ranni na misjach weterani (z uszczerbkiem na zdrowiu przekraczającym 30%) czekają na nowelizację ustawy o weteranach. Gdy wejdzie ona w życie, zapewni im oraz ich rodzinom możliwość regularnego korzystania z finansowanych przez resort turnusów rehabilitacyjnych. Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju ma w swoich szeregach także kilkunastu żołnierzy, którzy nie dostali statusu weterana poszkodowanego, bo ich wypadek na misji nie był związany z działaniami bojowymi. Nie mogą zatem korzystać z dobrodziejstw ustawy o weteranach. „Dlatego będziemy nadal zapraszać ich na organizowane przez nasze stowarzyszenie turnusy rehabilitacyjne, które sfinansujemy ze środków własnych lub funduszy zebranych od sponsorów”, deklaruje prezes Tomasz Kloc. ■

REHABILITACJA POŁĄCZONA ZE WSPÓLNYM POBYTEM Z NAJBLIŻSZYMI PRZYNOŚI POŻĄDANE EFEKTY W PRZYWRACANIU SPRAWNOŚCI RUCHOWEJ

PPOR. PIL. KAROL LEWANDOWSKI



Data i miejsce urodzenia:

30 maja 1994 roku, Warszawa.

Tradycje woj-

skowe: w woj-
sku służyli mój
tata i dziadek.

W wojsku

służy od:
25 września
2014 roku.

Zajmowane

stanowisko: pilot
w 14 Eskadrze Lotni-
czej w 33 Bazie Lot-
nictwa Transporto-
wego w Powidzu.

EDUKACJA WOJSKOWA:

Lotnicza Akademia Wojskowa.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

jestem teraz w USA, gdzie szkolę się na pilota C-130.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

rozpoczęcie studiów w dęblńskiej Szkole Orląt.

NAJLEPSZA BRÓŃ:

ludzki umysł.

GDYBYM NIE ZOSTAŁ ŻOŁNIERZEM, BYŁBYM DZIŚ:

pilotem cywilnych linii lotniczych.

GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU:

otworzyłbym je na implementowanie praktycznych pomysłów
i rozwiązań.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBAJĄ MI SIĘ:

jego wygoda i funkcjonalność.



W SIŁACH POWIETRZNYCH
MOGĘ SPEŁNIAĆ SWOJE
MARZENIA.

HOBBY:



sport



sztuki walki



podróże



literatura



muzyka



film



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. ARCH. PRYWATNE

Przecieranie szlaków

„Jedni witali nas z radością, inni okrzykiem »NATO go home«,” mówią polscy żołnierze z pierwszej zmiany misji w Kosowie.

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

Bylismy pierwszymi polskimi żołnierzami, którzy wzięli udział w operacji pod egidą NATO. Musieliśmy uczcić dwudziestolecie naszej misji w Kosowie”, wyjaśnia st. kpr. rez. Krzysztof Neścior. Założył na Facebooku grupę, aby nawiązać kontakt z kolegami z tej misji. Z miesiąca na miesiąc dołączali się do niej kolejni weterani, aż w końcu padła propozycja spotkania. Z ponad 150 uczestników I zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego KFOR, którzy mają ze sobą kontakt na Facebooku, na spotkanie do Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa przyjechało 50: oficerowie i szeregowcy, dowódcy i ich podwładni, przedstawiciele różnych kompanii. „O rany, to już 20 lat?!”, zdziwił się gen. bryg. w st. spocz. Tomasz Bąk, gdy otrzymał zaproszenie na rocznicowe spotkanie. Potem przyszła chwila refleksji, jak ważna była to misja. „Dziś na Bałkanach panuje pokój. Sprawa kosowska wymaga jeszcze wielu politycznych i gospodarczych zabiegów, ale tym już nie zajmują się żołnierze”, mówi Tomasz Bąk.

PIERWSZE KROKI

Misja w Kosowie rozpoczęła się 12 czerwca 1999 roku na mocy mandatu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Miała ona zapobiec czystkom etnicznym, do których dochodziło w wyniku wojny domowej między Serbami i Albańczykami. Wkrótce zapadła decyzja, że Polska wyśle tam ponadośmusetosobowy kontyngent. Tworzyli go żołnierze 18 Bielskiego Batalionu Desantowo-Szturmowego. „Kilka transportów kolejowych wyruszyło do Macedonii. Nie wiedzieliśmy, co czeka nas na miejscu. Czuliśmy się tak, jakbyśmy jechali na front”, wspomina Krzysztof Neścior, który przez 13 miesięcy był wówczas dowódcą drużyny.

MISJA W KOSOWIE MIAŁA ZAPOBIEC CZYSTKOM ETNICZNYM, DO KTÓRYCH DOCHODZIŁO W WYNIKU WOJNY DOMOWEJ MIĘDZY SERBAMI I ALBAŃCZYKAMI



↓ ARCH. PIERWSZEJ ZMIANY KFOR



ARCH. PIERWSZEJ ZMIANY KFOR (3)

Teren, na którym mieli stacjonować, okazał się rozległym ugo-rem, porośniętym trawą po szyję. „Musieliśmy wyciąć te chaszczce, aby rozstawić namioty. Gdy padało, chodziliśmy po pale- tach, aby nie brodzić w błocie”, opowiada mł. chor. rez. Jerzy Ludwin, który był wówczas ratownikiem pola walki. I tak w szczerym polu niedaleko miejscowości Kačanik na pograniczu kosowsko-macedońskim wyrosła polska baza, nazwana później Camp White Eagle (obóz Orzeł Biały). Dopiero po sześciu mie- siącach żołnierze przeprowadzili się do blaszanych kontenerów. Mogli już kąpać się w ciepłej wodzie, a pod koniec grudnia 1999 roku otworzono kuchnię i jadalnię z prawdziwego zdarzenia.

WSZYSTKO POD GÓRĘ

Żołnierze, którzy w 1999 roku wyjechali do Kosowa, podkre- ślają, że to była trudna misja. Niedawno skończyła się tam woj- na. Zdarzało się, że mordowano ludzi, porywano ich dla okupu. Armia Wyzwolenia Kosowa (Ushtria Çlirimtare e Kosovës – UCK) zajmowała się wówczas przemytem i przestępczością na skalę międzynarodową, zamiast wspierać żołnierzy KFOR.

Natychmiast po przybyciu w rejon misji polski kontyngent przejął odpowiedzialność za przydzieloną strefę. „Jedni witali nas z radością, inni okrzykiem »NATO go home«”, wspomina Jerzy Ludwin. Żołnierze działali w trudnym terenie, bo w po- przecinanych wąwozami górach żyły niedźwiedzie i wilki oraz kryli się przemytnicy. Polacy zapewniali wówczas cywilom bezpieczeństwo na drogach, rozminowywali okoliczne tereny, patrolowali granice, pomagali w rozdzielaniu pomocy humani- tarnej. Z czasem zadaniem misjonarzy stała się także walka z przemytem i zorganizowaną przestępczością: handlem bro- nią, ludźmi i narkotykami.

Jerzy Ludwin opowiada, że kiedy wyjeżdżał na patrole, to udzielał pomocy medycznej nie tylko naszym żołnierzom, lecz także cywilom, m.in. ofiarom wypadków drogowych lub tym, którzy weszli na pola minowe. Pewne akcje na długo zapadły w pamięć, jak ta w górach przy granicy z Macedonią, gdzie dochodziło do przemytu broni. Na miejsce żołnierzy dowiózł amerykański śmigłowiec. Nie mógł wylądować, więc wyskak- ivali, kiedy był w zawisie. „Operacja zakończyła się sukcesem, bo udało się nam odnaleźć broń i amunicję, m.in. była ukryta w jednym z gospodarstw w stodole przy psiej budzie”, wspo- mina Jerzy Ludwin.

„Oczyszczaliśmy teren Kosowa z min, aby ludzie mieli do- stęp do wody i pól”, opowiada mł. chor. rez. Janusz Sidorski,

który podczas I zmiany KFOR był dowódcą drużyny sape- rów. Nie narzekał na brak zajęć, patrole wyjeżdżały codzien- nie. „Zdarzały się ataki na konwoje, wykrywaliśmy także wiele składów amunicji”, mówi podoficer. Opowiada o jaski- ni, w której znaleźli magazyn materiałów wybuchowych, m.in. pagery służące jako zapalniki. Czasem odkrycia były makabryczne, jak wtedy gdy w jednej z jaskiń odnaleziono ciała pięciu zamordowanych Serbów. Miały pocięte ręce, no- gi i korpusy. „Jak można być tak okrutnym, żeby znęcać się nad zwłokami?”, dziwi się Janusz Sidorski.

SUKCESY I PORAŹKI

Od kwietnia 2000 roku polskim kontyngentem dowodził ppłk Tomasz Bąk, który mówi o sobie, że jest oficerem ope- racyjnym z krwi i kości. W czasie I zmiany PKW KFOR do- wodził kilkoma operacjami, które zyskały uznanie w oczach naszych sojuszników, takich jak ta w Kosowskiej Mitrovicy. To specyficzne miejsce, bo nawet dziś ciągle dochodzi tam do niepokojów. Na przełomie 1999 i 2000 roku sytuacja w mieście, gdzie Albańczycy i Serbowie żyją na przeciwle- głych brzegach rzeki Ibar, była na tyle napięta, że dowództwo międzynarodowych sił pokojowych KFOR zdecydowało, że- by stacjonujących tam francuskich żołnierzy wsparły stuoso- bowe grupy interwencyjne z innych kontyngentów. Polacy pojechali jako pierwsi. „Udało się nam zapewnić Serbom do- stęp do części miasta po drugiej stronie rzeki, gdzie przewa- żali Albańczycy, Albańczykom zaś swobodny dojazd do dzielnic, w których żyli głównie Serbowie”, wspomina Tomasz Bąk. Dwie zwaśnione nacje udało się pogodzić także wtedy, gdy w miejscowości Drajkowce na granicy serbsko- -albańskiej polscy żołnierze wybudowali przychodnię. Począt- kowo w dni parzyste przychodzili tam Albańczycy, w niepa- rzyste – Serbowie. Po roku jedni i drudzy stali już w jednej ko- lejce po pomoc medyczną.

Nie wszystkie operacje kończyły się jednak sukcesem. Tomasz Bąk opowiada o porwaniu dwóch serbskich nauczy- cieli. „Podejrzewaliśmy, że są przetrzymywani w jednej z gór- skich wiosek. Dowodziłem specjalnym oddziałem, przeszliśmy nocą przez góry, w których ukrywały się zdelegalizowane jed- nostki UCK. Niestety, gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że tam nie było już zakładników”, wspomina.

Żołnierze polskiego kontyngentu zapewniali także ochronę i wsparcie organizacjom, które dostarczały do Kosowa pomoc



Na miejscu bazy jest dziś pole, a obok biegnie nowoczesna autostrada.



Patrol plutonu rozpoznawczego 18 Batalionu. W środku st. kpr. Krzysztof Neścior

JANUSZ SIDORSKI: OCZYSZCZALIŚMY TEREN KOSOWA Z MIN, ABY LUDZIE MIELI DOSTĘP DO WODY I PÓŁ

humanitarną. W lipcu 1999 roku jako pierwsza dotarła tam Janina Ochojska z Polskiej Akcji Humanitarnej, a potem Caritas Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego. Niekiedy mieli spore problemy. Tak jak wtedy, gdy trzeba było rozdać dwa tiry wieprzowej mielonki Serbom i Albańczykom, podczas gdy mużlanie nie jedzą wieprzowiny. Albo gdy na drogach prowadzących do wiosek położonych wśród szczytów na wysokości 2499 m n.p.m. na granicy macedońsko-kosowskiej pokrywa śnieżna przekraczała 2 m. Aby dotrzeć z pomocą do mieszkających tam ludzi, żołnierze pakowali do plecaków mąkę, sól, cukier, kasze, konserwy, chleb w puszkach, zeszyty i długopisy dla dzieci, ubrania, koce – i wędrowali z 30-kilogramowym ładunkiem na plecach. „Byliśmy dobrze przygotowani do takich wypadów, bo przed wyjazdem do Kosowa sporo ćwiczyliśmy, m.in. w polskich górach”, dodaje Tomasz Bąk.

WARTO BYŁO

„Na miejscu naszej bazy jest dziś pole, obok biegnie nowoczesna autostrada. Znaleźliśmy tylko stary maszt, który stał na placu apelowym. Jeden z Albańczyków użył go do budowy ogrodzenia, ale została na nim biała-czerwona farba”, opowiada płk rez. Krzysztof Klimaszewski. Wraz z czterema kolegami wybrał się do Kosowa. Spostrzeżeniami z podróży dzielił się na Facebooku, aby koledzy z I zmiany PKW KFOR zobaczyli, jak dziś wyglądają miejsca, w których przed 20 laty stacjonowali. Pisał m.in. „Przejeżdżamy przez Popovce i Gorną Bitinję, i nie wierzę. Wtedy byłoby to nie do pomyślenia:

»dżamija« [meczet], a 100 m dalej mała cerkiew. Stoją w pobliżu siebie i nic się nie dzieje. [...] Dobrze, że jest spokój. Zastanawiający był jedynie fakt, że u Serbów zaobserwowaliśmy znikome zmiany w budownictwie, a w miejscu spalonych domów Albańczycy wybudowali wspaniałe wille”.

Kolejnego dnia Krzysztof Klimaszewski zanotował: „Susice 2019 to mała serbska wioska, gdzie czas jakby się zatrzymał. Starzy zmarli, dzieci urosły i rośnie kolejne pokolenie. Żadnych perspektyw. Szkoła i domy takie same, niektóre się zawaliły [...]. Kilka nowych dobudówek. Plac zabaw z jedną zniszczoną zabawką. Cisza, spokój. W pamięci mieszkańców pozostają chwile ostrzelania polskiego posterunku, opieki i olbrzymiej pomocy od polskich żołnierzy, zwłaszcza I zmiany, kiedy to cała wioska została ubrana od stóp do głów. Wszyscy dostali dużo konserw, które im bardzo smakowały. Była to pomoc Caritasu, którą rozprowadzali polscy żołnierze. Potem już tak nie było [...]”. Podczas pobytu w Kosowie weterani odwiedzili małą serbską szkołę we wsi Susice. Przed 20 laty mieścił się tam polski posterunek. „Chcemy zebrać fundusze, aby wspomóc tę placówkę”, deklaruje Krzysztof Neścior.

KAMIEŃ DLA PUŁKOWNIKA

„Zginął w obronie pokoju na Bałkanach”, głosi napis na grobie ppłk. Zbigniewa Wydrycha na cmentarzu w Krapkowicach. To jedyny żołnierz, który zginął podczas I zmiany PKW KFOR. „Byłem wtedy w campie, gdy przybiegł żołnierz z informacją, że w sztabie ktoś jest ranny. Chwyciłem plecak i pobiegłem. Ppłk Wydrych dawał jeszcze oznaki życia. Wezwaliśmy MEDEVAC, który zabrał go do szpitala polowego w amerykańskiej bazie Bondsteel. Obrażenia były jednak zbyt rozległe”, wspomina Jerzy Ludwin. Oficer zginął od eksplozji granatu RPG-7, który dzień wcześniej skonfiskowano Albańczykom z Korpusu Ochrony Kosowa. Jego koledzy chcieliby, aby o tej tragedii przypominał kamień lub pamiątkowa tablica.

Choć polscy żołnierze I zmiany KFOR zastali na miejscu trudną sytuację i nie byli najlepiej wyposażeni, zostali wysoko ocenieni przez amerykańskich dowódców. Gen. Bąk z misji w Kosowie wspomina wspaniałą, koleżeńską atmosferę. „Jeden mógł liczyć na drugiego. Wszyscy siadaliśmy przy jednej misce żołnierskiej zupy”, podkreśla. Janusz Sidorski dodaje: „Jestem przekonany, że gdyby dziś przyszło nam ponownie włożyć mundury, aby wyruszyć do Kosowa, odmłodnielibyśmy o 20 lat”.

MILITARIA

/ PRZEGLĄD

W WYPADKU
TRANSAKCJI Z INDO-
NEZJĄ NA SPRZEDAŻ
11 MYŚLIWCÓW SU-35 W RA-
MACH ROZLICZENIA ROSJA
MUSIAŁA PRZYJĄĆ DOSTAWY
MASŁA PALMOWEGO, GRA-
NULATU KAUCZUKOWEGO
I INNYCH TOWARÓW.

PROPAGANDOWY WYŚCIG ZBROJEŃ

**Rosyjska władza chętnie
umarza miliardowe długi** zakładom
zbrojeniowym. Chodzi tutaj o znacznie poważniejszą
sprawę niż wsparcie rodzimego przemysłu.

MAREK BUDZISZ



SUKHOI

R

osyjski wicepremier, Jurij Borysow, nadzorujący przemysł zbrojeniowy, na początku czerwca 2019 roku ogłosił, że rząd rozpatruje propozycje oddłużenia tego sektora. Jak oznajmił, chodzi o 700 mld rubli (około 11,1 mld dolarów), czyli niemal 1/3 całego, liczącego 2,3 mld rubli, zadłużenia rosyjskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego w systemie bankowym. To nie jest pierwsza tego rodzaju operacja. W 2016 roku rosyjski rząd wydał na ten cel 800 mld rubli, a rok później Anton Siluanow, minister finansów, mówił o spłacie 200 mld.

Co więcej, to czerwcowe wsparcie finansowe wcale nie musi być ostatnie, bo nie minęło sześć tygodni od wystąpienia Borysowa, gdy Siergiej Czemezow, kierujący największą rosyjską firmą zbrojeniową – koncernem Rostech, poprosił w trakcie spotkania z prezydentem Władimirem Putinem o dofinansowanie kwotą 300 mld rubli wchodzącej w skład giganta (700 firm, ponad 500 tys. zatrudnionych) Zjednoczonej Korporacji Lotniczej.

ZBYT AMBITNE PLANY

Warto zwrócić uwagę na interwencje rosyjskiego rządu zmierzające do poprawy kondycji rodzimego sektora zbrojeniowego, tym bardziej że równolegle Rosja realizuje największy w swej historii plan modernizacji technicznej armii. Przyjęto w nim, że w latach 2011–2020 na przebrojenie zostanie wydanych 20 bln rubli, czyli według ówczesnego kursu około 670 mld dolarów. Okazało się jednak, że to były zbyt ambitne założenia. W latach 2011–2018 przeznaczono na ten cel około 11,5 bln rubli. W kolejnych dwóch latach zamierza się wyasygnować kolejne 3 bln.

Równocześnie przyjęto plan na lata 2018–2027, opiewający na kwotę 19 bln rubli na zakup sprzętu i 1 bln na rozbudowę infrastruktury. Środki te, o czym na początku 2018 roku informował Władimir Putin, mają w pierwszej kolejności

zostać przeznaczone na prace nad nowymi typami broni, takimi jak system S-500, międzykontynentalne rakiety balistyczne Sarmata i Rubież, na zastąpienie starzejących się wyrzutni Topol nowoczesnymi Jars oraz na budowę myśliwców Su-57 i modernizację bombowców strategicznych Tu-95 MS, Tu-160M i Tu-22M3.

Część pieniędzy niezbędnych do realizacji tych planów ma pochodzić z eksportu rosyjskiej broni. Zgodnie z informacjami szwedzkiego instytutu SIPRI (Stockholm International Peace Research Institute), badającego światowy rynek broni i uzbrojenia, roczne przychody z tego tytułu od roku 2012 oscylują wokół 15 mld dolarów. Trzeba jednak pamiętać, że niemała część tej sprzedaży jest w formie kredytów, które najprawdopodobniej nigdy nie zostaną spłacone. Najlepszym przykładem jest Wenezuela, której zadłużenie wobec Federacji Rosyjskiej wynosi niemal 9 mld dolarów, w tym pokaźną kwotę stanowią należności za broń.

UDERZENIE W EKSPORT

Innym problemem są amerykańskie sankcje, którymi został objęty w 2017 roku Rosoboroneksport, największa rosyjska firma działająca na rynku międzynarodowym. W związku z tym zostały wstrzymane płatności Indii, od lat jednego z najlepszych rosyjskich klientów. Teraz trwają gorączkowe negocjacje, w jaki sposób umożliwić wzajemne rozliczenia. Przy czym przyjmowane rozwiązania niosą znaczne ryzyko związane z negatywnymi efektami wahań kursów walutowych.

Najlepszym przykładem na to, jak wyglądają dziś rosyjskie kontrakty eksportowe, jest najsłynniejszy z nich, zawarty w 2017 roku z Turcją na sprzedaż czterech dywizjonów S-400 o łącznej wartości 2,5 mld dolarów. Ankara tylko część tej kwoty zapłaci z własnych środków, gdyż równolegle uzyskała w Rosji kredyt na ten cel. Dostawy mają się zakończyć w tym roku, a płatności będą regulowane w ratach rozłożonych na następne lata. Przy czym trwają rozmowy na temat przejścia

ROSJA w wyniku wprowadzonych w listopadzie 2017 roku amerykańskich sankcji do 2020 roku straci około

17%

rynków zbytu na swe produkty.



Ankara kupuje cztery dywizjony S-400 o łącznej wartości 2,5 mld dolarów, ale tylko część tej kwoty zapłaci z własnych środków, gdyż równolegle uzyskała w Rosji kredyt na ten cel.

FIRMY PRODUKUJĄCE SPRZĘT PONIŻEJ KOSZTÓW WYTWORZENIA

MUSZĄ ZACIĄGAĆ KREDYTY W ROSYJSKIM SYSTEMIE BANKOWYM

w rozliczeniach na ruble i liry, waluty, których kursy podlegają znacznym wahaniom.

W wypadku transakcji z Indonezją na sprzedaż 11 myśliwców Su-35 w ramach rozliczenia musiano przyjąć dostawy masła palmowego, granulatu kauczukowego i innych towarów. Zgodnie z prognozami Jane's 360, amerykańskiej firmy konsultingowej zajmującej się badaniem światowego rynku broni, Rosja w wyniku wprowadzonych w listopadzie 2017 amerykańskich sankcji do 2020 roku straci około 17% rynków zbytu na swe produkty. W 2018 roku, jak wynika z komunikatu amerykańskiego Departamentu Stanu, Amerykanom udało się zablokować transakcje na rosyjską broń i uzbrojenie o wartości 3 mld dolarów. Tylko koncern Kałasznikow, eksportujący amunicję do Europy i Stanów Zjednoczonych, szacuje roczne straty z tego tytułu na 160 mln dolarów. Nawet Borysow na początku roku powiedział publicznie, że w obliczu sankcji trudno oczekiwać wzrostu rosyjskiego eksportu.

Inną kwestią jest to, ile sprzętu rosyjscy producenci sprzedali za granicę. Według oficjalnych danych, w 2018 roku wartość eksportu z Federacji Rosyjskiej broni i uzbrojenia

wyniosła 15 mld dolarów. Szacunki amerykańskie mówią natomiast o kwocie 8,48 mld dolarów. Tę rozbieżność w pewnym stopniu wyjaśnia raport analityków Raiffeisen Banku, którzy na podstawie danych dotyczących ubiegłorocznego wzrostu sprzedaży rosyjskich maszyn i urządzeń, szczególnie techniki wojskowej doszli do wniosku, że znaczna jej część musi być sprzedawana po niskich cenach lub wręcz dostarczana bezpłatnie.

SWOJE, CZYLI GORSZE

Problemy rosyjskiej zbrojeniówki wynikają również z realizowanej przez Rosję w ostatnich latach polityki samowystarczalności, polegającej na zastępowaniu importowanych komponentów wytwarzanymi przez rodzimych producentów. Przy czym nie zawsze oznacza to technologiczny postęp. Najlepszym przykładem jest katastrofa z lipca 2019 roku. Na „głębokowodnym aparacie” Łoszarik wybuchł pożar, w którym śmierć poniosło 14 wysokich rangą oficerów rosyjskiej marynarki wojennej. Przyczyną tragedii była eksplozja jednego z akumulatorów tej supertajnej, szpiegowskiej jednostki. ➔

TRUDNOŚCI NA RYNKACH ZAGRANICZNYCH, Z KTÓRYMI MIERZĄ SIĘ ROSYJSCY PRODU- CENCI BRONI I UZBROJENIA, POWODUJĄ, ŻE TEN SEKTOR W WIĘKSZYM STOPNIU NIŻ DOTYCHCZAS ZALEŻNY JEST OD ZAMÓWIEŃ ROSYJSKIEGO MINISTERSTWA OBRONY



BORYS OBOSOW, prezes koncernu Taktyczne Uzbrojenie Rakietowe, stwierdził, że kontrakt na dostawę rakiet do Su-57 dopiero jest w planach, a ministerstwo obrony jeszcze nie zdecydowało się ani na ich typ, ani na liczbę.

Kiedy w 2016 roku Łoszarik przechodził modernizację, zdecydowano się na zastąpienie droższych i produkowanych przez ukraińskich dostawców akumulatorów srebrno-rtęciowych podobnymi, jonowo-litowymi zbudowanymi w Rosji.

Kolejnym przykładem jest sztandarowy projekt rosyjskiego sektora lotniczego – myśliwiec V generacji Su-57. Pierwotnie założono, że do 2020 roku zostanie wyprodukowanych, w ramach rosyjsko-indyjskiego partnerstwa, 220 maszyn tego typu. Później zrewidowano te plany i zdecydowano się na wypuszczenie partii próbnej, liczącej tuzin samolotów. W 2018 roku Hindusi jednak wycofali się z projektu. Jak twierdzą ich eksperci, maszynę wyposażono w rosyjskie osprzęt, awionikę, czujniki. Są to elementy decydujące o możliwościach myśliwca, tymczasem te były, według nich, „beznadziejnie przestarzałe”.

Zresztą, jak wiadomo, realne osiągi maszyny piątej generacji nie odpowiadają założeniom. Powód jest banalnie prosty – brak docelowego silnika. Sześć dotychczas zbudowanych Su-57 ma napęd AL-41F1 (typu 117), ale ostatecznie maszyny te zostaną wyposażone w typ 129. Tylko wtedy będzie można, jak informują rosyjskie media, osiągnąć zaplanowane parametry techniczne. Problem w tym, że dopiero trwają prace konstrukcyjne związane z budową tych silników.

Podobny problem jest z uzbrojeniem myśliwców. Jak powiedział Agencji TASS Borys Obnosow, prezes koncernu Taktyczne Uzbrojenie Rakietowe, kontrakt na dostawę rakiet do Su-57 dopiero jest w planach, a ministerstwo obrony jeszcze nie zdecydowało się ani na ich typ, ani na liczbę. W tym kontekście wypowiedź Władimira Putina, że sektor obronny zredukował o 20% cenę Su-57, co pozwoli rosyjskiej armii zwiększyć zamówienie z pierwotnie planowanych 16 sztuk do 76 do roku 2028, trzeba traktować jako chwyt propagandowy, a w tym wypadku raczej marketingowy. Chodzi o to, że Moskwa zaproponowała Delhi powrót do tego projektu. Rosjanie kuszą Hindusów też w inny sposób – zgodzili się na przekazanie kodów



Rosoboroneksport na targach IDEAS. Karaczi, Pakistan – 2018 rok

źródłowych do komputerów pokładowych, co umożliwiłaby samodzielną rozbudowę oprogramowania w przyszłości, choć wcześniej nie chcieli tego zrobić. Zdaniem specjalistów, dopóki jednak nie zostanie skonstruowany nowy silnik, Indie pozostaną sceptyczne w kwestii dalszego uczestnictwa w projekcie.

O tym, że rosyjski sektor obronny boryka się z problemami wynikającymi z braku możliwości zastąpienia zaawansowanych technicznie importowanych podzespołów elektronicznych własną produkcją, świadczy również decyzja o wycofaniu się z tego powodu z seryjnego wytwarzania sputników do systemu nawigacyjnego GLONASS.

Trudności na rynkach zagranicznych, z którymi mierzą się rosyjscy producenci broni i uzbrojenia, powodują, że ten sektor, skupiający 1300 firm, w większym stopniu zależny jest od zamówień rosyjskiego ministerstwa obrony i programów modernizacji sił zbrojnych. Od rodzimych zamówień zależało 2/3 jego przychodów w latach 2011–2018. Przy czym, jak powiedział rosyjskim mediom Wasilij Zacepin, kierujący Laboratorium Ekonomii Wojska w Instytucie Gajdara, problem sprowadza się do tego, że ministerstwo wykorzystuje swą pozycję i zmusza firmy sektora do przyjęcia niskich cen. W efekcie w budżecie wszystko się zgadza, a nawet, jak w informował szwedzki SIPRI, w 2018 roku Rosja o 3,5% ograniczyła swoje wydatki na zbrojenia. Tylko że firmy wykonujące zamówienia poniżej kosztów wytworzenia muszą zaciągać kredyty w rosyjskim systemie bankowym. Stąd pojawiający się regularnie problem ich oddłużenia. Darowanie długów albo dofinansowanie kapitałów rosyjskich koncernów zbrojeniowych przez państwo nie jest zaliczane do wydatków na zbrojenia. W efekcie Rosja może twierdzić, że nie chce wyścigu zbrojeń. Wręcz kreuje się na orędownika pokoju. ■

MAREK BUDZISZ jest dziennikarzem i analitykiem specjalizującym się w tematyce związanej z Rosją i państwami postsowieckimi.



CENTRUM SERWISOWO – LOGISTYCZNE
DO OBSŁUGI CZOŁGÓW LEOPARD 2

CSL-WZM-LEOPARD 2



Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. w Poznaniu to dziś jedyny polski zakład posiadający autoryzowane uprawnienia do serwisowania i napraw czołgów Leopard 2 A4/A5, należących do Sił Zbrojnych RP. Konieczność zabezpieczenia serwisowo-logistycznego polskich Leopardów, w połączeniu z dynamicznym rozwojem firmy, pozwoliła na utworzenie w poznańskich zakładach Centrum Serwisowo-Logistycznego do obsługi czołgów Leopard 2, czyli CSL-WZM-LEOPARD 2.

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. istnieją od 1945 roku, cały czas działając w branży zbrojeniowej. Dziś wchodzi w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., konsolidującej polski przemysł obronny. Głównym profilem aktywności firmy są: produkcja, modernizacje, naprawy i serwisy czołgów, kołowych transporterów opancerzonych oraz projektowanie i produkcja szybko wymiennych zespołów napędowych do pojazdów wojskowych. Działalność WZM zapewnia kompleksowe zabezpieczenie potrzeb Sił Zbrojnych RP. W naszym Centrum Szkoleń załogi pojazdów wojskowych uczą się profesjonalnego użytkownika sprzętu.



WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.

Nowy pancerz Unii

**Europejski Fundusz Obronny
może być szansą na rozwój
polskich firm.**

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

Trzynaście mld euro – tyle ma wynosić Europejski Fundusz Obronny (EFO), przeznaczony na innowacyjne badania w dziedzinie obronności, a także zakup sprzętu wojskowego i technologii. To nie jest pierwszy projekt Unii Europejskiej dotyczący obronności, ale nigdy nie zdecydowano się na finansowanie na taką skalę programów stricte zbrojeniowych. Jak zwraca uwagę Justyna Gotkowska, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, Rada Europejska w nowym programie strategicznym Unii na lata 2019–2024 uzgodniła, że wspólnota musi wziąć większą odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo. Aby tak się stało, muszą wzrosnąć wydatki na obronność i rozwój zdolności wojskowych oraz niezbędna jest bliska współpraca z NATO. Europejski Fundusz Obronny jest jednym z instrumentów, które mają temu służyć.

WSPÓLNE PRIORYTETY

„To projekt przełomowy”, tak powołanie Funduszu ocenia Marcin Terlikowski, analityk Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Podkreśla, że po raz pierwszy w historii integracji europejskiej środki z budżetu UE będą wykorzystane do wsparcia rozwoju zdolności wojskowych państw członkowskich. Nie należy się spodziewać skokowego wzmocnienia europejskiego potencjału wojskowego, ale nastąpił pewien przełom – europejska integracja obejmie politykę obronną. „Stąd już prosta – choć wciąż daleka – droga

do głębszej integracji polityki bezpieczeństwa państw członkowskich”, dodaje Terlikowski.

Bruksela zakłada, że projekty, które będą finansowane z Europejskiego Funduszu Obronnego, muszą być zgodne z priorytetami nakreślonymi przez państwa członkowskie w ramach wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony. 13 mld euro zostanie podzielone na dwie części: 4 mld będą przeznaczone na finansowanie innowacyjnych badań naukowych (dofinansowanie może tu wynieść nawet 100%), a reszta – na wdrażanie nowych produktów, których zakupem będą zainteresowane armie państw europejskich. Co ciekawe, od 4 do 8% środków z trzynastomiliardowej puli będzie przeznaczanych na innowacje o wysokim stopniu ryzyka.

Justyna Gotkowska zwraca uwagę, że jeśli patrzy się na tę sumę z perspektywy całej Unii – wydaje się ona niewielka. Dla porównania, w 2017 roku wydatki niemieckiego resortu obrony na badania naukowe i rozwój przemysłu zbrojeniowego wyniosły 1,21 mld euro, francuskiego ministerstwa obrony – 4,9 mld, koncernu Airbus – 2,8 mld, a koncernu Leonardo – 1,5 mld. Środki z Funduszu mogą być jednak kluczowe dla małych i średnich firm. Mogą one także uzupełniać budżety koncernów zbrojeniowych na badania naukowe.

Wojciech Lorenz, analityk Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, podkreśla, że Europejski Fundusz Obronny ma znaczenie zarówno polityczne, jak i wojskowe. Ten pro-





SHUTTERSTOCK / GORODENKOFF

4 MLD ZOSTANĄ PRZEZNACZONE NA FINANSOWANIE

INNOWACYJNYCH BADAŃ NAUKO- WYCH – ICH KOSZTY MOGĄ ZOSTAĆ POKRYTE NAWET W 100%

gram jest tak skonstruowany, by firmy z kilku państw zachęcać do współpracy w rozwoju technologii i zdolności wojskowych, które trudno byłoby rozwijać samodzielnie. „W ten sposób można zwiększyć zdolność państw członkowskich do wykrywania zagrożeń oraz prowadzenia misji reagowania kryzysowego i obrony własnego terytorium”, twierdzi analityk.

KOLEJKA CHĘTNYCH

Gdy Parlament Europejski poprzedniej kadencji przegłosował powstanie Funduszu, w komentarzach prasowych pojawiły się obawy, że będą faworyzowane duże koncerny z krajów strefy euro, głównie z Niemiec i Francji. Francuzi, którzy po

opuszczeniu UE przez Wielką Brytanię mają ambicje odgrywania wiodącej (czytaj: samodzielnej) roli w europejskiej polityce bezpieczeństwa i obrony, od dawna zabiegali o stworzenie takiego programu. Również Niemcy, którzy w budowaniu zdolności obronnych doceniają współpracę międzynarodową, są pozytywnie nastawieni do tej inicjatywy, co częściowo ma swoje źródło w historii kraju. Pacyfistycznie nastawione społeczeństwo jest bardziej skłonne zaakceptować projekty europejskie niż niemieckie.

„EFO został zainicjowany, aby zwiększyć innowacyjność oraz konkurencyjność francuskiego i niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, a także otworzyć dla nich fundusze europejskie w związku ze stagnacją lub niewielkim wzrostem zamówień na rodzimych rynkach i dużą konkurencją firm spoza UE”, przypomina Justyna Gotkowska. Podczas negocjacji nad ostatecznym kształtem Funduszu dodano jednak zapisy gwarantujące korzystanie z niego również małym i średnim przedsiębiorstwom z całej Unii. Niemniej i tak niemieckie oraz francuskie firmy zbrojeniowe mają większe szanse na udział w wielonarodowych projektach ze względu na spółki córki w innych państwach. Poza tym od kilkudziesięciu lat prowadzą wspólne projekty. „Polski przemysł zbrojeniowy może mieć trudności z aplikowaniem o środki z EFO, co wynika z braku doświadczenia, partnerów zagranicznych czy odpowiednio wykształconego personelu”, twierdzi Gotkowska. Dodaje



POLSKIE PLACÓWKI BADAWCZE, FIRMY ZBROJENIOWE, WOJSKOWI I POLITYCY MUSZĄ SIĘ NAUCZYĆ KORZYSTAĆ Z EUROPEJSKIEGO FUNDUSZU OBRONNEGO

jednak, że niektóre zapisy EFO stwarzają szanse dla firm zbrojeniowych państw wschodniej flanki, w tym Polski.

O dofinansowanie będą mogły się ubiegać co najmniej trzy podmioty z minimum trzech krajów członkowskich. Ta zasada sprzyja umiędzynarodowieniu projektów, bo wymusza zaangażowanie partnerów z różnych państw. Kolejne zapisy przewidują preferencje także dla tzw. mid-caps, czyli firm o średniej kapitalizacji, które zatrudniają do 3 tys. osób.

Również Marcin Terlikowski widzi w tych zapisach szansę dla Polski, np. gdyby udało się namówić Niemcy i Francję, aby razem z nami pracowały nad projektem czołgu nowej generacji. Nasze firmy zbrojeniowe powinny się angażować w mniejsze projekty, dotyczące niszowych rodzajów uzbrojenia i sprzętu wojskowego. Dzięki temu mogłyby zyskać transfer technologii i zdobyć know-how przez mechanizmy inne niż offsety czy licencje. „W ten sposób włączylibyśmy się w europejską współpracę przemysłowo-obronną”, podkreśla analityk.

O tym, że polskie firmy muszą się jeszcze sporo nauczyć, aby sięgać po europejskie fundusze przeznaczone na obronność, jest przekonany prof. Zdzisław Krasnodębski, który w Parlamencie Europejskim przedstawił raport na temat Europejskiego Funduszu Obronnego.

Według Marcina Terlikowskiego najlepiej byłoby, gdyby z EFO do 2027 roku skorzystano przy kilku dużych projektach, ukierunkowanych na rozwój nowych platform. Jako jeden z przykładów podaje dofinansowanie eurodrona, czyli europejskiego bezzałogowca klasy MALE powstającego w koprodukcji niemiecko-francusko-włoskiej. Analityk spodziewa się, że z Funduszu będą wspierane również badania nad innowacyjnymi technologiami obronnymi: robotyką, sztuczną inteligencją, nowymi materiałami, bronią wiązkową. Długoterminowym celem jest bowiem wzmocnienie konkurencyjności europejskiego przemysłu obronnego wobec dominującej pozycji USA. Justyna Gotkowska przewiduje natomiast, że polskie spółki zbrojeniowe zechcą angażować się m.in. w projekty, które wskazał polski rząd w euro-

pejskim programie rozwoju przemysłu obronnego, czyli dotyczące radiostacji programowalnych, czołgu nowej generacji czy amunicji programowalnej kalibru 23–25 mm.

Z kolei Zdzisław Krasnodębski twierdzi, że „współpraca w ramach Funduszu Obronnego może nam dać w przyszłości dużo więcej niż wszystkie umowy offsetowe z Amerykanami”. Jest jednak jeden warunek: polskie placówki badawcze, firmy zbrojeniowe, wojskowi i politycy muszą się nauczyć z niego korzystać.

PROTESTY AMERYKANÓW

W maju 2019 roku hiszpański dziennik „El Pais” opublikował pismo wysłane przez zastępczynię sekretarza obrony USA Ellen Lord i Andreę Thompson do ówczesnej wysokiej przedstawicielki Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa Federici Mogherini, w którym wyrażały zaniepokojenie zasadami funkcjonowania Europejskiego Funduszu Obronnego. Chodzi o to, że firmy dofinansowywane z EFO nie mogą być kontrolowane przez kraje trzecie. Amerykanom nie spodobały się także unijne regulacje dotyczące zachowania wyłącznych praw intelektualnych w UE oraz ograniczony dostęp do udziału w projektach stałej współpracy strukturalnej PESCO.

Wojciech Lorenz wskazuje, że z perspektywy amerykańskich firm zbrojeniowych wzmocnienie potencjału technologiczno-przemysłowego UE może się wydawać niekorzystne. Podkreśla jednak, że w szerszej perspektywie powstanie Funduszu leży także w interesie Waszyngtonu. Od dawna bowiem Amerykanie naciskają na Europejczyków, żeby zwiększyli wydatki na obronność. Natomiast dzięki Funduszowi chętniej będą oni inwestować w zdolności, których samodzielnie by nie rozwijały.

Na razie trudno jeszcze ocenić, jaką rolę odegra Fundusz w polityce obronnej państw UE. „Wcale nie jest przesądzone, że okaże się on sukcesem”, zastrzega Justyna Gotkowska. Doświadczenie pokazuje bowiem, że wielostronne projekty zbrojeniowe nie muszą być automatycznie tańsze i efektywniejsze. ■



MARCIN TERLIKOWSKI, analityk Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych: „EFO to projekt przełomowy. Stąd już prosta – choć wciąż daleka – droga do głębszej integracji polityki bezpieczeństwa państw członkowskich”.



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa
tel.: +48 261 851 300; fax: +48 261 851 313
www.itwl.pl e-mail: poczta@itwl.pl



Prowadzimy działalność innowacyjną w zakresie:

- Badania naziemne i w locie
- Systemy diagnostyczne dla techniki lotniczej
- Wspomaganie sterowania eksploatacją
- Symulacja i modelowanie
- Awionika
- Uzbrojenie lotnicze
- Systemy rozpoznania, dowodzenia i szkolenia
- Integracja systemów C4ISR
- Bezzałogowe statki powietrzne
- Struktury kompozytowe
- Diagnostyka powierzchni roboczych lotnisk
- Badania paliw i cieczy roboczych
- Testy i certyfikacja wyrobów

Posiadamy:

- Koncesję Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji Nr B-404/2003
- Natowski Kod Podmiotu Gospodarki Narodowej (NCAGE) 0481H
- Wewnętrzny System Kontroli Nr W-45/10/2017 w zakresie naukowo-badawczego wspomaganie eksploatacji lotniczej techniki wojskowej
- Akredytowane przez PCA laboratoria badawcze
- Certyfikat systemu zarządzania jakością, spełniający wymagania NATO AQAP-2110 i PN-ISO 9001
- Świadectwo Bezpieczeństwa Przemysłowego pierwszego stopnia
- Uprawnienia do nadawania tytułu naukowego doktora habilitowanego



W 2018 roku Turcy wygrali przetarg na cztery korwety dla Pakistanu. Jednostki MİLGEM Ada będą budowane przez stocznie w Stambule i Karaçi. Jeden okręt ma kosztować 250 mln dolarów.

Ambitny cel Ankary

Za pięć lat Turcja chce być w gronie największych eksporterów broni na świecie, ale to nie będzie łatwe.

TADEUSZ WRÓBEL



TURKISH NAVY

NA TWORZONEJ PRZEZ SIPRI LIŚCIE 100 NAJWIĘKSZYCH FIRM ZBROJENIO- WYCH W 2017 ROKU ZNALEŻLI SIĘ DWAJ REPREZENTANCI TUR- CJI – TURKISH AERO- SPACE INDUSTRIES I ASELSAN

Ubiegły rok był przełomowy dla tureckiego sektora obronno-lotniczego, który pierwszy raz w historii zdobył zagraniczne kontrakty o wartości przekraczającej 2 mld dolarów. Tymczasem jeszcze w pierwszej dekadzie XXI wieku Turcja była wyłącznie wielkim importerem uzbrojenia. Do 2012 roku eksport nie przekroczył granicy 100 mln dolarów. Jednak przemysł, wieloletni proces rozbudowy rodzimego przemysłu zbrojeniowego przynosi owoce. Dzięki umiejętnie zawieranim kontraktom na import uzbrojenia, które były powiązane z transferem technologii, tureckie firmy uzyskiwały stopniowo nowe zdolności.

TWORZENIE PODWALIN

Często stawianym przez Turków warunkiem zakupu była licencyjna produkcja broni i sprzętu w ich kraju. Przykładem tego jest montaż myśliwców F-16, który dał impuls do rozwoju przemysłu lotniczego. Inne ważne posunięcie to uruchomienie, we współpracy z amerykańskim partnerem FMC Corporation, produkcji gąsienicowych pojazdów pancernych będących rozwinięciem transportera M113. Z kolei późniejsza kooperacja z Koreą Południową zaowocowała nowoczesnymi rozwiązaniami w artylerii samobieżnej. Następnym jej etapem był czołg Altay.

Dzięki międzynarodowej współpracy Turcja zyskała zdolności budowy w kraju szerokiej gamy okrętów nawodnych oraz podwodnych. Nowością są zaś śmigłowce uderzeniowe i wielozadaniowe – tu partnerami Turków zostali Włosi i Amerykanie. Umowy dotyczyły zmodernizowanej maszyny AW129, wyposażonej w tureckie urządzenia i uzbrojenie, oraz S-70i. Z kolei jeśli chodzi o broń raketową, to Ankara postawiła na Chiny, które były gotowe udostępnić jej know-how wielolufowej artylerii raketowej i pocisków balistycznych.

Zdając sobie sprawę z tego, co daje niezależność, także w kontekście eksportu, turecki przemysł inwe-

stuje w prace nad kluczowymi podzespołami, w tym własnymi silnikami do statków powietrznych i pojazdów. Równocześnie opracowywane są coraz bardziej zaawansowane systemy elektroniczne, elektromechaniczne i uzbrojenie, w tym kierowane pociski raketowe, a także drony. Wśród nowych

obszarów zainteresowania tureckiej zbrojeniówki znalazły się lasery i broń elektromagnetyczna.

EKSPORTOWA OFENSYWA

Uzyskane z zagranicy technologie Turcja wykorzystwała do opracowania własnych konstrukcji uzbrojenia i sprzętu wojskowego, które są już użytkowane przez tamtejsze siły zbrojne i służby, a także oferowane klientom zagranicznym. Ci zaś są coraz bardziej zainteresowani ofertą tureckiej zbrojeniówki, o czym świadczy dynamika eksportu z ostatnich lat. Jak podał Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem (SIPRI) w raporcie „Trends in international arms transfers, 2018” w latach 2014–2018 Turcja sprzedała za granicę o 170% więcej broni (w porównaniu z okresem 2009–2013). W ubiegłym roku wartość kontraktów jej branży obronno-lotniczej wyniosła 2,035 mld dolarów. Dla porównania eksport broni w skali globalnej wzrósł w tym samym czasie o 7,8%.

Atutami tureckiej zbrojeniówki są wykształceni inżynierowie i stosunkowo tania siła robocza, co przekłada się na cenę wyrobów. Ważne jest też wsparcie ze strony państwa, które od lat prowadzi aktywną promocję za granicą.

Turcy nie skupiają się na sprzedaży gotowych produktów, ale są otwarci na udostępnianie licencji i technologii oraz wspólne opracowywanie wyrobów, które będą produkowane przez zagranicznych partnerów. Rząd w Ankarze pozwala swym firmom zbrojeniowym penetrować rynki, które z powodu ograniczeń prawnych (embarga, restrykcje w transferze technologii) są niedostępne dla zachodnich producentów.



Dlatego za kluczowe rynki zbytu swej broni Turcy uważają kraje Azji Południowej i Południowowschodniej. Nie bez znaczenia jest to, że z wieloma tamtejszymi potencjalnymi nabywcami broni łączy ich przynależność do świata islamu, która z pewnością ułatwia wzajemne kontakty.

Do rekordowej wartości umów na eksport broni w 2018 roku przyczynił się wielki kontrakt z Pakistanem, który zdecydował się kupić od Turcji 30 szturmowych śmigłowców T-129 ATAK za 1,5 mld dolarów. Jest to największa transakcja eksportowa w historii przemysłu obronnego Turcji. W ubiegłym roku Turcy wygrali też przetarg na cztery korwety. Jednostki MİLGEM Ada będą budowane przez stocznie w Stambule i Karaczi. Jeden okręt ma kosztować 250 mln dolarów.

STARZY PARTNERZY

Pakistan jest przykładem kraju, któremu koncerny amerykańskie czy zachodnioeuropejskie nie mogą sprzedać pewnych produktów. Dlatego stanowi atrakcyjny rynek dla tureckich firm zbrojeniowych. Turcy w latach 2009–2014 zmodernizowali 41 pakistańskich myśliwców F-16, a w 2018 roku zdobyli podobne zlecenie na unowocześnienie trzech okrętów podwodnych typu Agosta 90B. Bliska współpraca z Pakistanem nie przeszkadza tureckim firmom zbrojeniowym w robieniu interesów w Indiach. W 2018 roku dostarczyły tam produkty za 71 mln dolarów, choć to oznaczało spadek sprzedaży o 33%. W tym roku będzie lepiej, gdyż prywatna spółka TAIS została wybrana w przetargu na budowę pięciu zbiornikowców dla indyjskiej marynarki wojennej. Wartość rozłożonego na osiem lat projektu szacowana jest na 2,3 mld dolarów.

Innym partnerem Turcji w Azji Południowej jest Bangladesz. W marcu 2019 roku zamówił on system artylerii rakietowej średniego zasięgu w firmie Roketsan. Wcześniej do armii tego kraju trafiło kilkadziesiąt lekkich pojazdów pancernych Cobra i Cobra II firmy Otokar. Jednak najbardziej lukratywny kontrakt podpisała w 2017 roku Delta Defence. Dotyczył on dostawy 680 zmodyfikowanych przez nią ukraińskich wozów pancernych Kozak-2M i Otaman.

W Azji Południowowschodniej ważnym partnerem Turcji jest Malezja. To tam koncern ASELSAN utworzył spółkę mającą produkować sprzęt na zamówienia klientów z regionu. Na ich liście są Filipiny, które kupiły od tureckiej firmy urządzenia noktowizyjne dla armii i zdalnie sterowane moduły uzbrojenia do zamówionych w Korei Południowej dwóch fregat.

Jednak większe możliwości oferuje tureckim firmom rynek Indonezji. Kraj ten nie chce już tylko gotowych produktów, ale ma w planach rozwijać rodzimą zbrojeniówkę. I Turcy wyszli naprzeciw tym oczekiwaniom w 2014 roku. Ich firma FNSS opracowała we współpracy z PT Pindad czołg Harimau (Tygrys), którego masa (32–35 t) i rozmiary są dopasowane do stanu indonezyjskich dróg, mostów i wiaduktów. Wóz powstały na bazie tureckiego bewupa Kaplan został zamówiony w tym roku przez ministerstwo obrony Indonezji. Pierwsza transza ma liczyć do 20 sztuk.

Wyroby tureckiej zbrojeniówki trafiają też na Bliski Wschód. W 2018 roku Ankara rozmawiała z Arabią Saudyjską o sprze-



Pakistan zdecydował się kupić od Turcji 30 szturmowych śmigłowców T-129 ATAK za 1,5 mld dolarów.

daży sześciu bezzałogowych statków powietrznych typu Anka wraz z dwoma naziemnymi stacjami kontroli. Nie wiadomo jednak, czy dojdzie do zawarcia umowy, bo stosunki między tymi państwami popsuły się po ujawnieniu przez Turków, że w saudyjskim konsulacie w Stambule zamordowano 2 października 2018 roku opozycyjnego wobec władz w Rijadzie dziennikarza Dżamala Chasodżdżiego. Polityczne spory generalnie nie sprzyjają tureckiemu przemysłowi zbrojeniowemu w robieniu interesów w świecie arabskim, zwłaszcza z państwami z rejonu Zatoki Perskiej i Egiptem. Niemniej jednak w minionym roku udało się sprzedać produkty do Omanu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz Kataru, który jest politycznym sojusznikiem Ankary w regionie.

Od lat Turcja sprzedaje broń do posowieckich republik w Azji Środkowej i na Kaukazie. Wśród jej klientów są Azerbejdżan i Turkmenistan. Turecka zbrojeniówka obecna jest też w Unii Europejskiej, a jej główny partner to Niemcy. Jednak ważnymi unijnymi rynkami są dla Turcji również Holandia, Wielka Brytania, Polska i Francja. Jeśli chodzi o państwa niebędące w UE, to najwięcej tureckiej broni importuje Ukraina.

JUBILEUSZOWY PLAN

Władze Turcji chcą, by do 2023 roku, gdy obchodzone będzie stulecie ogłoszenia kraju republiką, eksport sektora lotniczo-obronnego wyniósł 25 mld dolarów rocznie. To cel niezwykle ambitny i raczej mało realny, bo przekraczający wyniki osiągnięte przez Rosję czy Chiny, które mają znacznie bardziej rozwinięte przemysły zbrojeniowe. Nawet przy ubiegłorocznym rekordzie – 2,035 mld dolarów – wzrost eksportu w stosunku do 2017 roku wyniósł 17%. Aby osiągnąć wspomniany cel, czyli 25 mld dolarów, wzrost ten musiałby być trzycyfrowy co roku.

Problemem w realizacji tego ambitnego zamierzenia może okazać się polityka, zwłaszcza kryzys w stosunkach ze



NAJWAŻNIEJSI NABYWCY PRODUKTÓW TURECKIEGO SEKTORA OBRONNO- -LOTNICZEGO W 2018 ROKU (w dolarach USA)

Stany Zjednoczone	- 726 mln
Niemcy	- 226 mln
Oman	- 153 mln
Katar	- 83 mln
Holandia	- 75 mln
Indie	- 71 mln
Azerbejdżan	- 63 mln
Wielka Brytania	- 53 mln
Polska	- 51 mln
Francja	- 46 mln
Zjednoczone Emiraty	
Arabskie	- 35 mln
Ukraina	- 32 mln

F N S S

Turecka firma FNSS opracowała razem z PT Pindad czołg Harimau (Tygrys), którego masa i rozmiary są dopasowane do stanu indonezyjskich dróg, mostów i wiaduktów.

DZIĘKI UMIEJĘTNIE ZAWIERANYM KONTRAKTOM NA IMPORT UZBROJENIA TURECKIE FIRMY STOPNIOWO ZYSKIWAŁY NOWE ZDOLNOŚCI

Stanami Zjednoczonymi spowodowany zakupem przez rząd w Ankarze rosyjskiego systemu obrony powietrznej S-400. Turcy naruszyli przyjętą przez Kongres USA w sierpniu 2017 roku ustawę o przeciwstawianiu się adwersarzom USA poprzez sankcje (CAASTA). Za przeciwników uznano Iran, Koreę Północną i Rosję. Według zapisów ustawy państwom handlującym z nimi bronią grożą amerykańskie restrykcje.

Tymczasem pomimo agresywnej promocji w Azji i Afryce do ubiegłego roku znaczący wpływ na wyniki eksportu tureckiej zbrojeniówki miał rynek amerykański. W 2018 roku wartość sprzedaży wyniosła 726 mln dolarów, o 5% więcej niż rok wcześniej. W dużej mierze były to dostawy związane z programem samolotu wielozadaniowego piątej generacji F-35. Turcja, która zamierzała kupić 100 maszyn, uzyskała profity w formie włączenia ośmiu rodzimych firm do grona producentów trzydziestekpiątek. Są to Alp Aviation, Ayesas, Havelsan, Kale Aerospace, Roketsan, Tubitak-SAGE, TAI oraz turecka odnoga Dutch Fokker Elmo. W zakładach tych powstało ponad 900 części dla F-35. W przypadku 400 z nich firmy te są jedynym dostawcą.

USA w odwecie za zakup S-400 nie tylko nie sprzedadzą Turcji tych samolotów, lecz także usuną z programu jej zbrojeniówkę. Szacuje się, że straty biznesowe firm znad Bosforu w wyniku wypadnięcia z łańcucha dostaw dla F-35 mogą wynieść od około 9 mld do 12 mld dolarów. Z drugiej strony pojawia się widmo dużych opóźnień w produkcji F-35 i problemów związanych z bieżącą eksploatacją już istniejących maszyn.

USA w odwecie za zakup S-400 nie tylko nie sprzedadzą Turcji tych samolotów, lecz także usuną z programu jej zbrojeniówkę. Szacuje się, że straty biznesowe firm znad Bosforu w wyniku wypadnięcia z łańcucha dostaw dla F-35 mogą wynieść od około 9 mld do 12 mld dolarów. Z drugiej strony pojawia się widmo dużych opóźnień w produkcji F-35 i problemów związanych z bieżącą eksploatacją już istniejących maszyn.

Jeśli nie uda się rozwiązać sporu, Amerykanie mogą też przerwać współpracę z Turcją w innych programach zbrojeniowych czy wstrzymać eksport kluczowych podzespołów. Niektóre państwa mogą zaprzestać kooperacji z Turcją z obawy przed retorsjami USA, a to oznacza dla niej kłopoty z częścią programów zbrojeniowych.

Blokada transferu zachodnich technologii utrudniłaby realizację najbardziej zaawansowanych projektów, takich jak własny myśliwiec TF-X, w którym partnerami TAI są BAE Systems i MBDA. Z drugiej strony ostracyzm Zachodu może spowodować, że Ankara zwróci się jeszcze bardziej ku Rosji i Chinom, jako źródłom technologii militarnych. A to będzie miało długofalowe skutki dla USA, NATO i UE.



HSW



PGZ

Zapraszamy do odwiedzenia nas podczas MSPO 2019
Hala C i D, ekspozycja GK PGZ



RAK 120 mm samobieżny moździerz
na podwoziu gąsienicowym

www.hsw.pl

**HSW**

Artyleria z podkarpackiej zbrojowni

Huta Stalowa Wola na targach MSPO 2019

Goście odwiedzający tegoroczną edycję Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego (MSPO) w Kielcach będą mogli zobaczyć najnowocześniejszą broń artyleryjską i pancerną pochodzącą z Huty Stalowa Wola (HSW). Na MSPO 2019 HSW pokaże nowy bojowy pływający wóz piechoty z zaimplementowanym zdalnie sterowanym systemem wieżowym kalibru 30 mm, opracowanym w ramach programu „Borsuk”. BWP prezentowany podczas tegorocznych targów jest już po testach. Pojazd uruchomiono oraz sprawdzono układy trakcji i pływania. Nowy wóz piechoty będzie mógł pokonywać szerokie przeszkody wodne, a także działać w różnych warunkach terenowych i klimatycznych. Ponadto będzie się charakteryzować dużą manewrowością oraz łatwością transportowania. Przeznaczony jest do ochrony żołnierzy załogi i desantu przed ostrzałem z broni strzeleckiej i granatników przeciwpancernych oraz przed wybuchami min i improwizowanych ładunków wybuchowych.

Projekt „Borsuk” jest finansowany ze środków pozyskanych z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, z którym HSW zawarła umowę jako lider konsorcjum.

Kolejnym produktem, który zostanie pokazany na MSPO, jest moździerz samobieżny na podwoziu gąsienicowym kalibru 120 mm. Nie będzie to jednak ten sam moździerz, który dotychczas prezentowała HSW. Tym razem podwozie zostało głęboko zmodernizowane oraz zastosowano w nim nowoczesny układ hydropneumatycznego zawieszenia. Jest to nowa propozycja nie tylko dla Sił Zbrojnych RP, lecz także dla za-

granicznego klienta, który poszukuje nowoczesnego nośnika do różnych zastosowań. W przypadku SZRP podwozie z dotychczasowym układem zawieszenia (na wałkach skrętnych) jest stosowane między innymi w programie „Regina” jako nośnik dla wozów dowódczo-sztabowych oraz wozów dowodzenia. Ten sam nośnik zastosowano w prototypie moździerza kalibru 120 mm, który przeszedł pozytywnie państwowe badania kwalifikacyjne. Biorąc jednak pod uwagę światowe trendy, HSW postanowiła zastosować nowoczesne zawieszenie hydropneumatyczne. Sam system wieżowy 120-milimetrowego moździerza samobieżnego jest doskonale znany, stanowi bowiem wyposażenie kompanijnych modułów ogniowych, które są seryjnie dostarczane obecnie do SZRP. To rozwiązanie w pełni automatyczne, w którym zastosowano nowoczesny system kierowania ogniem oraz zaawansowane systemy nawigacji.

Trzecim prezentowanym na targach produktem będzie pojazd minowania narzutowego Baobab w wersji z czterema miotaczami. Konsorcjum na czele z HSW S.A. realizuje projekt rozwojowy na zamówienie Inspektoratu Uzbrojenia. Na kolejnym etapie prac zostanie wykonany prototyp pojazdu z sześcioma w pełni automatycznymi miotaczami sterowanymi z wnętrza pojazdu oraz z nowocześniejszym układem sterowania procesem minowania. Wersja prezentowana na MSPO jest przede wszystkim odpowiedzią na bardzo duże zainteresowanie rozwiązaniem tego typu na azjatyckich rynkach. W lutym br. przeprowadzono próby poligonowe dla jednego z potencjalnych klientów. ■

ODRZUTOWI ŻOŁNIERZE

**Armie na całym świecie
nie tylko chciały mieć
samoloty napędzane
silnikami odrzutowymi,
lecz także widziały szansę
na dodanie „skrzydeł”
samym żołnierzom.**

KRZYSZTOF WILEWSKI

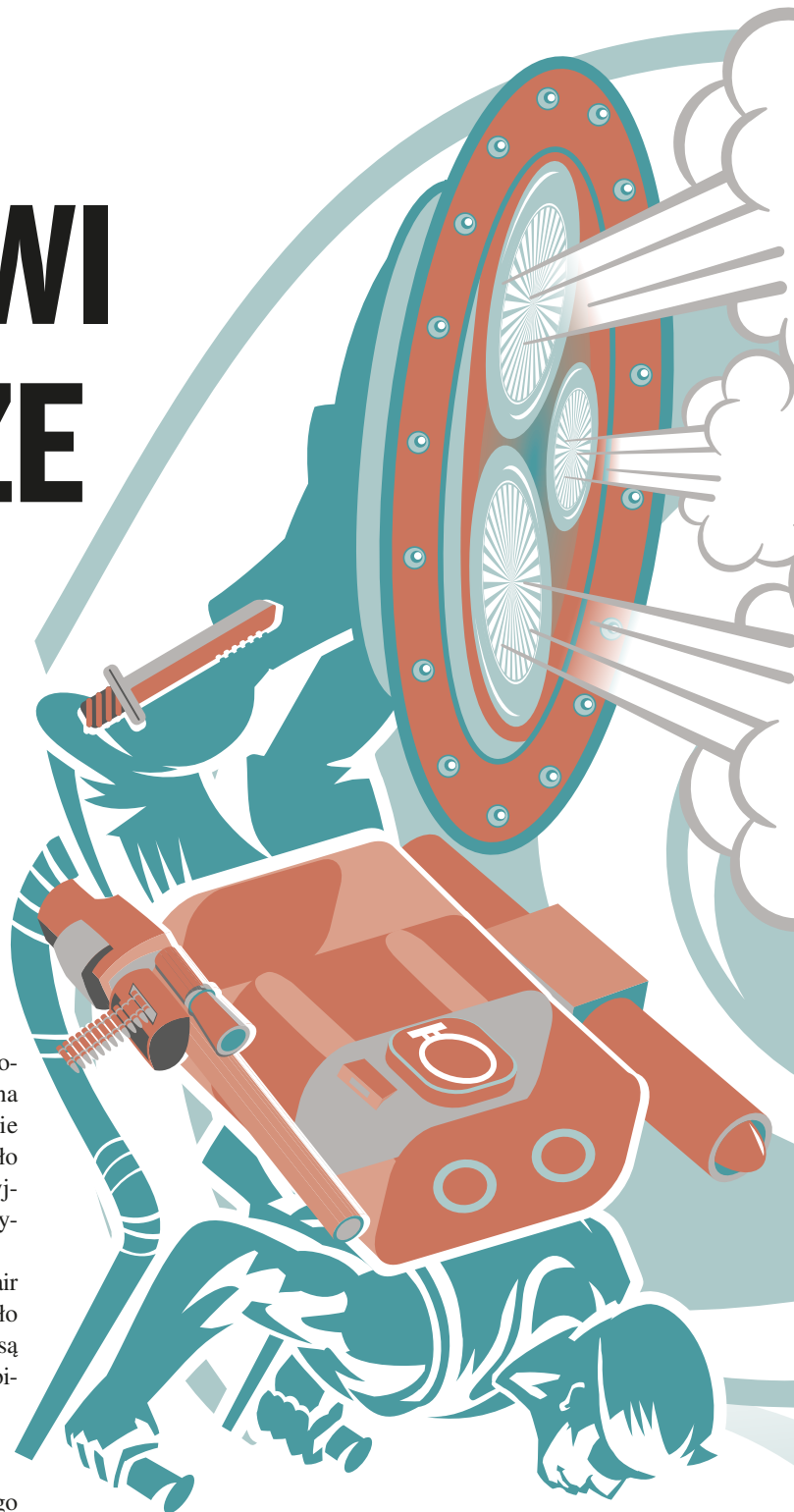
Franky Zapata przeszedł 4 sierpnia 2019 roku do historii lotnictwa. Przeleciał nad kanałem La Manche na skonstruowanym przez siebie urządzeniu o nazwie flyboard air. 35-kilometrowy lot na wysokości około 30 m nad wodami oddzielającymi Europę od Wysp Brytyjskich, na trasie z francuskiego Sangatte koło Calais do brytyjskiego Dover, trwał 22 minuty.

Dlaczego lot Zapaty jest historyczny? Ponieważ flyboard air to w ogromnym skrócie odrzutowa deskorolka. Waży około 20 kg i składa się z niewielkiej platformy, w której ukryte są cztery nieduże (napędzane kerozyną, czyli naftą lotniczą) turbiniowe silniki odrzutowe o mocy 250 KM każdy. Pozwalają one rozpędzić się do około 170 km/h i unieść ciężar o wadze 150 kg. Co istotne, flyboard air został wyposażony w wiele rozwiązań mających zwiększyć bezpieczeństwo jego użytkownika. Poza oczywistościami – jak zaawansowany system stabilizacji, pozwalający latać „prosto”, urządzenie jest w stanie się przemieszczać nawet wtedy, gdy jeden z czterech silników ulegnie awarii.

WADY SYSTEMU

Czy flyboard air może zainteresować wojsko? Zdecydowanie tak. Jego prezentacja na wojskowej paradzie z okazji francuskiego święta niepodległości (14 lipca), przed prezydentem tego kraju, miała wyraźny, militarny podtekst. Zapata został nawet przez część mediów okrzyknięty nowym latającym francuskim żołnierzem przyszłości. Branżowi specjaliści jednak studzą emocje.

Choć bowiem flyboard air wywodzi się wprost ze sprzedawanego od kilku lat wodnego systemu rozrywkowego – flyboarda (który wynosi użytkownika w górę na zasadzie odrzutu wody dostarczanej specjalnym węzłem), to eksperci wskazują na wiele niedociągnięć i wad prototypowego systemu. Największą z nich jest bardzo krótki czas lotu. Niewielki zbiornik na kerozynę – pięć galonów, czyli około 19 l paliwa – wystarcza w przybliżeniu na dziesięć minut lotu. Aby pokonać kanał La Manche (lub jak mówią Brytyjczycy,



DLACZEGO LOT ZAPATA JEST HISTORYCZNY? PONIEWAŻ FLYBOARD AIR TO W OGROMNYM SKRÓCIE ODRZUTOWA DESKOROLKA

Kanał Angielski), Zapata musiał mieć międzylądowanie przeznaczone na uzupełnienie paliwa. A specjaliści słusznie wskazują, że na polu walki dziesięć minut lotu to tyle co nic.

Inna sprawa to pilotowanie flyboarda air. Jest to bardzo trudne i wyczerpujące. Zapata, który jako miłośnik sportów ekstremalnych jest wysportowany, po 22-minutowym locie padał z wyczerpania. Ktoś powie, że żołnierze także muszą być sprawni. Ale oni po kilkunastominutowym przelocie powinni być natychmiast gotowi do działania, a nie wypoczywać przez dłuższy czas (a tak zrobił Zapata).

Wady i słabości „odrzutowej deskorolki” nie przekreślają jednak faktu, że przed tego typu urządzeniami – osobistymi systemami latającymi – jest świetlana przyszłość. Od początku bowiem istnienia silników odrzutowych armie na całym świecie spoglądały w ich kierunku pożądliwie. Chodziło nie tylko o to, aby mieć samoloty nimi napędzane. Widziały w nich także szansę na dodanie „skrzydeł” samym żołnierzom, żeby ci mogli błyskawicznie pokonywać odległości i zaskakiwać nieprzyjaciela niespodziewanym manewrem. I wiele wskazuje na to, że teraz świat jest bliżej tych planów niż kiedykolwiek przedtem.

Choć pierwsze projekty niewielkich silników odrzutowych, a właściwie przeznaczonych do noszenia przez człowieka systemów odrzutowych (bo do znanych nam obecnie turbin było im daleko), pojawiły się już sto lat temu, to prawdziwy ich wysyp nastąpił na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

Wówczas idea jetpacka (czyli odrzutowego plecaka) stała się wręcz modna. Oczywiście inicjatorem większości prac badawczo-rozwojowych było wojsko (nie tylko amerykańskie i rosyjskie, lecz także innych państw), jednak i przemysł lotniczy chciał podbić rynki cywilne, tworząc projekt masowego upowszechnienia awiacji. Po początkowym zachwycie ograniczenia konstrukcyjne proponowanych rozwiązań, czyli przede wszystkim krótki, kilkusekundowy czas lotu oraz bardzo niebezpieczne (wybuchowe) paliwo, sprawiły, że większość projektów

zamknięto. A te, którym udało się przetrwać, raczej trudno było nazwać rewolucyjnymi.

CYWILNE ROZWIĄZANIA

Sytuacja zmieniła się dopiero na początku XXI wieku, kiedy pojawiło się kilka interesujących i obiecujących rozwiązań z tego zakresu. Jednym z nich była konstrukcja, którą stworzył szwajcarski pilot wojskowy Yves Rossy. Zbudowany przez niego jet wingpack to nic innego, jak niewielkie skrzydło z czterema silnikami odrzutowymi, które pilot zakładał na plecy przy użyciu specjalnych uprząży. W latach 2007–2009 Rossy wykonał kilka publicznych, pokazowych przelotów, starając się znaleźć inwestorów (m.in. przeleciał nad La Manche, wyskakując z samolotu transportowego, dlatego jego wyczyn nie jest odnotowywany jako historyczny). Jednak na razie nie słychać nic o komercjalizacji tego projektu.

Zdecydowanie inaczej wygląda historia firmy Jet-Pack Aviation z Kalifornii. Jeszcze w tym roku spółka ta przekaze US Special Operations Command (SOCOM), czyli amerykańskiemu Dowództwu Operacji Specjalnych, prototypowy model rakiety plecak o nazwie JB-10. Zlecenie jego opracowania przedsiębiorstwo zdobyło w 2016 roku, po tym, jak rok wcześniej zaprezentowało publicznie możliwości swojego prototypowego plecaka o nazwie JB-9. Otóż 3 listopada 2015 roku operator po starcie z niewielkiej barki przez kilka minut latał wokół Statuy Wolności w Nowym Jorku. Reklama zadziałała celująco. O wyczynie mówiły nie tylko wszystkie media – informacja trafiła także do amerykańskiej armii i SOCOM-u.

Zbudowany dla niej prototyp JB-10 zdecydowanie różni się osiąganymi od JB-9, który mógł latać z prędkością ponad 161 km/h 3 m. JB-10 może osiągać prędkość ponad 320 km/h i wysokość kilkuset metrów. A to nie wszystko. Prezes JetPack Aviation David Mayman podkreśla, że w pracach nad JB-10 uczestniczą amerykańscy komandosi, którzy dbają o to, aby projekt był jak najbardziej użyteczny dla wojska. Niestety trudno oszacować, ile potrwają prace badawcze i czy na pewno przyniosą one w efekcie „bojowy” system gotowy do służby. ■

Niemcy, będące największą europejską gospodarką, przeznaczały dotychczas na obronność zaledwie 1,24% swojego PKB. W 2019 roku jest to już 1,38%, czyli ponad 47 mld euro. To i tak o wiele mniej niż zalecany przez NATO poziom 2%, ale niemieccy generałowie mają nadzieję, że coś wreszcie drgnęło w podejściu polityków do kwestii bezpieczeństwa kraju.

Zapowiedziany w tym roku wzrost wydatków na obronność będzie w Niemczech największy od zakończenia zimnej wojny. Nie zmienia to faktu, że przywracanie Bundeswehry pełnych zdolności bojowych potrwa i tak co najmniej do 2031 roku. Czas był już zresztą najwyższy, aby zająć się problemem niedoinwestowania niemieckiej armii.

Skalę problemu, długo zresztą skrywanego nie tylko przed niemiecką opinią publiczną, lecz także sojusznikami z NATO, pokazuje wiele niechlubnych faktów. Najbardziej znamienne to uziemienie od 2018 roku większości niemieckich samolotów bojowych typu Eurofighter, kłopoty z wykorzystaniem pełnych zdolności bojowych samolotów Tornado czy wycofanie z czynnej służby wszystkich sześciu okrętów podwodnych (typu 212) należących do Deutsche Marine.

Problemy budżetowe sił zbrojnych były tak dotkliwe, że niemieccy żołnierze biorący udział w manewrach NATO mieli problemy nawet ze skompletowaniem indywidualnego wyposażenia, mundurów i broni. Kwestia pilnego zwiększenia nakładów na wojsko jednak od dawna dzieliła rządzącą w RFN koalicję. Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna

(CDU) dostrzegała zarówno oczywiste potrzeby armii, które należało według niej zaspokoić, jak i rosnącą polityczną presję USA. Takiej polityce jeszcze do niedawna konsekwentnie sprzeciwiali się koalicjanci Angeli Merkel z Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD). Wyborcze porażki skłoniły ich jednak do uelastycznienia stanowiska. Zmianę nastawienia tamtejszej klasy politycznej wobec potrzeb armii wymusił też rosnący udział Niemiec w połączonych siłach zadaniowych bardzo wysokiej gotowości NATO (Very High Readiness Joint Task Force – VJTF).

Decyzje o zwiększeniu finansowania sił zbrojnych dotyczą konkretnych projektów rozwojowych armii, przede wszystkim w siłach lądowych. Do największych należą m.in. modernizacja (do wersji 2A7V) kolejnej partii czołgów Leopard 2, zakup dodatkowej transzy ulepszonej wersji bojowych wozów piechoty Puma, unowocześnienie systemów antyrakietowych Patriot czy zwiększenie możliwości bojowych samobieżnych haubic PzH 2000.

NOWA ODSŁONA LEOPARDA

Leopard 2A7V to projekt zaawansowanej modernizacji floty czołgów podstawowych Bundeswehry, zgodnie z koncepcją powiększenia niemieckich sił pancernych do 320 unowocześnionych czołgów w jednostkach operacyjnych. Wozy standardu 2A7V przede wszystkim zostaną wyposażone w zmodyfikowaną armatę Rh120 kalibru 120 mm. Inne zmiany to m.in. zainstalowanie wydajniejszego systemu

NA ZACHODZIE

Po trzech dekadach zaciskania pasa i radykalnego cięcia kosztów niemieckie federalne siły zbrojne mają szansę na odzyskanie sprawności.

TOMASZ OTŁOWSKI



SERIA DECYZJI FINANSOWYCH W SFERZE BEZPIECZEŃSTWA I OBRONNOŚCI, PODJĘTYCH W PIERWSZEJ POŁOWIE 2019 ROKU PRZEZ NIEMIECKI PARLAMENT FEDERALNY, DAJE SZANSE NA ZAHAMOWANIE DOTYCHCZASO- WEJ NIEKORZYSTNEJ TENDENCJI

klimatyzacji (obejmującego zarówno wieżyczkę, jak i korpus wozu), montaż agregatu prądotwórczego Steyr M12 o mocy 17 kW, wymiana środków łączności na nowy interkom Thales Sotas, wprowadzenie nowoczesnego systemu dowodzenia typu IFIS, dodanie zestawu kamuflażu multispektralnego Saab Barracuda. Przyrządy obserwacyjno-celownicze dowódcy i działonowego zostaną wyposażone w kamery termowizyjne Thales Attica, a w układzie kierowania ogniem znajdzie się system programowania zapalników MDM do amunicji odłamkowo-burzącej DM11. Większość

modyfikacji leoparda w wersji 2A7V to efekt doświadczeń niemieckich sił zbrojnych zdobytych na misji w Afganistanie. Unowocześnieniem zostanie objętych ponad sto maszyn wersji Leopard 2A6 i A6MA2. Prace mają potrwać do 2026 roku, a ich łączny koszt wyniesie około 25 mln euro.

W ramach modernizacji floty czołgów podstawowych niemiecka armia otrzyma też zmagazynowane wcześniej przez producenta (Krauss-Maffei Wegmann GmbH) podwozia leopardów 2A4 z przeznaczeniem na pojazdy specjalistyczne. Przede wszystkim chodzi tu o mosty samobieżne, bo te typu Biber nie są w stanie obsługiwać czołgów Leopard 2A7, konieczna jest więc wymiana na nowsze typu Leguan.

WIĘCEJ PUM DLA BUNDESWEHRY

Dodatkowe pieniądze wyasygnowane dla niemieckiej armii pozwolą na zamówienie kolejnej partii bojowych wozów piechoty typu Puma – przełomowej i pod wieloma względami nowatorskiej konstrukcji opracowanej od podstaw przez rodzimy przemysł zbrojeniowy. Wcześniej, ze względu na ograniczony budżet, rozważano modernizację wysłużonych transporterów typu Marder lub zakup boxerów w wersji kołowego bojowego wozu piechoty. Obecnie uznano, że



FAŁA ZMIAN





najkorzystniejszy będzie zakup nowych, dodatkowo zmodyfikowanych pum.

Zgodnie z aktualnymi założeniami operacyjnymi Bundeswehra powinna mieć w linii 560 bojowych wozów piechoty. Do sierpnia 2020 roku otrzyma pierwszą zakontraktowaną transzę pum (350 wozów). Może to oznaczać, że kolejne zamówienie obejmować będzie 210 maszyn, a jego realizacja przypadnie zapewne na lata 2020–2025, bo wyeksploatowane mardery mają być stopniowo wycofywane ze służby, począwszy od 2025 roku.

Podjęto też decyzję o modernizacji pum i przeznaczono na ten cel ponad 730 mln euro. Chodzi o poprawę świadomości sytuacyjnej członków załogi i żołnierzy desantu, a także zwiększenie siły ognia wozu przez jego dobrojenie w przeciwpancerne pociski kierowane. Sieciocentryczne systemy zapewnią natomiast integrację z opracowywanym właśnie w Niemczech systemem żołnierza przyszłości o nazwie „Gladius”.

Przy okazji zwiększenia zamówienia na pumy wyszło na jaw, że cały projekt nowoczesnego bojowego wozu piechoty dla Bundeswehry kosztuje niemieckiego podatnika niemal dwa razy więcej niż początkowo zakładano. Ministerstwo obrony RFN przyznało, że 350 pum miało kosztować 3 mld euro, ale ostatecznie koszty zakupu i wdrożenia tych pojazdów do służby wyniosą niemal 6 mld euro. Urzędnicy twierdzą, że jest to efekt ogólnego wzrostu cen w ostatnich latach, a także zwiększenia przez wojskowych ich wymagań wobec pojazdu.

Niemiecki parlament zdecydował w czerwcu 2019 roku o przyznaniu 120 mln euro na

PRZYWRACANIE BUNDESWEHRZE PEŁ- NYCH ZDOLNOŚCI BOJO- WYCH POTRWA CO NAJ- MNIJ DO 2031 ROKU

wzmocnienie systemów naziemnej obrony przeciwlotniczej. Środki te zostaną przeznaczone na modernizację niemieckich baterii Patriot do konfiguracji 3+, czyli najnowszej dostępnej na rynku.

PATRIOTY DO RENOWACJI

Niemcy dysponują własnymi patriotami od połowy lat osiemdziesiątych XX wieku, kiedy to rząd RFN zamówił pierwsze 14 z 28 planowanych baterii. Kolejnych 12 wydzierżawił na dziesięć lat, a po upływie tego okresu przeszły one na własność Niemców. Spośród znajdujących się w posiadaniu niemieckiej armii 40 baterii patriotów, 36 weszło w skład sześciu skrzydeł, przeznaczonych dla każdego z sześciu dowództw raketowej obrony powietrznej kraju. Pozostałe cztery to jednostki szkoleniowe lub zapasowe.

Znajdujące się w wyposażeniu Bundeswehry systemy Patriot mają pozostać w służbie co najmniej do 2030 roku, stąd konieczność ich



Do największych projektów rozwoju armii należą m.in. modernizacja (do wersji 2A7V) kolejnej partii czołgów Leopard 2 czy zakup dodatkowej transzy ulepszonej wersji bojowych wozów piechoty Puma.

unowocześnienia. Zgodnie z decyzją Bundestagu zostanie kupionych 14 komputerów do radarów, sześć nowoczesnych konsoli kierowania dla stanowisk dowodzenia oraz pakiet części zamiennych. Modernizacja powinna być ukończona do 2022 roku.

Departament Stanu USA wyraził też w lipcu 2019 roku zgodę na sprzedaż Niemcom pakietów modernizacyjnych wraz z pociskami PAC-3 MSE do niemieckich patriotów. Nowe uzbrojenie i sprzęt towarzyszący wraz z pakietem logistycznym Berlin otrzyma na mocy programu międzyrządowego Foreign Military Sales.

DRUGA MŁODOŚĆ HAUBIC

Niemcy planują również zwiększenie możliwości bojowych samobieżnych haubic PzH 2000. To będzie modernizacja sprzętu typu „mid-life upgrade” (MLU), czyli unowocześnienie uzbrojenia w połowie planowanego okresu jego użytkowania w linii. Przede wszystkim chodzi o zwiększenie donośności i precyzji ognia. Cel ten ma zostać osiągnięty dzięki wdrożeniu nowego typu amunicji – pocisków Vulcano o zasięgu 70 km, opracowanych przez firmy Diehl Defence i Leonardo. Są znacznie precyzyjniejsze od dotychczasowej amunicji stosowanej w PzH 2000 dzięki półaktywnemu laserowemu systemowi kierowania. Ponadto, począwszy od 2024 roku, ma zostać wznowiona produkcja precyzyjnej amunicji inteligentnej typu GIWS SMArt 155 (DM702), opracowanej przez Diehl Defence i Rheinmetall. Równolegle planuje się zwiększyć zapasy klasycznej amunicji odłamkowej (DM121) do PzH 2000 – Bundeswehra ma dostać 32 tys. takich pocisków za kwotę 25 mln euro. Modyfikacja PzH 2000 obejmie w sumie 108 egzemplarzy. W użyciu jest teraz 101 haubic, tak więc Niemcy mają zamiar przywrócić do linii co najmniej kilka egzemplarzy zmagazynowanych jako rezerwa strategiczna.

Zdolności operacyjne niemieckiej artylerii zostaną zwiększone również dzięki planowanemu zakupowi (za niemal 150 mln euro) dodatkowych 900 kierowanych pocisków GMLRS do systemów MARS II, czyli zmodernizowanych niemieckich wyrzutni MLRS (wieloprowadnicowe wyrzutnie pocisków raketowych).

SERIA DOBRYCH WIADOMOŚCI

Kolejne miesiące 2019 roku przynoszą coraz to nowe doniesienia o finansowych planach modernizacji i unowocześnienia niemieckich sił zbrojnych. Już dawno Bundestag nie był tak hojny wobec Bundeswehry. Oprócz wymienionych wyżej projektów niemiecka armia ma już zapewnione środki na kilkanaście innych, ważnych dla jej sprawnego funkcjonowania przedsięwzięć.

Duży nacisk w planowanych zakupach położono na zwiększenie zdolności rozpoznawczych armii, zarówno na szczeblu operacyjnym, jak i strategicznym. Zatem prawie 130 mln euro zostanie przeznaczonych na zakup kolejnych dziewięciu systemów dronów zwiadowczych typu Luna NG/B. Do tej pory Niemcy pozyskali trzy takie systemy, a ich operatorzy przechodzą szkolenie (jeden z tych zespołów ma osiągnąć gotowość operacyjną już w tym roku). 116 mln euro przeznaczono na rozbudowę i unowocześnienie satelitarnego systemu rozpoznawczego SARah. Teraz składa się on z trzech satelitów i stacji radarowych zlokalizowanych w Niemczech i Szwecji. Modernizacja ma polegać m.in. na poprawie szyfrowania informacji, a także zwiększeniu bezpieczeństwa cybernetycznego całego systemu.

Wiele wskazuje na to, że nie jest to koniec dobrych wiadomości dla Bundeswehry. Rząd w Berlinie już poinformował NATO, że w roku 2020 zamierza przeznaczyć na obronę niemal 50 mld euro, bez względu na spodziewane pogorszenie się koniunktury gospodarczej. ■

SPOSOBY NA MINY

W XX wieku polska marynarka wojenna otrzymała cztery typy trałowców, które zbudowano w kraju.

W latach trzydziestych XX wieku w Modlinie i Gdyni powstało sześć trałowców, którym nadano imiona będące nazwami ptaków. We wrześniu 1939 roku utraciono dwie jednostki. Pozostałe cztery trałowce przejęli Niemcy. Po wojnie okręty powróciły pod polską banderę.

JASKÓŁKA

- ❶ Wyporność – 203 t (pełna)
- ❷ Długość – 45 m
- ❸ Szerokość – 5,5 m
- ❹ Zanurzenie – 1,55 m
- ❺ Napęd – 2 silniki wysokoprężne, 2 śruby
- ❻ Prędkość – 18 w.
- ❼ Załoga – 27–30 marynarzy
- ❽ Uzbrojenie i wyposażenie (przed wojną) – uniwersalna armata kalibru 75 mm, 2 karabiny maszynowe kalibru 7,62 mm, 20 bomb głębinowych, 20 min morskich, 3 trały

PROJEKT 254

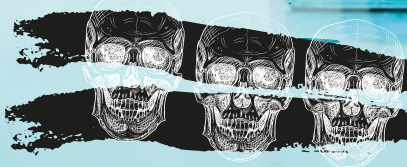
- ❶ Wyporność – 569 t (pełna)
- ❷ Długość – 58 m
- ❸ Szerokość – 8,5 m
- ❹ Zanurzenie – 2,1 m
- ❺ Napęd – 2 silniki wysokoprężne, 1 śruba
- ❻ Prędkość – 14–15 w.
- ❼ Załoga – 52 marynarzy
- ❽ Uzbrojenie i wyposażenie – 2×2 działka przeciwlotnicze kalibru 37 mm, 8 karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm (na 254M 4 działka kalibru 25 mm i 4 karabiny maszynowe kalibru 14,5 mm), 2 miotacze bomb głębinowych (10 sztuk), 10–16 min morskich, 5 trałów

Pierwszymi zupełnie nowymi trałowcami polskiej marynarki wojennej po 1945 roku były jednostki projektu 254. W latach 1955–1958 na podstawie sowieckiej licencji zbudowano trzy okręty 254K i 9 254M. Ostatni z nich zakończył służbę w 1991 roku.

• PROJEKT 206F KROGULEC

- ❶ Wyporność – 500 t
- ❷ Długość – 58,2 m
- ❸ Szerokość – 7,7 m
- ❹ Zanurzenie – 2,1 m
- ❺ Napęd – 2 silniki wysokoprężne, 2 śruby
- ❻ Prędkość – 18 w.
- ❼ Załoga – 49 marynarzy
- ❽ Uzbrojenie i wyposażenie – 3x2 działka kalibru 25 mm, 2x4 wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych (dodane w latach osiemdziesiątych), 2 zrzutnie bomb głębinowych (12 sztuk), 8–16 min morskich, 3 trały

Od 1963 roku do służby zaczęły wchodzić pierwsze po 1945 roku okręty polskiej konstrukcji. Zbudowano ich 12 i także nadano imiona pochodzące od nazw ptaków. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku trzy z nich zmodernizowano i przebudowano na niszczyciele min, oznaczając jako 206FM.



PROJEKT 207 GOPŁO

Tralowce mają wyposażenie i uzbrojenie potrzebne do zwalczania okrętów podwodnych

W latach 1982–1994 do służby weszło 17 nowych tralowców, wśród których wyróżnia się trzy podtypy – D/DM (1 sztuka), P (12 sztuk) i M (4 sztuki). Jednostki te otrzymały imiona od nazw polskich jezior. Ich kadłuby zostały wykonane z laminatu poliestrowo-szklanego.

- ❶ Wyporność – 217 t (pełna)
- ❷ Długość – 38,5 m
- ❸ Szerokość – 7,14 m
- ❹ Zanurzenie – 1,73 m
- ❺ Napęd – 2 silniki wysokoprężne, 2 śruby
- ❻ Prędkość – 14 w.
- ❼ Załoga – 30 marynarzy
- ❽ Uzbrojenie i wyposażenie – zestaw artyleryjski 2x23 mm (207P), zestaw artyleryjsko-rakietowy 2x23 mm i 2 wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych (207M), 2 zrzutnie bomb głębinowych (12 sztuk), 6–12 min morskich, 3 trały

Bronia artyleryjską tralowców projektu 207 są armaty przeciwlotnicze kalibru 23 mm





ZBROJENIÓWKA W CIENIU POLITYKI

Ponad 7 mld euro włoski rząd chciał przeznaczyć na modernizację i zakup uzbrojenia. Kryzys koalicyjny stawia jednak te plany pod znakiem zapytania.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Włochy należą do grona tych członków NATO, którzy przeznaczają na obronność mniej niż zalecane przez Sojusz 2% produktu krajowego brutto. Tamtejsi politycy od lat nie zwiększają nakładów na ten sektor i prawdopodobnie w najbliższej przyszłości to się nie zmieni, mimo zawirowań na scenie politycznej. W sierpniu 2019 roku doszło bowiem do rozpadu rządzącej we Włoszech koalicji Ligi Północnej i Ruchu Pięciu Gwiazd. Ten kryzys nie powinien dziwić, zwłaszcza że między obu ugrupowaniami było wiele punktów spornych, m.in. stosunek do obronności. Wicepremier i zarazem lider Ligi Północnej Matteo Salvini opowiadał się za realizacją wielkich programów zbrojeniowych, takich jak zakup samolotów bojowych F-35. Politycy Ruchu Pięciu Gwiazd preferowali natomiast projekty rodzimej zbrojeniówki. Teraz nowy

rząd Włoch będzie musiał zdecydować, w jaki sposób modernizować siły zbrojne.

SPORNY MYŚLIWIEC

Jednym z największych włoskich programów zbrojeniowych jest zakup samolotów F-35 Lightning II. Od lat toczą się wokół niego polityczne spory. W marcu 2019 roku we włoskich mediach pojawiły się doniesienia, że wywodząca się z Ruchu Pięciu Gwiazd minister obrony Elisabetta Trenta zamierza zmniejszyć zamówienie na myśliwce o dwie trzecie. W 2002 roku Włochy planowały kupić 131 egzemplarzy F-35 – 69 w wersji A i 62 w wersji B. Dziesięć lat później dokonano korekty tych planów, zmniejszając liczbę maszyn do 90. Redukcja, której chciałyby Trenta, oznaczałaby zakup tylko 30 samolotów. Politycy Ruchu Pięciu Gwiazd są przeciwni zwiększaniu nakładów

Amerykane już zasygnalizowali, że konsekwencją kolejnego ograniczenia przez Włochy zamówień na F-35 będzie redukcja udziału tamtejszego przemysłu zbrojeniowego w programie.



Prywatny producent Iveco Defence Vehicles ma otrzymać dwa duże zamówienia na 64 czołgi na kołach Centauro II 8x8 za 740 mln euro.

AERONAUTICA DIFESA



W 2002 roku Włochy planowały kupić 131 egzemplarzy F-35 – 69 w wersji A i 62 w wersji B. Dziesięć lat później dokonano korekty tych planów, zmniejszając liczbę maszyn do 90. Na zdjęciu F-35A włoskich sił powietrznych

WAŻNYM WYDARZENIEM DLA WŁOSKIEJ ZBROJENIÓWKI BYŁO OGŁOSZENIE 13 CZERWCA 2019 ROKU PRZEZ MINISTERSTWA OBRONY I ROZWOJU GOSPODARCZEGO ZOBOWIĄZAŃ DOTYCZĄCYCH ZAKUPÓW I MODERNIZACJI UZBROJENIA W LATACH 2020–2032

obronnych. Według nich pieniądze lepiej przeznaczyć na cele społeczne lub pobudzenie znajdującej się w recesji gospodarki. Tymczasem wicepremier Matteo Salvini, który jest równocześnie przewodniczącym tworzącej koalicyjny rząd Ligi Północnej, podczas spotkania z mediami w Rzymie w marcu 2019 roku sprzeciwił się redukcji zakupów F-35. W obliczu narastającego sporu, nienależący do żadnej z wymienionych partii premier Giuseppe Conte spotkał się z szefową resortu obrony. Po tym spotkaniu jego kancelaria opublikowała oświadczenie, w którym stwierdzono, że wydatki na obronę zostaną poddane przeglądowi w nadchodzących miesiącach w celu upewnienia się, że wszystkie projekty są zgodne ze strategią kraju.

Dowódca włoskich sił powietrznych gen. Alberto Rosso powiedział w parlamencie w marcu 2019 roku, że niepewność co do przyszłości programu myśliwca negatywnie odbije się na jakości floty powietrznej. Włoskie lotnictwo potrzebuje następcy maszyn Tornado, których modernizację zawieszono z powodu redukcji tegorocznych funduszy na obronność. Jeśli Włochy chcą utrzymać podobną do obecnej liczbę bojowych odrzutowców, to przy rezygnacji z F-35 muszą zwiększyć zakupy myśliwca Typhoon lub zdecydować się na inny samolot. Wiosną tego roku ich siły powietrzne miały 85 z 86 z dostarczonych tajfunów, a zamówienie opiewa na 96 egzemplarzy tej maszyny.

Nie wiadomo, czy faktycznie dojdzie do tak drastycznej redukcji zakupów F-35. Minister Trenta zauważyła, gdy

w 2018 roku zapowiadała przegląd programu myśliwca, że kary za rezygnację z zamówienia samolotów mogą być kosztowniejsze niż ich zakup. Zmniejszenie zamówienia na F-35 odczuje natomiast gospodarka. Włochy są bowiem kluczowym uczestnikiem programu myśliwca piątej generacji, na poziomie drugim, jak Holandia i znacznie niższe niż Wielka Brytania. Zostało w niego zaangażowanych około 80 spółek z Półwyspu Apenińskiego, bo na miejscu produkowane są liczne podzespoły. W Cameri natomiast ulokowano linię montażową samolotu.

Amerykanie już zasygnalizowali, że konsekwencją kolejnego ograniczenia przez Włochy zamówień na F-35 będzie redukcja udziału tamtejszego przemysłu zbrojeniowego w programie. To zaś oznacza miliardowe straty i likwidację wielu miejsc pracy. Obcięcie zamówień na F-35 może mieć też negatywny wpływ na ogólną współpracę gospodarczą Włoch z USA. Tym bardziej że we wzajemnych relacjach nie brakuje problemów w sferze politycznej.

KOŁO RATUNKOWE

Pomimo ograniczonych wydatków obronnych rząd w Rzymie stara się wspomagać rodzimy przemysł obronno-lotniczy. Świadczą o tym rozwiązania przyjęte po początkowych zawirowaniach z zakupem bezzałogowego statku powietrznego klasy MALE – P.1HH. Dron powstał na bazie płatowca, ➔

WŁOCHY SĄ W PIERWSZEJ DZIESIĄTKIE NAJWIĘKSZYCH EKSPORTERÓW UZBROJENIA NA ŚWIECIE

dwusilnikowego turbośmigłowego samolotu biznesowego P.180 Avanti. Producentem obu maszyn jest firma Piaggio Aerospace, zatrudniająca ponad tysiąc osób. W 2018 roku pojawiły się informacje, że ministerstwo obrony nabędzie 20 bezzałogowców wraz z dziesięcioma naziemnymi stacjami kontroli. Potem ogłoszono, że będzie kupionych osiem P.1HH za 250 mln euro. Na początku kwietnia 2019 roku minister Trenta ogłosiła jednak wstrzymanie planowanej transakcji. „Trwa dalsza ocena P.1HH w celu znalezienia nowych rozwiązań umożliwiających kontynuowanie programu”, stwierdziła w oświadczeniu z 3 kwietnia. Wiadomo, że przeciwnie zakupowi tego systemu były siły powietrzne. Wojskowi poddają w wątpliwość jego wartość.

Rezygnacja przez ministerstwo obrony z P.1HH nie była dobrą wiadomością dla będącej w zarządzie komisyjnym spółki. Elisabetta Trenta zapewniła, że jej resort „wspiera tworzenie odpowiednich warunków”, aby utrzymać działalność Piaggio Aerospace, która jest jedynym producentem dużych dronów we Włoszech.

Po kilku tygodniach nastąpił niespodziewany zwrot w sprawie P.1HH. 24 kwietnia ministerstwo rozwoju gospodarczego, którym kierował lider Ruchu Pięciu Gwiazd Luigi Di Maio, poinformowało, że zostaną kupione cztery drony, a w przyszłości kolejne cztery. Ministerstwo obrony stwierdziło, że P.1HH posłużą „potrzebom operacyjnym” włoskich sił zbrojnych. Transakcja ochroni równocześnie „strategiczną wartość” Piaggio Aerospace i kilkaset osób nie straci dzięki temu pracy. Według resortu obrony wzmocni też wiarygodność Włoch jako partnera w europejskim programie EuroMALE. W kwietniu Elisabetta Trenta wspomniała o zamiarze zakupu nieokreślonej liczby samolotów P.180 dla ministerstwa obrony. Dwa miesiące później sprecyzowano, że Piaggio Aerospace otrzyma zamówienie na dziewięć nowych maszyn i unowocześnienie 19 już posiadanych przez resort. Jest ono częścią szerszego pakietu zleceń dla tej firmy w 2019 roku, których całkowita wartość wyniesie 700 mln euro.

Te działania pokazują, że dla polityków Ruchu Pięciu Gwiazd ważniejsze od obronności są kwestie społeczno-gospodarcze i polityczne. Być może



Minister obrony ELISABETTA TRENTA zapewniła, że jej resort „wspiera tworzenie odpowiednich warunków”, aby utrzymać działalność Piaggio Aerospace, która jest jedynym producentem dużych dronów we Włoszech.

sposobem na uratowanie Piaggio Aerospace będzie włączenie jej do koncernu zbrojeniowego Leonardo, którego współwłaścicielem, za pośrednictwem Ministerstwa Gospodarki i Finansów, jest włoski rząd.

W OCZEKIWANIU NA KONTRAKTY

Ważnym wydarzeniem dla włoskiej zbrojeniówki było ogłoszenie 13 czerwca 2019 roku przez ministerstwo obrony i rozwoju gospodarczego zobowiązań dotyczących zakupów i modernizacji uzbrojenia w latach 2020–2032, na które planowane jest 7,2 mld euro. Wielki prywatny producent Iveco Defence Vehicles miał otrzymać dwa duże zamówienia na 64 czołgi na kołach Centauro II 8x8 za 740 mln euro i 156 bojowych wozów Freccia 8x8 za 1,5 mld euro. Partnerem Iveco jest należąca do Leonardo spółka OTO-Melara. Pozostałe pieniądze trafiłyby w większości do Leonardo z przeznaczeniem na taki sprzęt, jak samoloty szkolne M-345, śmigłowce NH-90, HH-101 CSAR i AW-249, pocisk przeciwokrętowy Teseo Mk2/A, myśliwce Tornado i Typhoon, fregaty FREMM, okręty podwodne typu U-212 oraz morskie i lądowe odmiany systemu obrony powietrznej opartego na rakietach Aster. Nie sposób nie zauważyć, że nie wymienia się F-35, w którym duży udział mają firmy zagraniczne, jak chociażby Lockheed Martin. Brak też danych, jakie konkretne kwoty planowane są na poszczególne projekty. Poza tym były to tylko polityczne deklaracje, więc nowy rząd nie będzie zobligowany do ich realizacji.

Kwota ponad 7 mld euro robi mniejsze wrażenie, jeśli weźmie się pod uwagę, że byłaby rozłożona na kilkanaście lat. Stąd włoska zbrojeniówka musi szukać kontraktów za granicą. Włochy są w pierwszej dziesiątce największych eksporterów uzbrojenia na świecie. Jednak w raporcie Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem „Trends in international arms transfers, 2018” podano, że w latach 2014–2018 wartość ich eksportu była mniejsza o 6,7% niż w okresie 2009–2013, podczas gdy w skali globalnej zwiększył się on o niemal 8%. Niemniej jednak w branży zbrojeniowej wystarczy zdobycie jednego czy dwóch dużych kontraktów, by dane statystyczne były lepsze. ■



USA

Laserowy stryker

Amerykańska armia zostanie wyposażona w system broni laserowej, który będzie zdolny do użycia bojowego.

Nadszedł czas, aby skierować broń energetyczną na pole walki”, powiedział gen. por. Neil Thurgood z Biura Asystenta Sekretarza Armii, odpowiedzialnego za zamówienia, logistykę i technologię. Testowane do tej pory urządzenia były tylko demonstratorami technologii.

W maju 2019 roku US Army zatwierdziła nową strategię szybkiego opracowania prototypów i dostarczenia zdolnych do walki różnych systemów broni, wykorzystujących ukierunkowaną energię, na potrzeby modernizacji wojsk lądowych. 26 lipca została podpisana z firmą Kord

Technologies umowa o wartości 203 mln dolarów. Northrop Grumman i Raytheon mają opracować prototypy laserów przeciwlotniczych o mocy 50 kW i przy wsparciu General Dynamics Land Systems – producenta platformy – zamontować je na wozach Stryker. Pojazdy przejdą testy, po których zostanie wyłoniony dostawca systemu. Wtedy przewiduje się rozszerzenie zamówienia o następne laserowe strykery. Do roku budżetowego 2022 ma być dostarczony sprzęt dla plutonu złożonego z czterech pojazdów. Wartość umowy może się wówczas zwiększyć do 490 mln dolarów. W

IZRAEL

Pancerny carmel

Trzy lata temu został uruchomiony program „Carmel”, dotyczący pojazdów pancernych.

Ministerstwo obrony zleciło firmom Elbit, Rafael i Israel Aerospace Industries, by sprawdziły wykonalność koncepcji czołgu mającego tylko dwuosobową załogę – dowódcę i operatora uzbrojenia. Resort zachęcał do zintegrowania w wozie jak największej liczby „automatycznych i autonomicznych systemów”, tak by pełniły funkcję „trzeciego żoł-

nierza”, chociaż w kabinie ma być miejsce dla trzeciej osoby.

W lipcu zaprezentowano trzy demonstratory, przygotowane z wykorzystaniem używanej w Izraelu wersji gąsienicowego transportera M113. W pojeździe Elbitu znalazły się liczne systemy autonomiczne i wykorzystujące sztuczną inteligencję, które wspierają załogę w identyfikowaniu celów



EJLB

i podejmowaniu decyzji. Jej członkowie zostali wyposażeni w opracowane przez Elbit hełmy Iron Vision, które połączone z kamerami i czujnikami zewnętrznymi, dostarczającymi żołnierzom obraz tego, co dzieje się wokół pojazdu. W prototypie Rafaela zaś zastosowano

projekt przejrzystego kokpitu. Pojazd ten ma autonomiczny system wsparcia misji. Chodzi o samodzielne planowanie działań, kierowanie wozem i jednoczesne operowanie wszystkimi systemami uzbrojenia z wykorzystaniem sztucznej inteligencji.

Z kolei firma IAI skorzystała z rozwiązań zbudowanych przez siebie pojazdów bezałogowych. W kabinie zamontowano duży, panoramiczny wyświetlacz. Pojazdem i jego uzbrojeniem można kierować za pomocą kontrolera konsoli gier wideo Xbox. WW

STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD

TOMASZ OTŁOWSKI

BOMBA TYKA

Recep Tayyip Erdoğan dysponuje
strategicznym orężem, zdolnym
do skutecznego porażenia Europy.

JESIENIĄ 2018
ROKU ZAMKNIĘTO
PIERWSZYCH SZEŚĆ DUŻYCH
OBOZÓW W PROWINCJACH
GAZIANTEP, ADIJAMAN I KILIS,
POŁOŻONYCH W POBLIŻU GRANICY
Z SYRIĄ. NA ZDJĘCIU OBÓZ DLA
UCHODźCÓW SYRYJSKICH W ISLA-
HIYE, W PROWINCJI GAZIANTEP,
W POŁUDNIOWO-
WSCHODNIEJ TURCJI.



W

cieniu narastającej rywalizacji amerykańsko-irańskiej w regionie Zatoki Perskiej, pogłębiających się konfliktów w Libii i Jemenie oraz wciąż niewygasłej wojny w Syrii w regionie bliskowschodnim rozwija się potencjalnie niezwykle groźny dla Zachodu kryzys. Turcy bez większego rozgłosu systematycznie zamykają obozy dla uchodźców z Syrii i Iraku. Proces ten trwa już co najmniej od końca 2018 roku. Tamtejsze władze jako oficjalny powód swoich działań podają wysokie koszty utrzymania tych ośrodków oraz narastające problemy z integracją uchodźców.

IMIGRANTOM DZIĘKUJEMY

W Turcji w połowie 2019 roku, według oficjalnych danych tamtejszego ministerstwa spraw wewnętrznych, przebywało 3,6 mln uchodźców z Syrii i około 0,4 mln z Iraku. Ponad połowa z nich to osoby w wieku do lat 24. Jak w 2018 roku oświadczył prezydent Recep Tayyip Erdoğan, utrzymanie obozów i ich rezydentów kosztowało już prawie 40 mld dolarów. Przy okazji dał do zrozumienia, że 6 mld euro przyznane w 2016 roku przez Unię Europejską na edukację i inne programy pomocowe dla uchodźców w Turcji to kropla w morzu potrzeb.

Jesienią 2018 roku zamknięto pierwszych sześć dużych obozów w prowincjach Gaziantep, Adijaman i Kilis, położonych w pobliżu granicy z Syrią. W lipcu 2019 roku ostatecznie przestał istnieć największy (35 tys. osób) obóz dla syryjskich uchodźców w mieście Suruç. Rezydenci zamykanych ośrodków dostali od Turków jasny przekaz – albo przenoszą się do większych miast Turcji, gdzie muszą radzić sobie sami, albo wracają do Syrii. Ci, którzy zdecydują się zostać, mają przez pewien czas zapewnioną comiesięczną pomoc finansową w wysokości 50 dolarów na osobę jako renty socjalna i 17 dolarów w formie pewnego rodzaju kieszonkowego. Za takie pieniądze trudno jednak przeżyć, zwłaszcza w dużych miastach zachodniej i centralnej Anatolii.



Prezydent Recep Tayyip Erdoğan oświadczył, że utrzymanie obozów i ich rezydentów kosztowało już prawie 40 mld dolarów.

Spośród rzeszy Syryjczyków od lat znajdujących schronienie w Turcji, w obozach przebywa już tylko niewielki ich odsetek (około 4%). Większość żyje już wśród ludności miejscowej, głównie w miastach, nie wyłączając tych największych – Sztambułu czy Ankary. Syryjczycy tworzą jednak własne zwarte społeczności, zamieszkujące określone dzielnice i kwartały. Podejmują prace niewymagające wysokich kwalifikacji zawodowych, głównie w budownictwie, handlu i sektorze rolnym. Zakładają niewielkie firmy, np. piekarnie, lokale usługowe lub gastronomiczne, ale też zajmują się żebractwem, prostytutką (w tym nieletni), wchodzą na drogę przestępczą. Arabskie gangi stały się w Turcji synonimem zarówno drobnej, jak i zorganizowanej działalności kryminalnej, często powiązanej z podobnymi strukturami w Libanie, Syrii i Iraku.

Z dostępnych danych wynika, że większość Syryjczyków żyjących dotychczas w obozach nadal pozostaje w Turcji. Nie powinno dziwić, że niewiele osób decyduje się na powrót do ojczyzny. Wszak wojna w Syrii wciąż trwa, a – co najgorsze dla sunnickich w większości uchodźców z tego kraju – stroną zwycięską w tym konflikcie jest alawicki (szyicki) reżim prezydenta Baszszara al-Asada. Niemal dziesięcioletnia wojna domowa zburzyła dawny układ sił etnicznych i wyznaniowych w tym kraju, trwale zmieniając dotychczasowe terytorialne rozmieszczenie poszczególnych społeczności.

Stanowiący większość społeczeństwa sunnici stali się jedną z najbardziej dotkniętych skutkami wojny grup wyznaniowych. To właśnie oni najczęściej uciekali przed wojną i represjami ze strony żadnych odwetu mniejszości, szczególnie alawitów. Dzisiaj nie mają już do czego wracać, tym bardziej że zwycięski reżim nie spieszy się z odbudową głównie sunnickich regionów w Homs, Hamie, Darze czy Aleppo.

DEARABIZACJA TURCJI

Mogłoby się wydawać, że likwidowanie obozów dla uchodźców jako miejsc niesprzyjających integracji ich rezydentów ma sens. Problem w tym, że rząd w Ankarze równolegle podejmuje



Obrońcy praw człowieka trzymają tabliczki z napisem „Zatrzymaj deportacje” podczas demonstracji przeciwko polityce tureckiej wobec uchodźców. Stambuł, 2 sierpnia 2019 roku

OZAN KOSE / AFP / EAST NEWS

TOLERANCJI SPOŁECZEŃSTWA WOBEC UCHODźCÓW NIE SPRZYJA ZŁA SYTUACJA EKONOMICZNA KRAJU

wiele działań mających na celu ograniczenie swobody funkcjonowania arabskich imigrantów i zmniejszenia ich poczucia bezpieczeństwa w Turcji. Zaostrza się np. kontrole fiskalne czy sanitarne w firmach prowadzonych przez Syryjczyków i wiele z nich zamyka. Utrudnia się przemieszczanie uchodźców po kraju, wprowadzając masowe kontrole ruchu osobowego na drogach. Od początku roku nasila się też proces likwidacji arabskojęzycznych szyldów i banerów na ulicach miast, zainicjowany przez ministerstwo spraw wewnętrznych w imię „dearabizacji przestrzeni publicznej”. Kampanię tę pochwalił sam Erdoğan, który przed powtórными wyborami municypalnymi w Stambule wzywał swych zwolenników do przywrócenia ulicom miast ich „właściwego, tureckiego wyglądu”.

Tamtejsi politolodzy są przekonani, że kwestia rosnących społeczno-ekonomicznych i kulturowych kosztów pobytu milionów arabskich uchodźców w Turcji jest jedną z ważniejszych przyczyn klęski rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) w niedawnych wyborach samorządowych. Imigranci wyparli Turków z wielu sektorów rynku pracy, co sprawiło m.in., że bezrobocie wzrosło z 9% w 2011 roku do 14% w 2019 (są to dane oficjalne i najprawdopodobniej zaniżone).

Postawie tolerancji społeczeństwa wobec uchodźców nie sprzyja też ogólnie zła sytuacja ekonomiczna kraju, dodatkowo komplikowana restrykcjami Unii Europejskiej oraz uderzającymi w Turcję rykoszetem sankcjami USA wobec Ira-

nu. Do tego wszystkiego dochodzą tradycyjne animozje między Turkami a Arabami, sięgające jeszcze czasów imperium osmańskiego. Latem 2019 roku w kilku miastach doszło zatem do mniej lub bardziej spontanicznych pogromów.

Wszystko wskazuje więc na to, że rząd w Ankarze postanowił maksymalnie utrudnić życie uchodźcom, głównie syryjskim. A skoro zdecydowana większość z milionów arabskich imigrantów nie chce lub po prostu nie może wracać do domu – to w zasadzie jedyną możliwością jest szukanie sobie miejsca do życia gdzie indziej. Z innych państw regionu żadne nie jest ani skłonne, ani gotowe ich przyjąć – Jordania znajduje się na krawędzi społecznej rewolty wywołanej przez przedłużający się pobyt niemal miliona irackich i syryjskich uchodźców, a Liban też zamyka u siebie obozy. Nietrudno się zatem domyśleć, że w takiej sytuacji jedynym możliwym kierunkiem dalszej migracji uchodźców z Turcji (a do tego preferowanym przez większość z nich) jest Europa.

KIERUNEK ZACHÓD?

Czy władze w Ankarze faktycznie mają zamiar zmusić mniej lub bardziej subtelными metodami przebywających w Turcji uchodźców do kolejnego marszu na Zachód i rozpętać nową wędrówkę ludów na wzór tej z 2015 roku? Nie sposób na razie jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, ale pewnych wskazówek może udzielić analiza aktualnej sytuacji geopolitycznej Turcji oraz działań tego kraju na arenie międzynarodowej.



Nienajlepsza pozycja strategiczna Ankary to efekt kilkunastoletnich rządów AKP, cechujących się stopniowym, ale systematycznym demontażem projektu sekularyzacyjnego, zainicjowanego przed stu laty przez założyciela Republiki Tureckiej, Mustafy Kemala Atatürka. W wymiarze międzynarodowym oznacza to przede wszystkim narastający kryzys w relacjach z sąsiadami na Bliskim Wschodzie. Przykładem może być załamanie się bardzo dobrych jeszcze dwie dekady

temu stosunków z Izraelem. Ekipa Erdoğan poświęciła je w imię wspierania radykalnych islamistycznych nurtów palestyńskich wyrosłych z Bractwa Muzułmańskiego, takich jak Hamas czy Islamski Dżihad. Z tego samego względu pogorszyły się kontakty z Egiptem oraz z Arabią Saudyjską. Doskonale to widać chociażby w kontekście wojny domowej w Libii, gdzie Turcy wspierają powiązany z Bractwem Muzułmańskim Rząd Jedności Narodowej z Trypolisu – inaczej niż większość państw arabskich zaangażowanych po stronie rządu z Tobruku i marszałka Khalify Haftara.

Nie najlepiej rozwijają się również stosunki z Zachodem, zarówno z Unią Europejską, jak i Stanami Zjednoczonymi. Od ponad dekady systematycznie narasta kryzys i pogłębia się brak zaufania między bardzo bliskimi niegdyś sojusznikami. Dzisiaj można je określić jako niemal otwarty konflikt polityczny, co doskonale widać na przykładzie rozbieżności stanowisk wobec wojen w Syrii i Libii, kwestii palestyńskiej, sytuacji wokół Iranu czy relacji z Rosją. Przykładów konkretnych działań można tutaj podawać wiele, jak choćby zakup rosyjskiego systemu obrony przeciwnocnej S-400 wbrew stanowisku USA i NATO oraz będące tego następstwem wykluczenie Turków z sojuszniczego programu budowy myśliwca wielozadaniowego F-35. Innym przykładem jest jawne pogwałcenie przez Ankarę prawa międzynarodowego i podjęcie wczesnym latem 2019 roku próbnym odwiertów geologicznych w morskiej strefie ekonomicznej Cypru – pomimo ostrzeżeń i retorsji ze strony Unii Europejskiej.

Wszystko to zdaje się przypieczętowywać faktyczny rozłam strategiczny między Turcją a Zachodem. Efektem tych działań jest szybko postępująca izolacja międzynarodowa, którą Ankara próbuje rekompensować zacieśnianiem więzi z państwami tak jak ona skonfliktowanymi z Zachodem. Chodzi głównie o Iran i Rosję, ale nie tylko, bo przecież to właśnie Turcy byli najbliższymi sojusznikami reżimu Umara al-Baszira w Sudanie, a dzisiaj otwarcie popierają kontrowersyjnego wenezuelskiego prezydenta Nicolasa Maduro.

Wywołuje to coraz trudniejszą do ukrycia frustrację władz w Ankarze, zwłaszcza samego Erdoğan. Prezydent ze szczególnym oburzeniem odnosi się do Unii Europejskiej, co należałoby chyba tłumaczyć „zawiedzioną miłością”. Turcy przez dekady marzyli o członkostwie w UE, ale proces akcesyjny już dawno utknął w miejscu z braku gotowości Anka-

EUROPEJ CZEKA KO- LEJNY DRAMATYCZNY KRYZYS HUMANITAR- NY, KTÓREGO POLI- TYCZNE I SPOŁECZNO- -EKONOMICZNE SKUTKI SĄ TRUDNE DO OSZACOWANIA

ry do akceptacji i pełnego wdrożenia fundamentalnych zasad europejskich, odnoszących się do kwestii praw oraz wolności człowieka i obywatela. Dzisiaj, po wydarzeniach ostatnich 15 lat w samej Turcji i dramatycznym zaostrożeniu relacji Zachodu z islamem w wyniku wojny z muzułmańskim terroryzmem, nikt w Europie już chyba nie rozważa na serio perspektywy tureckiego członkostwa w UE. Sama Turcja zaś ponownie, jak przed ponad stu laty, staje się „chorym człowiekiem

Europy”, czyli coraz bardziej niestabilnym i nieprzewidywalnym członkiem wspólnoty międzynarodowej.

CZARNE SCENARIUSZE

Prezydent Recep Erdoğan dysponuje jednak strategicznym orężem, zdolnym do skutecznego porażenia Europy. To setki tysięcy, jeśli nie miliony arabskich uchodźców, którzy mogą zostać w każdej chwili skierowani na Stary Kontynent w celu wywołania efektu działania bomby humanitarnej. Scenariusz taki jawi się jako coraz bardziej prawdopodobny, nie tylko ze względu na działania Turków wobec arabskich uchodźców oraz rosnące napięcie między Ankarą a Zachodem. Ekipa prezydenta – wobec kryzysu ekonomicznego i spadku poparcia dla AKP – musi skierować uwagę opinii publicznej na inne tematy. Rozbudzenie ksenofobicznych, nacjonalistycznych i antyzachodnich postaw wśród części społeczeństwa ma służyć temu celowi. Równie ważny w tym kontekście jest fakt, że Turcja w swych planach wykorzystania uchodźców jako strategicznej broni przeciwko Europie zdaje się mieć poparcie (jeśli nie są to inspiracje) kilku istotnych graczy międzynarodowych – zarówno państw, jak i struktur pozapaństwowych.

Radykalne działania Ankary w kwestii uchodźców zaakceptowałyby zapewne zwłaszcza Rosja, niezmiennie zainteresowana osłabianiem Zachodu. Moskwa mogłaby zresztą wykorzystać takie wydarzenia absorbujące międzynarodową opinię publiczną jako parawan do realizacji własnych agresywnych celów gdzieś w Europie lub na Bliskim Wschodzie. Z nowego kryzysu ucieszyłby się również Iran rozgoryczony postawą Europejczyków wobec porozumienia nuklearnego z Teheranem. Turcy mogliby poza tym liczyć na zrozumienie ze strony liberalno-lewicowych organizacji pozarządowych i struktur budujących „nowy ład światowy”. Obserwowana aktywizacja tych grup na Morzu Śródziemnym, mająca na celu zwiększenie skali migracji uchodźców z Turcji (oraz Libii) do Europy, nie wydaje się przypadkowa. Wszystko to może więc wskazywać na realną groźbę rychłego przyrostu fali imigracyjnej na Stary Kontynent, nawet jeszcze tej jesieni. Gdyby te kaskadowe prognozy miały się faktycznie spełnić, Europę czekałby kolejny dramatyczny kryzys humanitarny, którego polityczne i społeczno-ekonomiczne skutki byłyby trudne do oszacowania. Pozostaje więc mieć nadzieję, że te czarne scenariusze pozostaną wyłącznie na papierze. ■

AW101. Nowy symbol Bałtyku



AW101

Sprawdzony w wielu misjach wojskowych, w tym w Iraku, Afganistanie i Somalii. Doceniony przez czołowe państwa członkowskie NATO: Wielką Brytanię, Włochy, Danię, Portugalię, Norwegię i Kanadę. AW101, najbardziej zaawansowany technologicznie śmigłowiec morski świata, wchodzi do służby Marynarki Wojennej RP.

Zakup AW101 to kluczowa decyzja polskiego rządu, przyczyniająca się do poprawy bezpieczeństwa Polski, szczególnie nad wodami Morza Bałtyckiego. AW101, w imieniu globalnego koncernu Leonardo, dostarczy spółka PZL-Świdnik. Dziękujemy za powierzone nam zadanie i zaufanie.

Zainspirowani wizją, ciekawością świata i kreatywnością wielkiego mistrza i wynalazcy
– w Leonardo tworzymy technologie przyszłości.



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Wypadki się zdarzają...

...zwłaszcza podczas prac nad nowymi technologiami”, tak Dmitrij Pieskow, rzecznik Kremla, skomentował ostatnie wydarzenia na poligonie w Nionoksie. Dla przypomnienia, 8 sierpnia doszło tam do eksplozji, która najprawdopodobniej była związana z próbami napędu pocisku manewrującego dalekiego zasięgu 9M730 Burevestnik (kryptonim NATO SSC-X-9 Skyfall). W wyniku incydentu zginęło pięciu naukowców, a co najmniej trzech innych odniosło rany. Rosyjskie stacje meteorologiczne odnotowały także szesnastokrotny wzrost promieniowania w regionie, w tym w pobliskim Siewierodwińsku oraz Archangielsku. Nie stwierdzono zagrożenia dla mieszkańców, jednak nie ma wątpliwości, że podczas wybuchu został uwolniony materiał promieniotwórczy.

Ofiary eksplozji pochowano w tajnym ośrodku jądrowym w Sarowie. Ranni zostali przetransportowani najpierw do szpitala w Archangielsku, a następnie – wraz z zajmującym się nimi personelem – do placówki w Moskwie. Atmosferę grozy budują informacje o ewakuacji pobliskich miejscowości (którą odwołano) oraz o pilnym wezwaniu statku „Serebryanka”, którego głównym zadaniem jest przewożenie odpadów nuklearnych. Zdarzenie to jednoznacznie kojarzy się z Czarnobyliem. Pomiarzy norweskich stacji monitorujących nie wskazują jednak na to, żeby konsekwencje wypadku były tak poważne jak w kwietniu 1986 roku.

Nie można jednak powiedzieć tego samego w przypadku prac nad burevestnikiem. Idea pocisku manewrującego napędzanego niewielkim reaktorem atomowym nie jest nowa. W 1957 roku Amerykanie powołali Projekt Pluto, którego celem było stworzenie podobnej rakiety. Umieszczony w jej wnętrzu reaktor miał zasysać powietrze, a następnie ogrzewać je i w ten sposób generować ciąg. Szybko okazało się jednak, że wyrzucane powietrze było radioaktywne, co powodowało poważne konsekwencje. Projekt został skasowany.

Burevestnik ma być pociskiem „ostatniego użycia”, niszczącym dowolny cel na ziemi w chwili, w której następstwa jego zastosowania nie mają większego znaczenia. Taka broń nie jest użyteczna podczas konwencjonalnych konfliktów, może jednak stanowić silny argument w negocjacjach pomiędzy mocarstwami. Federacja Rosyjska dysponuje pociskami manewrującymi Kalibr o zasięgu nieprzekraczającym 3000 km. Ewentualny atak na terytorium USA wymaga zastosowania dodatkowej platformy do ich odpalenia, co czyni je łatwiejszymi do zwalczenia przez zachodnie systemy obrony. Burevestnik zmieniałby reguły tej gry i być może otworzyłby drogę do renegocjacji traktatu New START, który wygasa w 2021 roku.

Równocześnie Rosjanie pracują nad hipersonicznym pociskiem manewrującym 3M22 Zircon oraz podwodnym dronem dalekiego zasięgu Posejdon. Oba projekty zakładają możliwość przenoszenia głowic jądrowych i najprawdopodobniej są testowane w tym samym ośrodku. Nieudane próby mogły także dotyczyć ogniwa atomowego, które miałoby stanowić niewyczerpane źródło energii dla systemów sterujących raketą oraz aktywacji jej głowicy (nieoficjalne źródła podają, że do awarii takiej „baterii” mogło dojść 8 sierpnia). Niezależnie jednak od przyczyn incydentu dalszy rozwój wymienionych projektów wydaje się bardziej niepokojący niż następstwa eksplozji w Nionoksie. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI jest dziennikarzem i korespondentem zajmującym się problematyką społeczną Bliskiego Wschodu oraz państw postsowieckich.



Po wyjeździe z kraju oligarchy Pavel Filip ustąpił z urzędu tymczasowego prezydenta, sąd konstytucyjny zaś odwołał swe poprzednie decyzje i podał się do dymisji.

Vladimir Plahotniuc od lat trząsł mołdawską sceną polityczną, kontrolował rząd, organy władzy wykonawczej oraz większość parlamentarną.

Małżeństwo z rozsądku

Gdy w połowie czerwca z Mołdawii wyjechał oligarcha Vladimir Plahotniuc, dla wszystkich stało się jasne: kraj zyskał szansę na lepszą przyszłość.

ROBERT SENDEK

W wydarzenia na mołdawskiej scenie politycznej w ostatnim czasie rozgrywają się według scenariusza znanego z filmów Alfreda Hitchcocka: najpierw trzęsienie ziemi, a potem napięcie rośnie. Najciekawsze jest chyba to, że politycznego przesilenia, do jakiego ostatnio doszło w Mołdawii, właściwie nikt się nie spodziewał.

Społeczeństwo już przyzwyczało się do nieustannego, przeciągającego się kryzysu władzy i instytucji publicznych. Dziś wprowadzić do stabilności nadal jeszcze daleko, wydaje się jednak, że w Mołdawii dokonana się zmiana na tyle istotna, że może zapoczątkować nowy etap w najnowszych dziejach tego państwa.

Dotychczas główną osią sporu między największymi siłami politycznymi w Mołdawii była kwestia wyboru cywilizacyjnego. Czy Mołdawia ma zmierzać w kierunku integracji z Unią Europejską? Czy raczej wiązać swą przyszłość z Federacją Rosyjską? W Polsce po upadku komunizmu elity polityczne były zgodne: za jedyny możliwy kierunek cywilizacyjny uznano orientację na Zachód. W Mołdawii sympatie są podzielone, a zwolennicy poszczególnych opcji nie są w stanie zdobyć na tyle dużego poparcia, żeby zdominować oponenta. W tym roku doszło jednak do pewnej zmiany: ważniejsze od tego sporu stało się odejście od systemu oligarchicznego. Było to zadanie na tyle istotne, że dwie skrajnie różne partie, o kompletnie od-

miennych orientacjach geopolitycznych, porozumiały się, aby wyprowadzić kraj z chronicznego kryzysu.

WŁADCA MARIONETEK

Wybory parlamentarne, które przeprowadzono w Mołdawii w lutym 2019 roku, nie zapowiadały przełomu. W rywalizacji o mandaty nominalnie zwyciężyła Partia Socjalistów Republiki Mołdawii. Ta sama, która jest politycznym zapleczem dla prezydenta Igora Dodona, uważanego za polityka prorosyjskiego. Socjalistom udało się uzyskać niemal jedną trzecią ważnych głosów, czyli więcej niż przed pięciu laty. Niewiele gorsze wyniki miały jednak dwa ugrupowania konkurencyjne: blok wyborczy partii centroprawicowych, posługujący się



NOWE WŁADZE PODKREŚLAJĄ SWĄ DETERMINACJĘ W DĄŻENIU DO ZBLIŻENIA Z UNIĄ EUROPEJSKĄ

PARLAMENTUR REPUBLICII
MOLDOVA



nazwą Teraz, oraz dotychczas sprawująca władzę Demokratyczna Partia Mołdawii. I to między nimi rozegrała się decydująca walka.

Demokratyczna Partia Mołdawii uważana jest za ugrupowanie realizujące interesy jednego człowieka. Swoistym patronem „demokratów”, a jeszcze do niedawna ich liderem, był mołdawski oligarcha Vladimir Plahotniuc. Ma on opinię miejscowego ojca chrzestnego o nieciekawej przeszłości. Od lat trząsł mołdawską sceną polityczną, kontrolował rząd, organy władzy wykonawczej oraz większość parlamentarną. Oficjalnie był deputowanym, przez pewien czas nawet wicemarszałkiem mołdawskiego parlamentu. To jednak mu nie wystarczało. W 2016 roku starał się o stanowisko premiera: jego kandydaturę dwukrotnie wysuwała Demokratyczna Partia Mołdawii, ale prezydent Nicolae Timofti dwukrotnie ją odrzucił.

Plahotniuc prowadził przy tym rozległe interesy. Potrzebował politycznej

ochrony, ponieważ duża część biznesów znajdowała się w szarej strefie. Mówiło się nawet, że część jego majątku powstała w wyniku przestępstw, w tym handlu ludźmi. Wiązano go z mafią sołncewską, pojawiły się nawet oskarżenia o to, że był inspiratorem zamachu na rosyjsko-mołdawskiego przedsiębiorcę Giermana Gorbuncowa w 2012 roku. W Rosji toczy się przeciwko niemu śledztwo związane z machinacjami finansowymi, ale również jest oskarżony o kierowanie kartelem narkotykowym.

Pozycja Plahotniuca była na tyle silna, że nazwano go władcą marionetek, człowiekiem, który jest w stanie kreować i obalać najważniejszych polityków w kraju. W czerwcu 2015 roku był premier Mołdawii, Ion Sturza, ośmielił się nawet stwierdzić, że „Mołdawia jest krajem zawłaszczonym, kontrolę nad nim sprawuje Plahotniuc”. Słowa te odbiły się w kraju tak wielkim echem, że przywołał je nawet parlament mołdawski w przyjętej w czerwcu

tego roku deklaracji. Trzecią najważniejszą siłą parlamentarną w Mołdawii po lutowych wyborach stał się blok partyjny Teraz. Należą do niego dwie mniejsze partie, których liderami są Maia Sandu i Andrei Năstase, ludzie działający w mołdawskiej polityce od lat. To połączone ugrupowanie ma profil centroprawicowy, a jednym z najważniejszych punktów jego programu jest zbliżenie z Unią. Blok ma też wypisaną na sztandarach walkę z korupcją oraz rozwój wolnego rynku.

CZERWCOWY PRZEŁOM

Ponieważ w lutowych wyborach aż trzy partie miały zbliżony wynik, żadna nie mogła stworzyć samodzielnie rządu. Konieczne było podjęcie rozmów z konkurentami i zawarcie taktycznego sojuszu. O tym, jak trudne były rokowania, świadczy fakt, że strony nie były w stanie się porozumieć przez niemal trzy miesiące. Przez ten czas rząd sprawował zatem premier z poprzedniego rozdania,



Utworzenie nowego, koalicyjnego rządu nastąpiło 8 czerwca, a premierem została Maia Sandu. Na zdjęciu udziela wywiadu moldawskim mediom w siedzibie parlamentu w Kiszyniowie, 10 czerwca 2019 roku.

DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS

reprezentujący demokratów Pavel Filip. Ostatecznie stanęło na dość egzotycznej koalicji: otóż porozumienie zawarli ideowi przeciwnicy, reprezentujący partię prorosyjską (socjaliści) i prozachodnią (Teraz). Dla obu ugrupowań najważniejszym postulatem stało się odsunięcie od władzy demokratów – a wraz z nimi Plahotniuca. Utworzenie nowego, koalicyjnego rządu ogłoszono 8 czerwca, a premierem została Maia Sandu.

Wtedy w moldawskiej polityce – która wiele już widziała – zaczęły się dziać cuda. Otóż sąd konstytucyjny uznał, że prezydent powinien rozwiązać niezdolny do wyłonienia rządu parlament najpóźniej do 7 czerwca, a następnie roz�isać nowe wybory. Ponieważ jednak Dodon tego nie zrobił, sąd ogłosił, że złamał on prawo, więc przestaje sprawować władzę. Jednocześnie wskazał pełniącego obowiązki prezydenta: został nim dotychczasowy premier, „demokrata” Pavel Filip. Ten błyskawicznie podpisał dokument o rozwiązaniu parla-

mentu i rozpisaniu nowych wyborów parlamentarnych na 6 września.

To oczywiście nie mogło pozostać bez reakcji. Deputowani wspierający koalicyjny rząd przyjęli deklarację, w której zapisano: „Parlament Mołdawii, jako najwyższy organ władzy ustawodawczej, stwierdza, że instytucje państwowe oraz prawne państwa zostały zawłaszczone i jako takie są dotknięte totalną korupcją”. Wyrazili też nieufność wobec sądu konstytucyjnego, dopatrując się w jego działaniach inspiracji Plahotniuca. Zażądali również dymisji szefów służb bezpieczeństwa oraz państwowego ośrodka walki z korupcją. W odpowiedzi zwolennicy „demokratów” urządzili w Kiszyniowie miasteczko namiotowe, twierdząc, że działają w obronie „legalnej” władzy.

Ten stan politycznego pata nie utrzymał się jednak długo. Okazało się, że w rozwiązanie kryzysu zaangażowały się Unia Europejska, USA i Rosja, którym oligarcha nie był na rękę. Gdy zaś wyszło na jaw, że Plahotniuc wyjechał z kraju, a wraz z nim do Moskwy lub Kijowa udała się grupa jego współpracowników z Demokratycznej Partii Mołdawii, sytuacja diametralnie się zmieniła. Pavel Filip ustąpił z urzędu tymczasowego prezydenta, sąd konstytucyjny odwo-

łał swe poprzednie decyzje i podał się do dymisji.

SZANSA Z PROBLEMAMI

Choć wydaje się, że kraj wreszcie zyskuje szansę na lepszą przyszłość, to Mołdawię czekają trudne czasy. Wyzwania są ogromne i nie ma pewności, czy uda się im sprostać. Mówiła o tym Maia Sandu podczas wizyty w Brukseli: „Czeka nas trudne zadanie: stworzyć funkcjonalny, a przy tym demokratyczny system rządów, które będą służyć obywatelom i nie dopuszczą do jakiegokolwiek próby ich zawłaszczenia”. Podkreślała przy tym swą determinację: „Nie będziemy szli na żadne kompromisy w ważnych dla nas sprawach. Przede wszystkim w sprawie naszego dążenia do Unii Europejskiej, ale także w kwestii budowy państwa z niezależnymi instytucjami, które odpowiadają na potrzeby obywateli”.

Oby się nie okazało, że są to zapowiedzi na wyrost. Słabością nowego rządu jest bowiem to, że tworzy go koalicja partii o przeciwnych programach. Pragnienie usunięcia Plahotniuca z życia politycznego kraju pozwoliło socjalistom i centroprawicy pokonać dzielące ich różnice. Czy koalicja przetrwa w obliczu problemów instytucjonalnych? ■



Dogonić Wielkiego Brata

Napięcia w relacjach amerykańsko-chińskich oraz ekspansjonistyczna polityka Pekinu zmusiły niewielki Tajwan do przyspieszenia modernizacji sił zbrojnych.

ROBERT CZULDA

Kontynentalne Chiny ciągle postrzegają Tajwan jako zbuntowaną prowincję, podczas gdy w rzeczywistości jest to niepodległe państwo. Ma własny rząd i coraz wyraźniejszą własną tożsamość narodową. Prowadzi też samodzielną, choć mocno ograniczoną, politykę zagraniczną. Jako że takie kwestie, jak polityczny status wyspy, możliwość formalnego ogłoszenia niepodległości czy polityka wobec Pekinu, to nieodłączne elementy debat przedwyborczych na Tajwanie, każda kolejna elekcja prezydencka jest bacznie przez niego obserwowana. Podobnie będzie pod koniec 2019 roku. Jeśli w styczniu 2020 roku władzę utrzyma dotychczasowa prezydent, zwiększy się ryzyko napięć między obu krajami.

Tsai Ing-wen, która prezydentem Tajwanu została w 2016 roku, reprezentuje środowiska opowiadające się za niepodległością. Tymczasem Chiny, jednostronnie deklarujące zwierzchność nad wyspą, rezerwują sobie prawo do zbrojnej in-

terwencji, gdyby Tajwan zdecydował się na taki ruch. W 2005 roku przyjęły kontrowersyjną ustawę, w której Pekin nie tylko nie wyrzekł się prawa do stosowania siły wobec Tajwanu, lecz także zagroził, że może posunąć się do takiego kroku w sytuacji „gdy pokojowe metody zjednoczenia zostaną wyczerpane”. Brzmi to jak śmiertelna groźba.

JEDNOŚĆ OJCZYZNY PO CHIŃSKU

Wyraźnie wzrastająca potęga Chin i coraz wyraźniejsza próba „połknięcia” Tajwanu wywołują niepokój wśród jego decydentów. Pekin naciska na państwa, międzynarodowe organizacje oraz korporacje, by te nie prowadziły z nimi żadnych interesów. Jednocześnie zwiększa liczbę ćwiczeń w regionie, aby zastraszyć mniejszego sąsiada. Gen. Shao Yuanming, zastępca dowódcy Sztabu Centralnej Komisji Wojskowej, ostrzegł nawet, że „jeśli ktokolwiek będzie próbował oddzielić Tajwan od macierzy, chińskie wojsko stanowczo



Prezydent TSAI ING-WEN reprezentuje środowiska opowiadające się za niepodległością.



Tajpej ma w planach zakup m.in. 409 sztuk ppk FGM-148 Javelin.

bronić będzie jedności ojczyzny – za wszelką cenę”.

W kwietniu chińskie samoloty, w tym bombowce H-6K, przeleciały w pobliżu kanału Bashi. Tajpej oskarżył wówczas Chiny o próbę zmiany status quo Cieśniny Tajwańskiej. Chińczycy na kilka miesięcy wstrzymali swoje działania – zapewne czekając na rozstrzygnięcie listopadowych wyborów parlamentarnych na Tajwanie. Zwycięstwo w nich odniosła partia KMT (Kuomintang) – kiedyś proniepodległościowa, a obecnie wzywająca do polityki pojednania z Chinami. Teraz jednak znów dochodzi do napięć. Już w grudniu 2018 roku tajwańskie samoloty przechwyciły i eskortowały chińskie bombowce H-6K, myśliwce Su-30 oraz samoloty rozpoznawcze i walki elektronicznej Y-9JB.

W tej sytuacji problemem jest to, że Tajpej nie ma żadnego pewnego sojusznika, choć łączy go niezobowiązujące porozumienie z Amerykanami. Na mocy podpisanego w 1979 roku

Taiwan Relations Act (TRA) Stany Zjednoczone nie są jednak zobowiązane automatycznie włączać się w wojnę po stronie Tajwanu. Co ciekawe, pomimo polityczno-wojskowej współpracy Waszyngton nie ma od 1979 roku formalnych relacji dyplomatycznych z Tajpej. W 1980 roku przestał obowiązywać dwustronny traktat obronny z 1954 roku.

Wykorzystywanie Tajwanu do ograniczenia potęgi Chin to istotny element polityki bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, ale jeszcze ważniejsze dla Amerykanów jest uniknięcie kryzysów w relacjach z Pekinem. Stąd w czasach poprzednich amerykańskich prezydentów wiele inicjatyw sprzedaży broni na Tajwan było blokowanych. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. W maju 2019 roku amerykański Senat przegłosował rezolucję, która potwierdza obowiązywanie TRA oraz daje prezydentowi zielone światło na dostawę broni do Tajwanu. W tym samym miesiącu pierwszy raz od czterech dekad doszło do bezpośredniego spotkania wysokich rangą przedstawicieli do spraw bezpieczeństwa obu krajów, na co Pekin zareagował „zdecydowanym niezadowolaniem” i „całkowitym sprzeciwem”.

BROŃ NA CELOWNIKU

Rosnące napięcia na linii Pekin–Waszyngton oraz asertywna polityka Chin w regionie wymuszają na Tajpej zwiększenie wydatków na zbrojenia. W połowie 2019 roku rząd prezydent Tsai przyjął projekt zwiększenia budżetu obronnego o 5,6%, czyli do poziomu 11,3 mld dolarów. Stanowi to około 2,16% PKB. Zakłada się, że do 2027 roku

TAJWAN CHCE MIEĆ TAKIE WOJSKO, KTÓRE UTRUDNIŁOBY CHIŃCZYZE NA WYSPĘ

wzrośnie on do 13,1 mld. To sporo, jak na tak małe państwo, ale Pekin na zbrojenia przeznaczają około 180 mld dolarów rocznie. Tajwan ma jednak świadomość, że nigdy nie będzie w stanie stworzyć sił zbrojnych mogących wielkością dorównywać Chińskiej Armii Narodowo-Wyzwoleńczej. Chce jednak mieć takie wojsko, które utrudniłoby Chińczykom inwazję na wyspę.

Skoro pojawiła się możliwość zakupu sprzętu od Amerykanów, to już w czerwcu 2019 roku Tajpej potwierdził wolę nabycia od Amerykanów 108 czołgów M1A2, które zastąpiłyby takie konstrukcje jak M60A3 i lokalnie produkowane CM11 (wariant M48), wysłużone i niemogące się równać z chińskimi. Chce również kupić 1240 sztuk przeciwpancernych pocisków kierowanych BGM-71 TOW oraz 409 ppk FGM-148 Javelin. Do tego Amerykanie mieliby sprzedać 250 rakiet ziemia–powietrze FIM-92 Stinger. Łącznie Tajpej musiałoby

przeznaczyć na ten cel około 2 mld dolarów – pod warunkiem, że faktycznie dojdzie do zawarcia umowy.

Stany Zjednoczone mają też pomóc Tajwanowi kupić niemal 2 tys. części zamiennych do ciągle będących w służbie tego państwa odrzutowców F-5E i F-5F. Ma to pozwolić utrzymać leciwe już lotnictwo, aż do momentu uruchomienia strategicznego programu pozyskania nowych samolotów wielozadaniowych. Po rezygnacji z pomysłu nabycia F-35 (z powodu długiego czasu realizacji ewentualnego zamówienia) Tajwan chce pozyskać 66 odrzutowców F-16V. Jeśli plan zostałby zrealizowany – bez wątpienia przy sprzeciwie Chin – produkcja mogłaby przynajmniej częściowo być przeniesiona do tajwańskich fabryk. Tymczasem Tajwan od 2017 roku modernizuje 145 samolotów F-16A/B.

By móc mierzyć się z Chińczykami na morzu, w listopadzie 2018 roku Tajwan wprowadził do służby dwie używane amerykańskie fregaty typu Oliver Hazard Perry (teraz ma dziesięć fregat). Jednocześnie inwestuje znaczne sumy w rozwijanie własnego przemysłu zbrojeniowego, który produkuje niemal wyłącznie na wewnętrzne potrzeby. Kluczowym projektem jest budowa okrętów podwodnych, które w razie wojny z Chinami mogłyby utrudnić wojskom desantowym operowanie w Cieśninie Tajwańskiej. Chociaż w 2001 roku Biały Dom zgodził się dostarczyć Tajwanowi osiem okrętów, to tej obietnicy nigdy nie spełniono. Teraz, po otrzymaniu dwóch projektów europejskich, dwóch amerykańskich, indyjskiego i japońskiego, Tajpej prowadzi prace nad własnym typem. ■



MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31

www.muzeumwl.pl

Znajdź nas na Facebooku



Oddział w Toruniu

ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń

tel. 261 43-24-66

fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu

ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław

tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24



Marynarze stoją na straży w pobliżu łodzi benzynowych w bazie morskiej Cambodian Ream w Sihanoukville. Kambodża, 26 lipca 2019 roku

REUTERS / FORUM



Portowe manewry

Dlaczego Pekin chce wydzierżawić jak najwięcej portów na Pacyfiku, skoro nie może ich użyć w razie konfliktu zbrojnego?

MICHAŁ BOGUSZ

Konwencja Organizacji Narodów Zjednoczonych o prawie morza z 1982 roku nie zwalnia państwa wydzierżawiającego komuś port z odpowiedzialności za działania w nim prowadzone.

Chińska Republika Ludowa (ChRL) i Królestwo Kambodży wiosną zawarły tajne porozumienie, podał 21 lipca 2019 roku dziennik „Wall Street Journal”, powołując się na anonimowe źródła w Pentagonie. Umowa w sprawie budowy i dzierżawy nowego portu pełnomorskiego w strefie Dara Sakor miałyby obowiązywać 30 lat, a później być automatycznie odnawiana co dekadę. Inne doniesienia mówiły o dzierżawie części portu Ream. Władze w Phnom Penh zaprzeczyły wszystkiemu, wskazując, że konstytucja zabrania udostępniania w ten sposób obiektów na cele wojskowe. Nie uspokoiło to jednak ani sąsiadów Kambodży, Wietnamu i Tajlandii, ani mocarstw w regionie Indo-Pacyfiku: USA i Indii. Ich obawy wynikają

m.in. z tego, że strefa Dara Sakor została wydzierżawiona na 99 lat chińskiemu deweloperowi, który zamierza tam wybudować luksusowy kompleks wypoczynkowy oraz lotnisko o wyjątkowo długim pasie startowym, mogące przyjmować nie tylko samoloty pasażerskie, lecz także duże jednostki transportowe. Według pojawiających się opinii, miałyby to umożliwić marynarce wojennej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ALW) wykorzystanie nowego portu jako bazy zaopatrzeniowej.

NAZWA MA ZNACZENIE

To nie jest pierwsza informacja na temat podobnych działań Pekinu. W kwietniu 2018 roku władze Republiki Vanuatu dementowały doniesienia australijskich mediów o rozmowach dotyczących



budowy takiego obiektu. Na przestrzeni lat podobne wiadomości pojawiły się w tak odległych od siebie państwach, jak Namibia, Kenia, Mozambik, Sri Lanka, Pakistan czy Myanmar. Sprawdziły się jednak tylko te dotyczące bazy w Dżibuti, która ma oficjalnie służyć jako zaplecze logistyczne na potrzeby prowadzenia operacji antypirackiej u wybrzeży Somalii. Niemniej jednak chińskie przedsiębiorstwa państwowe zawarły porozumienia w ponad 30 krajach na dzierżawę portów morskich. Tę aktywność można tłumaczyć działalnością komercyjną, ale pojawia się podejrzenie, że jest to element strategii państwa.

Oprócz bazy w Dżibuti – która jest za mała i zbyt daleko położona, aby odegrać jakąkolwiek rolę w potencjalnej wojnie, w domyśle z USA – Chiny mają do dyspozycji jedynie porty morskie dzierżawione przez podmioty komercyjne oraz bazy budowane na sztucznych wyspach Morza Południowochińskiego. W tym kontekście trzeba zaznaczyć, że w dyskursie publicznym pojawiają się dwa pojęcia: baza morska i port, którego operatorem jest obcy podmiot, w tym wypadku pochodzący z ChRL. Nie chodzi tylko o kwestie semantyczne, lecz także wymiar praktyczny oraz prawno-międzynarodowy, który determinuje możliwość użycia ich na wypadek konfliktu zbrojnego.

Konwencja Organizacji Narodów Zjednoczonych o prawie morza z 1982 roku nie zwalnia państwa wydzierżawiającego komuś port z odpowiedzialności za działania w nim prowadzone. Oznacza to, że na wszelkie operacje w czasie wojny trzeba mieć zgodę lokalnych rządów, co zmusiłoby je do opowiedzenia po jednej ze stron konfliktu. Nie wydaje się, że którykolwiek podjął takie ryzyko, dlatego też użyteczność takich obiektów jest niewielka lub żadna. Problem ten nie dotyczy co prawda instalacji na sztucznych wyspach, ale doświadczenia II wojny światowej – na przykład naloty amerykańskie w 1945 roku, które zmusiły Japończyków do porzucenia baz na Wyspach Paracelskich i Spratly – wskazują na ich ograniczoną użyteczność. Również przy dzisiejszych technologiach wojskowych możliwość długotrwałej obrony małych wysp (największa pozostająca pod kontrolą ChRL, Mischief Reef, ma około 5,5 km²) wydaje się iluzoryczna. Skoro użyteczność położonych na małych wyspach baz lub dzierżawionych portów w czasie konfliktu zbrojnego jest tak ograniczona, dlaczego z takim uporem Pekin stara się je pozyskać?

POŁAWIACZE STRATEGICZNYCH PEREŁ

W 2005 roku think tank Booz Allen Hamilton wysunął hipotezę dotyczącą chińskiej strategii budowy łańcucha baz morskich w regionie Indo-Pacyfiku, tzw. sznura pereł. Zakłada ona, że ChRL będzie dążyć do rozbudowy obecności wojskowej w regionie przez stworzenie sieci cywilnych portów morskich, ale z możliwością wykorzystania ich na po-

PEKIN OBAWIA SIĘ ZABLOKOWANIA PRZEZ USA MORSKICH SZLAKÓW HANDLOWYCH ORAZ WPŁYWU POLITYKI GOSPODARCZEJ NA STRATEGIE

trzeby wojskowe, oraz zagranicznych baz morskich. Celem miałyby być zabezpieczenie szlaków żeglugowych z Afryki i Bliskiego Wschodu, skąd ChRL pozyskuje surowce.

Inna hipoteza mówi o koncepcji oparcia planów strategicznych Pekinu na łańcuchach wysp. Pierwszy obejmuje linię od Kurylów, przez Japonię, Ryukyu, Tajwan, Filipiny i Borneo, do Singapuru. Wewnątrz ma się znajdować strefa bezpieczeństwa, w której Chińczycy chcą osiągnąć dominację

militarną. Drugi tworzą japońska wyspa Ogasawara, Mariany i Wyspy Salomona. Trzeci natomiast miałby się rozciągać od Aleutów, przez Hawaje, do wyspiarskich państw Południowego Pacyfiku. Zgodnie z hipotezą poszczególne łańcuchy wysp mają być kolejnymi etapami ekspansji militarnej Chińskiej Republiki Ludowej.

WOJNA HYBRYDOWA NA MORZU

Determinacja, z jaką Pekin próbuje zdobyć kolejne bazy lub przejąć kontrolę nad portami, wskazuje na to, że nie o czas wojny tutaj chodzi. Są one bowiem bardziej użyteczne w okresie pokoju. Przede wszystkim pozwalają na projekcję siły, co jest ważne nie tylko w relacjach z sąsiadami, lecz także w polityce wewnętrznej, gdyż partia komunistyczna poszukuje legitymizacji swej władzy w nacjonalizmie.

Pekin rozbudowuje także sektor prywatnych firm wojskowych. Teoretycznie są one prowadzone przez byłych wojskowych, ale powszechną tajemnicą jest to, że współdziałają z chińską armią i wywiadem. Wykorzystuje się je też do ochrony inwestycji za granicą, w tym portów morskich, dzięki czemu mogą stać się zapleczem logistycznym jednostek marynarki i tzw. ludowej milicji morskiej, na którą składa się flota kutrów rybackich. Zresztą coraz częściej używa się jej do działań mających znamiona morskiej wojny hybrydowej. Doskonały przykład stanowią wydarzenia ze stycznia 2019 roku, kiedy 300 chińskich kutrów rybackich zaczęło krążyć wokół filipińskiej wysepki Pag-asa (Thitu), odcinając lokalny garnizon. Zresztą te łódzie regularnie naruszają także wody terytorialne lub prowadzą nielegalną działalność w wyłącznych strefach ekonomicznych Japonii, Wietnamu, Indonezji czy Filipin. Zazwyczaj są z dystansu asekurowane przez okręty marynarki ALW, gotowe do ingerencji w obronie „cywilnych” jednostek chińskich.

Co zatem skłania Pekin do budowy kolejnych sztucznych wysp i dzierżawienia portów morskich? Wydaje się, że właśnie potrzeby związane z prowadzeniem hybrydowej wojny morskiej. W ten sposób Chiny chcą zwiększyć wpływy polityczne, gospodarcze i wojskowe w regionie Indo-Pacyfiku, aby ostatecznie wyprzeć z regionu Amerykanów. ■

Dr MICHAŁ BOGUSZ jest analitykiem ds. polityki zagranicznej Chin w Ośrodku Studiów Wschodnich.

Przeciąganie liny



TRZY PYTANIA DO

*Jędrzeja
Czerepa*

Koalicja sudańskich ugrupowań opozycyjnych i sprawująca władzę Tymczasowa Rada Wojskowa podpisały porozumienie w sprawie podziału władzy. Czy to nowy początek?

Kompetencje Rady Suwerennej, formalnie najwyższego organu w państwie, do której wejdą też najważniejsi wojskowi, są bardzo ograniczone. Centrum władzy będzie stanowił rząd, złożony z ekspertów wskazanych przez obywatelską opozycję. W tym sensie to przełom. Rozczarowaniem jest wybór premiera, którym zostanie uznany ekonomista Abdalla Hamdok, od lat zasiadający w międzynarodowych instytucjach i z dala od sudańskiej polityki. Kolejne trzy lata zapowiadają przeciąganie liny między cywilnymi a wojskowymi władzami i ich zagranicznymi patronami. Formuła wspólnych rządów cywilno-wojskowych jest dziś najlepszym rozwiązaniem. Dobry był pomysł niespieszenia się z wyborami, żeby dać czas na odbudowę życia politycznego po 30 latach dyktatury byłego prezydenta Umara al-Baszira. Na pewno nie umilkną ulice. Część demonstrantów uzna, że rewolucja nie została doprowadzona do końca, inni będą patrzeć na ręce nowej władzy. Miliony są gotowe walczyć dalej o poszerzanie wolności.

Jakie widzi pan zagrożenia, jeśli chodzi o to porozumienie?

Największym zagrożeniem są dalsze wpływy bojówek, tzw. sił szybkiego reagowania – RSF, czyli dawnych dżandawidów, sprawców ludobójstwa w Darfurze, których tysiące walczy dla Saudów w Jemenie. Wyrosły one na największą siłę w kraju, ważniejszą niż armia, a ich lider Mohamed „Hemetti” Dagalo ma ogromne ambicje i instynkt polityczny. Choć część jego sił wycofano z Chartumu – 4 tys. mają zasilić armię Haftara w Libii – to nadal miasta Sudanu są pod ich „okupacją”. Przyciągają nowych ochotników pieniędzmi i wizją zemsty prowincji na centrum, stając się nie tylko zagrożeniem dla przemian w kraju, ale i destabilizatorem całego regionu. Trudno być pewnym ustaleń, kiedy jedna ze stron ma w ręku karabin. Niedawno przy okazji próby puczu członków „starego reżimu” armię oczyszczono z przeciwników RSF. Inne zagrożenie płynie ze strony przywódców

ruchów wyzwoleniczych, z którymi nowy rząd ma zawrzeć pokój, by zakończyć lokalne wojny domowe rozpętane przez al-Baszira. Często bardziej zależy im na posadach w rządzie niż na pokoju.

Jakie znaczenie może mieć stabilizacja Sudanu dla całego niespokojnego regionu – od Rogu Afryki po rozdartą walkami wewnętrznymi Libię?

Po upadku Muammara Kaddafiego Sudańczycy toczą własne wojny na terenie Libii, zasilając wszystkie ugrupowania rebelianckie i prorządowe, często jako najemnicy, poszukiwacze złota lub zwyczajni bandyci. Ostatnio prawie wszyscy pomagają Haftarowi i to się raczej nie zmieni – dobrze płaci, bo ma pieniądze z Emiratów, a także gwarantuje osłabienie Bractwa Muzułmańskiego w Libii. To wszystkim odpowiada, bo ewentualny rząd Bractwa w Libii mógłby wskrzesić islamistów al-Baszira w Sudanie. Paradoksalnie w Libii większą czkawką odbija się stabilizacja Sudanu, która przyniosłaby osłabienie RSF. Nie mając pola działania w Sudanie, „Hemetti” przerzuci więcej najemników do Libii.

Sudan z pewnością odchodzi od modelu państwa religijnego, a islamiści tracą zaplecze, co dla regionu jest dobrą informacją. Odegrał on dużą rolę w procesie zaprowadzania pokoju w Sudanie Południowym. Dziś to właśnie Dżuba, bojąc się o przyszłość, próbuje mediuować między frakcjami w Chartumie.

Na pewno też wolnościowa rewolucja sudańska jest częścią szerszego trendu w regionie: często patrzy się na nią jak na kolejną odsłonę Arabskiej Wiosny, ale to bardziej rozwinięcie antyautorytarnego ruchu w Etiopii. Tam od roku trwa liberalizacja, która już przyniosła niepożądane skutki uboczne w postaci napięć etnicznych. Oprócz tego Sudan i sąsiedni Czad tworzą system naczyń połączonych – to co dzieje się w Sudanie, może przelać się przez granicę. ■

JĘDRZEJ CZEREPA jest analitykiem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Rozmawiała Małgorzata Schwarzgruber.

ROSJA

WSPÓLNE PORTY

Rosja i Wenezuela podpisały umowę o współpracy wojskowej.

Ministrowie obrony Rosji oraz Wenezueli, Siergiej Szojgu i Vladimir Padrino Lopez, podpisali 15 sierpnia w Moskwie porozumienie wojskowe dotyczące m.in. możliwości korzystania z portów w tych krajach przez okręty wojenne obu stron. Podczas wizyty wenezuelskiej delegacji omawiano również inne aspekty dotyczące współpracy wojskowej i wojskowo-technicznej, jednak szczegóły tych rozmów nie są znane. Zacieśnienie wojskowych relacji Rosji z Wenezuelą jest związane z coraz większą presją wywieraną przez Stany Zjednoczone na rząd prezydenta Nicolása Maduro.

„Uważnie śledzimy wydarzenia w Wenezueli. Zdajemy sobie sprawę z bezprecedensowych działań Waszyngtonu, ukierunkowanych na destabilizację sytuacji w waszym kraju. Wspieramy starania kierownictwa republiki na rzecz realizowania niezależnej polityki zagranicznej i przeciwdziałania próbom zmiany legalnej władzy podejmowanym przez USA”, powiedział Szojgu podczas spotkania z wenezuelską delegacją.

Moskiewskie spotkanie miało związek z trwającymi w Rosji międzynarodowymi zawodami wojskowymi ArMI-2019, w których wzięli udział również żołnierze z Wenezueli. W konkursie „Mistrzowie techniki pancernej” załoga tego kraju zajęła trzecie miejsce. ■

UKRAINA

Ukraińcy i Turcy planują budowę dużego drona bojowego. Państwowa firma Ukrspektsport oraz tureckie przedsiębiorstwo Baykar Defence podjęły się wspólnego opracowania bojowego bezzałogowca o nazwie Akinci.



MACEDONIA

W związku z odkryciem w sąsiedniej Bułgarii ogniska afrykańskiego pomoru świń w prewencyjnym odstrzale dzików zapowiedziano udział macedońskiego wojska, głównie na terenach przygranicznych.



SERBIA

NOWOŚCI W SERBSKIEJ ARMII

Rosjanie przekażą Serbom śmigłowce bojowe i transportowe.

W pierwszym kwartale 2020 roku serbskie lotnictwo wojskowe otrzyma od Rosji cztery nowe śmigłowce szturmowe Mi-35M oraz trzy transportowe Mi-17. Ogłosił to w sierpniu minister obrony narodowej Serbii Aleksandar Vulin.

„Już docierają do nas zamówione śmigłowce HA-145 produkowane we francusko-niemieckiej współpracy. We Francji zamówiliśmy też rakiety Mistral, dużo broni otrzymujemy również od Federacji Rosyjskiej. To właśnie jest neutralność wojskowa: sami możemy wybierać, sami decydować, a potem dostawać to, co jest najbardziej potrzebne naszej armii”, mówił minister Vulin.

Serbscy mechanicy i piloci, którzy mają latać na nowych maszynach Mi-35, już rozpoczęli półroczne szkolenie. ■

INDIE

Kontrowersyjne decyzje Modiego

Władze Indii zmieniają status Kaszmiru.

Rząd Indii podjął decyzję o zmianach administracyjnych terytorium związkowego Dżammu i Kaszmiru. Dotychczas był to obszar o specjalnym statusie, posiadający własną konstytucję oraz autonomię admini-

stracyjną. W sierpniu z inspiracji premiera Narendry Modiego status ten został przez parlament indyjski zniesiony. Zaaprobowano również zmiany przewidujące podział obszaru na mniejsze



jednostki o nazwie Dżammu i Kaszmir (zamieszkane głównie przez muzułmanów i hinduistów) oraz Ladakh (zdominowana przez buddystów). Władze indyjskie wprowadziły blokadę regionu: zawieszono usługi telefoniczne, zablokowano internet, rozlokowano wojsko i wprowadzono godzinę policyjną.

Ponieważ Kaszmir jest oficjalnie uznanym przez ONZ terytorium spornym między Indiami a Pakistanem, Paki- stańcy złożyli protest wo-



TURCJA

KOLEJNY SZCZYT

Na wrzesień zaplanowano trójsstronne spotkanie poświęcone przyszłości Syrii.

Rzecznik tureckiej głowy państwa İbrahim Kalın poinformował, że na połowę września zaplanowano w Ankarze szczyt, w którym wezmą udział prezydenci Turcji, Rosji i Iranu – Recep Tayyip Erdoğan, Władimir Putin

oraz Hasan Rouhani. Główne tematy rozmów to przyszłość Syrii, przede wszystkim problem uregulowania sytuacji wewnętrznej w tym kraju, a także kwestie humanitarne. Pierwszy trójsstronny szczyt z udziałem Turcji, Rosji

i Iranu odbył się w Soczi w listopadzie 2017 roku. Później prezydenci tych trzech państw spotykali się co sześć miesięcy – w Ankarze (w kwietniu 2018), Teheranie (we wrześniu 2018) i Soczi (w lutym 2019). ■

bec jednostronnych działań władz indyjskich. „Rozmowy z Indiami nie mają żadnego sensu. Niestety dostrzegam, że wszystkie moje wysiłki podejmowane w przeszłości na rzecz pokoju i dialogu oni wzięli za ustępstwa”, powiedział w wywiadzie dla „New York Timesa” premier Pakistanu Imran Khan.

W związku ze wzrostem napięcia w regionie komentatorzy obawiają się, że groźba wojny między Indiami a Pakistanem jest coraz bardziej realna. ■

BURKINA FASO

Tragiczny bilans

Islamiści kolejny raz starli się z wojskami państw zachodniej Afryki.

W ataku na obóz wojsk armii Burkiny Faso, przeprowadzonym 19 sierpnia rano w miejscowości Koutougou na północy kraju, niedaleko granicy z Mali (północno-zachodnia Afryka), zginęło 24 burkińskich żołnierzy, siedmiu odniosło rany, pięciu zaś uważa się za zaginionych.

Do jego przeprowadzenia nie przyznała się dotychczas żadna organizacja, na tym obszarze działają jednak islamistyczne grupy Nusrat al-Islam, Ansarul Islam oraz lokalna gałąź IS, tj. Państwo Islamskie Wielkiej Sahary.

W regionie Sahelu do podobnych ataków dochodzi

w ostatnich miesiącach coraz częściej, jednak w samej Burkinie był to największy zamach na armię tego kraju. W maju w przeprowadzonym przez dżihadystów ataku na katolicki kościół w Dabło zginęło sześć osób.

„19 sierpnia to dramatyczny dzień w historii naszej armii, ponieważ po raz pierwszy mamy tak dużą liczbę ofiar. To tragiczny bilans, a dla nas prawdziwe wyzwanie”, napisał prezydent Burkiny Faso Roch Marc Christian Kaboré. ■

HISTORIA

/ ROZMOWA

NIGDY NIE ZDRADZIŁEM SŁÓW PRZYSIĘGI

*Ze Stanisławem Leśką
o trudnej służbie w dywersji i kulisach
operacji „Kośba”, polegającej na likwidacji
szczególnie brutalnych gestapowców
i konfidentów, rozmawia Piotr Korczyński.*



W

czasie wojny zajmował się pan dywersją. Jak trafił pan do konspiracji?

Moja droga do konspiracji zaczęła się jeszcze przed wojną, w gimnazjum. Dzieciństwo miałem smutne, zdeterminowane śmiercią matki. Mimo wielu trudności zdałem jednak egzamin do gimnazjum kupieckiego.

Tam w drugiej klasie języka polskiego uczył nas Zbigniew Nawara-Nowosad. To był artysta z Teatru na Pohulance w Wilnie i on wpajał nam patriotyzm, wykorzystując do tego sztuki teatralne. Niebagatelną rolę w moim wychowaniu obywatelskim odegrało też harcerstwo. W 1939 roku wyruszyłem z rodzinnej Przybyszówki pod Rzeszowem na wschód, bo myślałem, że tam uda mi się wstąpić do wojska i wziąć udział w obronie Polski. Dotarłem do Lwowa na trzy dni przed końcem jego oblężenia. Byłem świadkiem zajmowania miasta przez Armię Czerwoną. Widziałem, jak sowieckie czołgi wjeżdżały na ulicę Gródecką. Gąsienice nie były przystosowane do jazdy po wybrukowanych ulicach i się ślizgały. Wtedy na pomoc tankistom przyszła ludność żydowska – budowała im z desek kładki, po których mogli przejechać do centrum miasta. Wówczas też pierwszy raz doświadczyłem władzy sowieckiej, ale na szczęście krótko, bo udało mi się wydostać ze Lwowa i wrócić do domu.



Harcerski krzyż, z którym Stanisław Leśko nigdy się w czasie wojny nie rozstawał.

Kiedy wstąpił pan do podziemnej organizacji?

W Związku Walki Zbrojnej zostałem zaprzysiężony albo w styczniu, albo w lutym 1940 roku. W tym okresie nasza konspiracja nie przejawiała większej aktywności. To zmieniło się, dopiero gdy w czerwcu 1941 roku skończyła się miłość między Hitlerem a Stalinem i Wehrmacht uderzył na Związek Sowiecki. Wtedy też znalazłem się w oddziale bojowym ZWZ, a następnie oddziale dywersyjnym rzeszowskiego obwodu Armii Krajowej. Jednocześnie musiałem mieć oficjalną pracę. Najpierw byłem zatrudniony w sklepie, w którym mieściła się konspiracyjna skrzynka kontaktowa. Przyjeżdżali do mnie ludzie z całego

obwodu, żeby zostawić lub odebrać meldunki i rozkazy. Następnie pracowałem na kolei. Przez pierwsze pół roku układałem tory, a potem zapisałem się do szkoły zawodowej, w której jednocześnie przyuczano do zawodu ślusarza i pomocnika maszynisty. Na kolei miałem już więcej pola do działania w konspiracji – zaczęły się sabotaż i dywersja. Polegało to przede wszystkim na wysypywaniu opiłków metalu do układów smarowniczych lokomotyw, co unieruchamiało wojskowe transporty na wiele godzin. Z tychże transportów staraliśmy się też przejmować broń i amunicję. Zaczęły się również akcje bojowe.

Latem 1944 roku wziął pan udział w głośnej akcji AK o kryptonimie „Kośba”. Jej celem była likwidacja szczególnie okrutnych gestapowców i niebezpiecznych konfidentów na terenie Rzeszowa.

Opowiem panu o tej akcji z mojego punktu widzenia, czyli dość wąskiej perspektywy, bo podstawą konspiracji jest zasada, że wiesz tylko to, co masz bezpośrednio zrobić, a im mniej znasz ludzi, tym lepiej. Mieszkalem na granicy dwóch wsi i nie wiedziałem nic o komórce konspiracyjnej funkcjonującej w jednej z nich. Ci, którzy zdają teraz obszerne relacje z działalności AK, najwyraźniej doczytali o niej po wojnie... Wracając do „Kośby”, to mogę opisać panu pewną akcję. Na ulicy Batorego w Rzeszowie bojówka AK z Krasnego urządziła zasadzkę na dwóch gestapowców. Obaj wraz z ukraińskim kierowcą zginęli od kul chłopaków. Ci jednak, zamiast uciekać w umówionym kierunku, pobiegli w sam środek miasta. W tym czasie my mieliśmy zlikwidować innego gestapowca, ale miasto zaroiło się od policji i naszą akcję odwołano. Akowcy z Krasnego uciekali zaś przez Śródmieście, w kierunku dworca kolejowego. Jeden z nich się odłączył i pobiegł wzdłuż linii kolejowej prowadzącej do Jasła. W pewnym momencie przeskoczył przez wysoki płot i schował się w jednym ze stojących tam baraków. Tę kryjówkę zdradził Niemcom chłopak, który chodził do tej samej szkoły powszechnej co ja. On pracował w niemieckim warsztacie samochodowym. Po tej zdradzie otrzymałem rozkaz rozpoznania jego miejsca zamieszkania. Dziś myślę, że



WIZYTÓWKA

STANISŁAW LEŚKO
„ŚCIBOR”, „LELEK”

Żołnierz Oddziału Dywersyjnego rzeszowskiej Armii Krajowej, a następnie organizacji Nie, Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj i Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. ■



Jako żołnierz oddziału
dywersyjnego rzeszowskiej AK

to było niezbyt rozsądne, bo przecież obaj dobrze się znaliśmy... Dostałem też rozkaz wskazania tego chłopaka egzekutorom, których następnie musiałem ubezpieczać. Wykonawcami wyroku byli Kazimierz Dziekoński „Orlik”, nasz dowódca, i Wiktor Błażycki, mój gimnazjalny kolega. Obaj podjechali do konfidenta na rowerach i go zastrzelili.

Po zajęciu Rzeszowa przez Sowieców w sierpniu 1944 roku pan pozostał w konspiracji. Co o tym zdecydowało?

Można to w bardzo prosty sposób wytłumaczyć arytmetyką. Przed wojną w Rzeszowie było jedno więzienie. Za Niemców były dwa, a Sowieci zorganizowali od razu trzy! Ja się tylko dziwiłem, po co my w ogóle się ujawniamy i bierzemy udział w tej akcji „Burza”, jeśli nasi „sojusznicy” od razu nas rozbrajają, aresztują lub mordują. Ja nigdy się nie ujawniłem i nigdy nie zdradziłem słów przysięgi!

W marcu 1945 roku wziął pan udział w kolejnej głośnej akcji, mianowicie odbicia ze szpitala w Rzeszowie jednego z legendarnych dowódców AK.

Mjr Dragan Sotirovič przyszedł na Rzeszowszczyznę z całym swym oddziałem z Kresów. Pamiętam, że jak jechałem nawiązać z nimi kontakt, to mieszkańcy wsi, w których rozlokowano tych żołnierzy, byli wręcz przerażeni. Bali się, że zostaną za to spacyfikowani przez Sowieców. Akcja wyciągnięcia Sotirovicza była brawurowa, nieplanowana. Do mnie przyszedł tylko łącznik z rozkazem, że mam wziąć długą

broń i stawić się w umówionym miejscu. Na szczęście było zimno i byłem w płaszczu, pod którym mogłem ją schować. Miałem stena bez kolby, z polskim orzełkiem przyspawanym do lufy. Moim zadaniem było ubezpieczanie akcji i otwarcie ognia, gdyby do szpitala zbliżał się samochód z ubowcami lub enkawudzystami. Stałem jakieś 100 m od budynku i na tym moja rola w tej akcji się skończyła, bo zanim ktokolwiek zdążył przyjechać pod szpital, Serb był już wolny.

Później dopiero się dowiedziałem, że Sotirovič kwatrował w klasztorze w Borku Starym. Pewnego dnia przyszli Sowieci. Major chciał uciec przed nimi, wyskoczył przez okno i złamał nogę. Z tą kontuzją przywiózł go do szpitala w Rzeszowie saniami jakiś chłop w obstawie NKWD. Od „Orlika” dowiedziałem się tylko, że mamy jakiegoś wywiadowcę w UB, który nas o tym poinformował.

I tutaj mała dygresja – ja nigdy nie zadawałem zbyt dużo pytań ani nigdy z nikim nie rozmawiałem o mojej przynależności do AK czy WiN-u, nawet z żoną. I dlatego żyję.

Uwolnienie Sotirovicza to niejedyna pana akcja?

To prawda, ale wszystkie te akcje można spiąć jedną dewizą – im ciszej, im szybciej, tym lepiej, bez żadnych fajerwer-



ków. Fajerwerki oznaczały kłopoty i że coś poszło nie tak. I o każdej udanej naszej akcji to ja opowiem panu krótko zdaniem, które wypowiedział Juliusz Cezar: „Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem”, i cześć! W maju 1945 roku zginął z rąk komunistów Wiktor Błażycki. Wydał go jeden z mieszkańców Rudnej. Razem z „Orlikiem” pojechałem więc zlikwidować tegoż konfidenta. Dopadliśmy go w łanie żyta, które już wtedy sięgało nam do kolan. Strzelał „Orlik”, bo miał długą broń, ja ubezpieczałem go z pistoletem. Jak było po wszystkim, wsiedliśmy na rowery i wróciliśmy do domu. I tyle.

Inna akcja z tego okresu podobna była do tej ze Sotirovichem. Tym razem ze szpitalnej sali pilnowanej przez dwóch ubowców mieliśmy wyciągnąć pplk. Józefa Maciołka, komendanta Inspektoratu AK Przemyśl. Do tego szpitala weszliśmy w trzech: „Orlik”, kolega, którego nazwiska nie pamiętam, i ja, jako ubezpieczający akcję. Moi współtowarzysze sterroryzowali ubowców, rozbroili ich i związanych wpełnęli pod łóżko. Następnie wyprowadziliśmy pułkownika i szybko rozplynęliśmy się w tłumie, co było tym łatwiejsze, że był to dzień targowy. Maciołek później przedostał się do Anglii i był zatrudniony w Muzeum im. gen. Sikorskiego. On właśnie wypisywał mi tam dokumenty potwierdzające moją służbę w AK.

Trzecią głośną akcją, w której wziął pan udział, była likwidacja wyjątkowo okrutnego śledczego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

To było już pod koniec listopada 1945 roku. Planując nasze akcje, myśmy się spotykali na cmentarzu przyległym do targowiska, jakieś 300 m od szpitala. Przed egzekucją tego oficera UB byliśmy tam kilka razy, bo pierwsza próba zamachu została odwołana. Jeden z wyznaczonych do niej ludzi się wycofał. „Orlik” rozważał nawet, czy go za to nie rozstrzelać. Ostatecznie na akcję poszliśmy w czterech. Ja razem z kolegą otrzymałem zadanie rozbrojenia strażnika pilnującego budynku, w którym przebywał ubowiec. Pozostali dwaj mieli wykonać wyrok. Nam zadanie poszło gładko, strażnik bez oporu oddał swoją pepeszę, a nadto czapkę i płaszcz. To było istotne, bo właściwie nie mieliśmy wtedy planu, jak się wycofać. A w tej sytuacji kolegę przebrałem w płaszcz i rogatywkę, i z pepeszą na ramieniu pomaszerowaliśmy do domu. Cicho i niezauważenie wykonaliśmy zadanie. Rozgłos był i jest wrogiem każdej konspiracji i działań specjalnych. Wówczas w naszym WiN-owskim oddziale było nas ośmiu ludzi, z których ja znałem tylko czterech. Tamci prawdopodobnie do żadnych akcji nie byli wzywani.

Jesienią 1946 roku aresztowano pana dowódcę, a pan w obawie przed dekonspiracją wyjechał do Szczecina.

W tym czasie chciałem dokończyć edukację i zdać maturę, nawet uczęszczałem do prywatnego studium przygotowującego do tego egzaminu, ale kolidowało to z działalnością konspiracyjną. Mój dowódca Kazimierz Dziekoński ciągle mnie gdzieś posyłał z bibułą lub meldunkami. „Orlik” przed

WSZYSTKIE MOJE AKCJE MOŻNA SPIĄĆ JEDNĄ DEWIZĄ – IM CISZEJ, IM SZYBCIEJ, TYM LEPIEJ, BEZ ŻADNYCH FAJERWERKÓW

aresztowaniem przekazał mi adres człowieka, na którego pomoc mógłbym liczyć w razie jego wpadki. To była kawiarnia albo na ulicy 3 Maja, albo na Zamkowej, tego już nie pamiętam. Wiem, że jej właściciel nazywał się Kocur. Kiedy jednak tam przyszedłem, pan Kocur był przerażony. Wiedziałem, że od niego pomocy nie uzyskam. Nie miałem żadnych innych kontaktów, pozostało więc tylko jedno – wyjechać. Pojechałem do Szczecina.

Tutaj ostatni raz spotkałem się z moim dowódcą. Okazało się, że mimo okrutnego śledztwa UB go nie rozpoznało i dzięki konspiracyjnym kontaktom WiN-u z pracownikami rzeszowskiego sądu został skazany tylko na półtora roku więzienia. Po wyjściu na wolność przyjechał do Szczecina i zamieszkał przy alei Bohaterów Warszawy. Ja wtedy zacząłem pracę w banku i przez trzy tygodnie uczyłem go podstaw ekonomii. Widocznie przygotowywał się do życia w cywilu. Pamiętam, że miał przy sobie sporo gotówki, a zapamiętałem to tym bardziej, że mimo posady w banku jadłem wtedy tylko jeden posiłek dziennie... Dziekońskiemu w końcu udało się uciec do Anglii.

W Szczecinie poznałem hrabiego Zygmunta Chłapowskiego, który wcześniej działał w rzeszowskiej AK. On mi dużo pomógł i był świadkiem na moim ślubie – w grudniu 1948 roku ożeniłem się ze Ślązaczką, Eleonorą z domu Grzesiczek. Niestety, hrabia tragicznie zginął. Pracował jako tłumacz w brytyjskiej lub francuskiej misji wojskowej. Na początku 1949 roku został aresztowany przez UB. Przy próbie ucieczki wyskoczył z okna, ale tak feralnie, że nabił się na pręty ogrodzenia. Po tej tragedii postanowiliśmy z żoną wyjechać w jej rodzinne strony. Ostatecznie w 1954 roku przenieśliśmy się do Rybnika.

Na koniec powiem tak: mówi się, że II wojna światowa trwała sześć lat. A dla mnie ona trwała kilkadziesiąt lat! Żołnierz na froncie albo padnie, albo zostanie ranny i trafi do szpitala, albo wróci do domu jako bohater, a ja i inni żołnierze podziemia byliśmy tego przez lata pozbawieni. Nie mieliśmy nic. W tym sensie rzeczywiście byliśmy wyklęci. ■



PRODUCENT MEDALI I MONET OKOLICZNOŚCIOWYCH

Współpracuj z najlepszymi

Tryumf sp. z o.o. jest firmą z blisko 30-letnim doświadczeniem o ugruntowanej pozycji na rynku. W bogatej ofercie firmy znajdują się trofea sportowe, biznesowe i okolicznościowe. Produkty firmy Tryumf doskonale łączą w sobie precyzję wykonania z walorami estetycznymi.

- Wsluchając się w wytyczne klientów, stawiamy sobie za cel dostarczenie wzorów, które spełnią, a nawet przekroczą oczekiwania zamawiających. Dostarczamy trofea m.in. instytucjom państwowym, klubom sportowym, jednostkom samorządu terytorialnego oraz przedsiębiorstwom – mówi prezes firmy Paweł Piotrowski.

Firma Tryumf, jako lider sprzedaży trofeów realizuje między innymi, liczne zamówienia na potrzeby służb mundurowych tworząc **monety, medale, ryngrafy, pinsy** i różnego rodzaju odznaczenia. Podsumowując rok 2018, firma wykonała ponad 700 tysięcy medali, monet i innych odznaczeń. Zaufali jej m.in. Oddział Zabezpieczenia JFTC, Żandarmeria Wojskowa, Inspektorat Uzbrojenia, KRS Formoza, Centralne Biuro Śledcze Policji, Ministerstwo Obrony Narodowej oraz inne jednostki wojskowe.

W ofercie firmy znajdują się również puchary, statuetki oraz dyplomy uznania za wzorową postawę, zasługi lub awans, a na zamówienie klienta przygotowywane są unikatowe medale personalizowane podkreślające wyjątkowy charakter imprezy.



TRYUMF™

ul. Wł. Grabskiego 8
37-450 Stalowa Wola
medale@tryumf.com
www.medal.tryumf.com





Znaczek pocztowy z 1944 roku, na którym jest Borys III (zmarł w 1943 roku) – ostatni car Bułgarii z dynastii Koburgów. W polityce zagranicznej reprezentował on orientację proniemiecką. Komuniści przejęli w Bułgarii władzę 9 września 1944 roku i niemal natychmiast przystąpili do rozprawienia się z „wrogami klasowymi”.

Ostatnia bitwa leśnych ludzi

We wrześniu 1944 roku władzę w Bułgarii przejęli komuniści, rozpoczynając krwawą rozprawę z dotychczasowym systemem politycznym. Reakcją Bułgarów był szeroki ruch antykomunistycznego oporu.

ROBERT SENDEK

Ściągali z całej okolicy, pchani gniewem i niezgodą na to, co działo się w kraju. Wstępowali do oddziału, gotowi do obrony tego, co uważali za święte. Nie mieli nic do stracenia. Komuniści z opornymi nie dyskutowali, możliwości były dwie: albo bezwzględnie popierasz to, co robi władza, albo cię nie ma. Każdego, kto ośmielił się podać w wątpliwość porządku zaprowadzane przez partię komunistyczną, czekał smutny los: utrata pracy i szykany, często również wieloletni pobyt w obozie pracy przymusowej. Oporni mogli spodziewać się procesów i kary śmierci. Niektórzy zresztą procesów nie doczekali, zastrzelono ich tak po prostu, bez wyroków, i pochowano w bezimiennych grobach.

Oddział liczył 106 osób. Dowódcą został Georgi Tyrpanow, były żołnierz armii carskiej. Okazał się dobrym organizatorem, potrafił zgromadzić u swego boku ludzi gotowych na wszystko, zdecydowanie niezgadających się na terror, bezwzględność i butę komunistów. Pod jego wodzą setka ochotników udała się w jedyne miejsce, które dawało schronienie ludziom takim jak oni: w góry. Zamierzali walczyć, licząc na wybuch ogólnonarodowego powstania, które doprowadzi do uwolnienia kraju od władzy komunistów.

Tymczasem na buntowników, ukrytych w górach w okolicach miasta Sliwen we wschodniej Bułgarii, ruszyła oblawa. Komuniści zebrali liczącą niemal 13 tys. ekspedycję karną, złożoną z wojskowych, milicjantów i funkcjonariuszy bezpieczeństwa. „Akurat sformowaliśmy oddział, prawdziwy, narodowy, prosto z ludu, nie z carskiego rozkazu, tylko z potrzeby, by się bronić – i właśnie wtedy nas zaatakowali”, wspominał później Jordan Czuszew, jeden z członków oddziału Tyrpanowa. Widząc zbliżające się zagrożenie, Tyrpanow polecił sformować mniejsze, kilkusobowe drużyny, którym byłoby łatwiej przebić się na wolność. Ten pochmurny dzień – 1 czerwca 1951 roku – otwierał wielką bitwę komunistycznej armii z oddziałem buntowni-

ków. Ktoś zaintonował starą pieśń – śpiewaną jeszcze przez pradziadków w czasach panowania tureckiego – o tym, że pod każdym drzewem stoi koń, a pod każdą gruszą zakopany jest karabin, czekający na odważnego i zdecydowanego chłopca.

DROGA FAŁSZU I TERRORU

Węgry mieli swoje powstanie w 1956 roku, Czesi Praską Wiosnę 1968 roku, Polacy zaś rok 1981 i Solidarność. A Bułgarzy? Bułgaria chyba nikomu w Polsce nie kojarzy się z ruchem antykomunistycznym. To wcale nie znaczy, że takiego nie było: bułgarscy komuniści praktycznie zatarli ślady wszystkich antykomunistycznych grup, jakie w tym kraju masowo powstawały w latach czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych. Zrobili to tak skutecznie, że nie wiedzą o nich nawet sami Bułgarzy. Dopiero w ostatnich latach historycy zaczęli przywracać pamięć o masowym antykomunistycznym ruchu zbrojnym, który w Bułgarii rozwinął się po zakończeniu II wojny światowej.

Komuniści przejęli w Bułgarii władzę 9 września 1944 roku w wyniku zamachu stanu. Niemal natychmiast przystąpili do budowy nowego ładu. Głównym jego architektem był Georgi Dymitrow, jeden z najbliższych współpracowników Stalina, działający na Kremlu od lat trzydziestych. Znając stalinowską rzeczywistość i stalinowskie metody rządów, Dymitrow prznosił do Bułgarii również wszystkie stalinowskie rozwiązania ustrojowe. W pierwszej kolejności chodziło o rozprawienie się z „wrogami klasowymi” oraz poprzednim systemem, uznanym – ze względu na sojusz z hitlerowskimi Niemcami – za faszystowski.

Zaczął się bardzo brutalnie: na ostatnie tygodnie 1944 roku przypadł czas bezkarnych zbrodni, jakich w całej Bułgarii dopuszczały się głównie oddziały komunistycznej partyzantki, choć z chaosu korzystali również karierowicze →

i zwykli przestępcy. Ocenia się, że w tym czasie w wyniku samowoli, bezprawia i doraźnych sądów zginęło lub zniknęło bez śladu w całym kraju 20–40 tys. osób, głównie powiązanych z poprzednią władzą: urzędników, policjantów, żołnierzy itp. Fala przemocy zaczęła opadać dopiero po 20 grudnia 1944 roku, kiedy ukonstytuowały się trybunały ludowe. To jednak nie zmieniło ogólnej atmosfery w kraju: komuniści przykrywali bowiem zbrodnie jedynie pozorem legalności. Przed trybunałami postawiono całą ówczesną elitę polityczną kraju, członków carskiej rodziny, premierów kilku kolejnych rządów, ministrów oraz deputowanych, zasiadających w bułgarskim parlamencie od początku lat czterdziestych. Wyroki, które wówczas wydawano, były bardzo surowe. Do kwietnia 1945 roku przeprowadzono ponad 130 masowych procesów. Na śmierć skazano 2730 osób, dożywocie zasądzono 1305 osobom, a kilku tysiącom – kary więzienia. Wśród skazanych na śmierć znaleźli się premier Bogdan Filow, 21 ministrów, 67 deputowanych oraz książę regent Cyryl Presławski.

Niemal równolegle, bo w marcu 1945 roku, wprowadzono nowe prawo, dotyczące obrony władzy ludowej. Przewidywało ono bardzo surowe kary – śmierci lub wieloletniego więzienia – za oznaki oporu wobec zarządzeń nowej władzy. Z czasem w wyniku fałszerstw wyborczych, manipulacji i na drodze brutalnej propagandy komuniści przejmowali władzę w coraz większym stopniu, eliminując w sposób bezpardonowy wszystkich przeciwników.

GORIANI IDĄ DO WALKI

Brutalność nowej władzy przeraziła zwykłych Bułgarów. W wielu miejscach w kraju zaczęły samorzutnie powstawać grupy oporu, organizacje niepodległościowe i formacje występujące przeciw komunistom. Początkowo grupy te formuływały postulaty polityczne, próbując podejmować walkę z komunistami w parlamencie. Szybko się jednak okazało, że to ślepa uliczka. Komuniści nie zamierzali ustępować i rozprawili się z opozycją parlamentarną wyjątkowo brutalnie. Lider opozycji, reprezentujący partię chłopską Nikoła Petkow, został oskarżony o przygotowywanie zamachu stanu, osadzony w pokazowym procesie i powieszony we wrześniu 1947 roku. Dodatkowym impulsem, który pchnął ludzi do masowego oporu zbrojnego, była podjęta przez komunistów pod koniec lat czterdziestych decyzja o przymusowej kolektywizacji ziemi. W kraju, gdzie rolnictwo było podstawą gospodarki i gdzie większość mieszkańców utrzymywała się z uprawy roli, wzbudziło to ogromne niezadowolenie i sprzeciw.

Ludzi, którzy decydowali się na podjęcie walki z władzą komunistyczną, nazywano leśnymi (bułg. goriani). Praktycznie w każdej wsi było wielu niezadowolonych z nowych, komunistycznych porządków, nic więc dziwnego, że oddziały zbrojne

SZACUJE SIĘ, ŻE Z PODZIEMIEM ANTYKOMUNISTYCZNYM BYŁO ZWIĄZANYCH OD KILKUDZIESIĘCIU TYSIĘCY DO NAWET 380 TYS. OSÓB

zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu. Dochodziło do ataków na posterunki milicji, szturmowano więzienia i uwalniano osadzonych. W 1948 roku oddział Gerasima Todorowa przejął kontrolę nad znacznym obszarem w południowo-zachodniej Bułgarii, gdzie zakazano działalności władzy ludowej. Ruch antykomunistyczny w Bułgarii wspierało naddające z sąsiedniej Grecji audycje w języku bułgarskim Radio Gorianin. Zresztą sama Grecja dawała buntownikom inspi-

ację do walki: w 1949 roku zakończyła się tam wojna domowa, w której komuniści zostali pokonani, władzę zaś przejęły partie niekomunistyczne, wspierane przez Zachód. Tego samego oczekiwano również w Bułgarii.

Szacuje się, że do różnych oddziałów zbrojnych o profilu antykomunistycznym należało w Bułgarii 5–8 tys. osób. Z podziemiem było ich jednak związanych znacznie więcej – od kilkudziesięciu tysięcy do nawet 380 tys. Słabość bułgarskiego ruchu antykomunistycznego stanowiło jego rozproszenie: setki niewielkich, kilku- lub kilkunastoosobowych grup, których nie łączyło kierownictwo ani wspólny program, nie potrafiły podjąć równorzędnej walki z machiną państwową. Do walki z podziemiem komuniści rzucili bowiem cały stalinowski aparat władzy – wojsko, milicję, bezpiekę – stosując wszelkie możliwe sposoby. Służby najczęściej sięgały po prowokacje lub wprowadzały do oddziałów swoich agentów. Znane są przypadki, gdy komunistyczny agent wyprowadzał „leśnych” wprost pod lufy komunistycznego wojska, które dokonywało jawnej egzekucji. Tak było np. z oddziałem Penczo Breskowskiego, który został rozstrzelany wraz z 14 innymi osobami w październiku 1951 roku we wsi Gabarewo w środkowej Bułgarii.

Z czasem komunistom udało się przełamać zbrojny opór. Ostatnie podziemne grupy zostały zlikwidowane w Bułgarii dopiero w 1956 roku.

Oddział Tyrpanowa – choć otoczony tysiącami żołnierzy – podjął walkę. Operację nadzorował gen. Georgi Kumbiljew, wiceminister w resorcie spraw wewnętrznych. To nie była równa walka, bo taka nie mogła być, jednak „leśni” Tyrpanowa nie zamierzali się poddawać. Potyczka z rozproszonymi partyzantami trwała całe dwa dni. Komuniści zabili około 40 z nich, pozostałym udało się przedrzeć z pierścienia i ukryć. Z pułapki wyrwał się również sam Tyrpanow, ciężko ranny, odniósł bowiem aż 12 ran postrzałowych. Nie ukrywał się długo, został zdradzony i wraz z kilkoma towarzyszami broni wydany komunistom. Proces Tyrpanowa i jego podwładnych odbył się 12 grudnia 1951 roku w Starej Zagorze. Wszystkich skazano na śmierć. Wyrok wykonano jeszcze tego samego dnia.

Pośmiertnie Georgiemu Tyrpanowowi order „Za Zasługi Obywatelskie” przyznał prezydent Rosen Plewneljew. Stało się to 21 grudnia 2016 roku. W uzasadnieniu napisano: „za opór wobec reżimu totalitarnego”. ■

Ni to pies, ni wydra

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Por. Stanisław Pyrek,
ostatni marynarz
z ORP „Gryf”, odszedł
na wieczną wachtę
18 lipca 2019 roku.



ARCH. RODZINY PYRKÓW

„Najpiękniejszy okręt na świecie”

– tak podpisał to zdjęcie jeden z marynarzy
na nim uwiecznionych.

Pewnie od razu podniosą się głosy, że ORP „Gryf” nie był ani najpiękniejszym, ani najnowocześniejszym okrętem świata, który latem 1939 roku – a wtedy wykonano tę fotografię – pogrążał się w odmętach wojny. Jednak dla właściciela zdjęcia, starszego marynarza Stanisława Pyrka, i jego kolegów niewątpliwie tak właśnie było. Zresztą dzięki ich walce z dysponującymi przytłaczającą przewagą na Bałtyku Kriegsmarine i Luftwaffe „Gryf” stał się na pewno jednym z najbardziej doświadczonych okrętów w historii wojen morskich. Przed wybuchem II wojny światowej żartowano, że rzadko

kiedy nazwa tak dobrze oddaje charakter okrętu. Niektórzy dosadnie i wprost mówili: „Ni to pies, ni wydra”. „Gryf” w rodzimej marynarce wojennej miał pełnić trzy funkcje naraz: okrętu minerskiego, kontrtorpedowca, jak wówczas nazywano niszczyciele, i bazy szkoleniowej kadr marynarskich. Te zbyt szerokie, a i sprzeczne koncepcje sprawiły, że osiągi konstrukcyjne i jego uzbrojenie pozostawiały wiele do życzenia.

Najlepiej sprawdzał się jako okręt szkoleniowy, co w pełni okazało się we wrześniu 1939 roku, kiedy jego załoga najpierw wytrwale walczyła z niemiecką nawałą na morzu, a następnie stała się

najbardziej bojową częścią załogi broniącej Helu.

Sam właściciel zdjęcia, Stanisław Pyrek, był dobrym tego przykładem. Góral znad Dunajca po wcieleniu do marynarki wojennej zmienił się w prawdziwego wilka morskiego i twardego żołnierza, który nie mógł pogodzić się z kapitulacją helskiej placówki w październiku 1939 roku.

W niewoli niepokorny, pobity do nieprzytomności przez gestapowców za znokautowanie niemieckiego nadzorca, dzięki najbliższym został zwolniony i wrócił w swe rodzinne strony, gdzie złożył przysięgę w Armii Krajowej. PK ■

UMARŁY DLA ŚWIATA



**Pionier
lotnictwa, jeden
z pierwszych pilotów
wojskowych, inżynier
i wynalazca. Człowiek,
który jako pierwszy
w historii latał samolotem
nad Arktyką.**

TOMASZ OTŁOWSKI

Jan Nagórski – albo inaczej Iwan Josifowicz Nagorski, bo pod takim nazwiskiem przez pierwsze 30 lat życia figurował w oficjalnych dokumentach najpierw carskiej Rosji, potem Kraju Rad – to postać nietuzinkowa pod każdym względem. W Związku Sowieckim uznany za zmarłego, w Polsce zapomniany przez dekady, wiódł skromne życie w warszawskim mieszkaniu. Tymczasem historia jego życia to gotowy scenariusz na film historyczno-przygodowy.

CZŁOWIEK Z AEROKLUBU

Alfons Jan Nagórski przyszedł na świat we Włocławku, w zaborze rosyjskim. Naukę musiał przerwać po szóstej klasie gimnazjum, bo rodzice nie byli w stanie łożyć na edukację syna. Szesnastolatek został wtedy pomocnikiem urzędnika w powiatowym sądzie, a równocześnie starał się o zezwolenie na nauczanie w szkole. Jesienią 1905 roku rozpoczął pracę jako nauczyciel i kierownik małej szkoły w Krośniewicach, niedaleko Włocławka. Kariera pedagoga nie była jednak dla niego szczytem marzeń, zwłaszcza że wiązała się z nieustanną inwigilacją urzędników oświatowych. Chciał podjąć studia na Politechnice Warszawskiej. Niestety, skromna nauczycielska pensja nie dawała na to żadnych szans. Dlatego wstąpił na ochotnika do carskiej armii i złożył podanie o przyjęcie do Szkoły Junkrów Piechoty w Odessie.

Ukończył ją w 1909 roku i jako podporucznik trafił do 23 Wschodnio-Syberyjskiego Pułku Strzelców w Chabarowsku. Tam, na dalekich wschodnich rubieżach imperium, Nagórski przez dwa lata pełnił monotonną służbę garnizonową. Latem 1911 roku udało mu się jednak zdać trudne egzaminy do Morskiej Szkoły Inżynierskiej w Kronsztadzie. Ostatnie dni wakacji przed rozpoczęciem roku akademickiego spędzał w pobliskim Petersburgu i trafił tam do niedawno powstałego aeroklubu. Lotnictwo tak go zafascynowało, że rozpoczął naukę w nowo otwartej wojskowej Szkole Lotniczej w Gąszczynie. W 1913 roku miał już w kieszeni nie tylko dyplom wojskowego inżyniera morskiego, lecz także świadectwo dające mu elitarny wówczas tytuł lotnika wojennego. Został jednym z pierwszych pilotów carskiej marynarki wojennej i rozpoczął służbę w Głównym Zarządzie Hydrograficznym w Ministerstwie Marynarki.

Na początku 1914 roku resort ten otrzymał od rządu zadanie zorganizowania operacji polegającej na odnalezieniu śladów trzech zaginionych rosyjskich ekspedycji arktycznych, podjętych niezależnie od siebie w 1912 roku: wyprawy Georgija Siedowa na biegun północny, morskiej eskapady

Georgija Brusilowa drogą północną na Pacyfik oraz podróży Władimira Rusanowa na Spitsbergen.

Po raz pierwszy w historii w operacji poszukiwawczej w Arktyce miały brać udział samoloty, więc Jan Nagórski otrzymał propozycję udziału w tym przedsięwzięciu. Jego zadaniem miało być przygotowanie wyprawy od strony technicznej oraz wybranie właściwej maszyny. Zdecydował się na francuski dwuosobowy wodnosamolot Maurice Farman MF-11, przystosowany do lądowań na śniegu i lodzie. Nagórski osobiście doglądał w czerwcu 1914 roku produkcji i montażu zamówionych we Francji samolotów. W Paryżu spotkał się również ze słynnym norweskim podróżnikiem polarnym Roaldem Amundsenem, który podzielił się z nim swoją wiedzą na temat działania w rejonach arktycznych.

Na początku sierpnia 1914 roku uczestnicy wyprawy – rozdzieleni na trzy zespoły poszukiwawcze – wyruszyli na północ. Ekspedycji nie odwołano, choć europejskie potęgi w tym czasie znajdowały się już formalnie w stanie wojny. Ekipa Nagórskiego dotarła 16 sierpnia do archipelagu Nowej Ziemi, gdzie założono obóz. Jan wraz z przydzielonym mu mechanikiem Eugeniuszem Kuzniecowa w dwa dni zmontowali hydroplan, pracując na otwartej przestrzeni, we mgle i deszczu, przy ujemnych temperaturach. Maszyna działała bez zarzutu, więc 21 sierpnia wystartowali – okazało się, że to był pierwszy lot nad Arktyką, wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Nowej Ziemi.

Do 13 września 1914 roku Nagórski i jego mechanik wykonali w sumie pięć lotów poszukiwawczych. Spędzili w powietrzu łącznie ponad 11 godzin, przelatując niemal 1,5 tys. km nad lądem i Morzem Barentsa w trudnych warunkach atmosferycznych. Podczas jednej z wypraw Jan osiągnął pozycję około 1100 km na północ od koła polarnego. Tylko jemu udało się wystartować. Pilot z drugiej ekipy rozbił swoją maszynę już podczas pierwszego startu, a trzeci nawet nie zmontował samolotu.

Cała operacja poszukiwawcza zakończyła się fiaskiem – ani Nagórskiemu, ani działającym na morzu załogom statków nie udało się odnaleźć rosyjskich podróżników. Na jednej z wysp odkryto jedynie fragmenty dziennika ekspedycji Siedowa. 23 września 1914 roku operację ratowniczą uznano za zakończoną.

PODWÓJNA PĘTLA

Po powrocie z Arktyki Nagórski w listopadzie 1914 roku rozpoczął służbę w eskadrze lotnictwa morskiego Floty Bałtyckiej w Tallinie. Wykonywał tam misje zwiadowcze, bombowe i zwalczania niemieckich samolotów oraz sterowców. Pod

koniec 1915 roku został na krótko dowódcą i instruktorem szkolnej eskadry wodnosamolotów na okręcie „Orlica”.

Wiosną 1916 roku objął stanowisko dowódcy eskadry bojowej lotnictwa, stacjonującej na bałtyckiej Wyspie Sarema. Pilotował tam wodnosamolot konstrukcji rosyjskiej najnowszej typu Grigorowicz M-9, na którym stoczył wiele walk powietrznych. Podczas jednej z takich potyczek przeprowadził zaskakujący manewr – gwałtownie ściągając drążek sterowniczy, wykonał pętlę, dzięki czemu znalazł się nad ścigającymi go Niemcami, co umożliwiło jego mechanikowi-strzelcowi pokładowemu celne ostrzelanie wrogich maszyn. Była to pierwsza w historii pętla wykonana na hydroplanie, w dodatku obciążonym bombami. Kilka tygodni później już we własnej bazie Nagórski powtórzył ten wyczyn, wykonując podwójną pętlę, co zostało oficjalnie uznane za międzynarodowy rekord.

CUDEM URATOWANY

Walki powietrzne nad północnym Bałtykiem w latach 1915–1917 obfitowały w chwile grozy i epizody iście epickie. Jeden z nich stał się udziałem lejtanta Jana Nagórskiego i jego strzelca pokładowego. W listopadzie 1916 roku, podczas którejś z licznych walk powietrznych ich hydroplan został trafiony. Uszkodzona maszyna zatонуła, a obaj załoganci czekali w lodowatym Bałtyku na pomoc, coraz bardziej słabnąc z wychłodzenia. Nagórski, ranny w nogę, bardzo cierpiał. Gdy tracili już nadzieję na wyjście cało z opresji, tuż koło nich wynurzył się rosyjski okręt podwodny, żeby odnowić zapasy powietrza na pokładzie. Jak się później okazało, z bazy nie wysłano pomocy, bo obu lotników uznano za poległych i wciągnięto na listę trwałych strat osobowych.

Mimo chaosu dwóch rewolucji w Rosji, które wkrótce nastąpiły, w archiwach przetrwałyienne zestawienia strat personelu Floty Bałtyckiej. Na ich podstawie po 1918 roku Nagórski, mimo że po feralnym zestrzeleniu wrócił do służby, przez kilka kolejnych dekad występował jako poległy na wojnie we wszystkich sowieckich opracowaniach, słownikach biograficznych i encyklopediach. Sytuacji nie zmienił nawet fakt, że po przejęciu władzy w Rosji przez bolszewików pozostawał nadal formalnie w lotnictwie „czerwonej” już Floty Bałtyckiej. Nie służył już jednak w linii, lecz został przeniesiony do sekcji naukowo-szkoleniowej dowództwa lotnictwa morskiego.

TRUDNY POWRÓT

Nagórski nigdy nie wyjawiał, dlaczego po bolszewickim puczu pozostał w szeregach Floty Bał-



Droga powrotna z Nowej Ziemi na pokładzie parowca „Pieczora”. Jan Nagórski drugi z prawej

Wodnosamolot Farman MF-11 zakotwiczony w zatoce na Nowej Ziemi



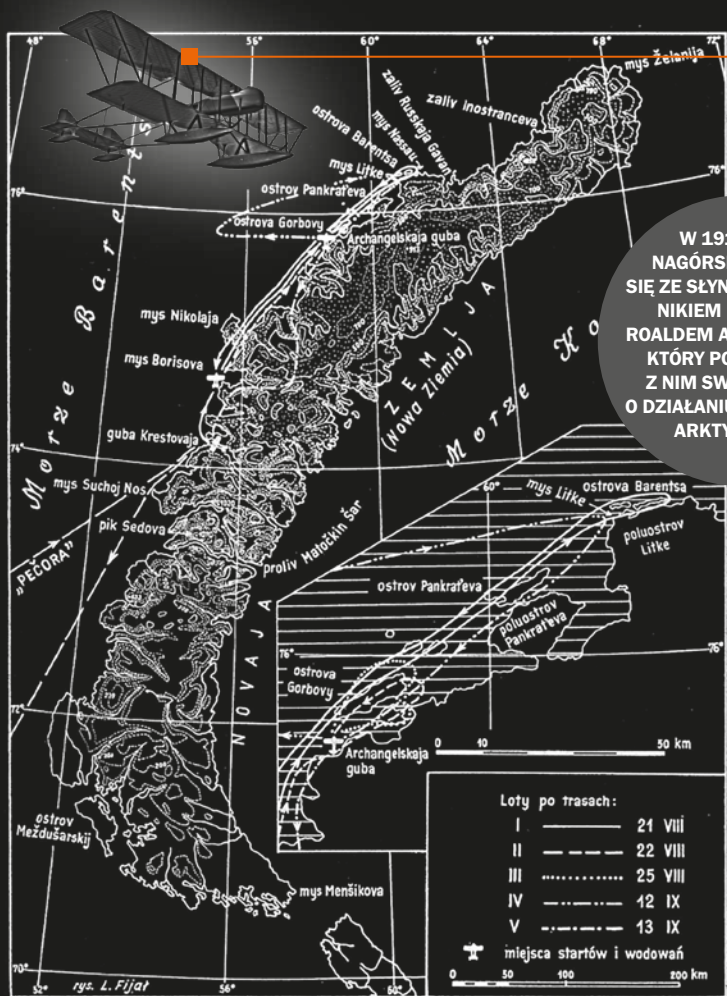
tyckiej. Jedno jest pewne: z pewnością nie był komunistą. Zresztą, natychmiast po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wystąpił o zwolnienie ze służby i już wczesną wiosną 1919 roku wrócił do kraju. Kilkakrotnie ponawiał starania o przyjęcie go w szeregi Wojska Polskiego, m.in. Morskiego Dywizjonu Lotniczego w Pucku, ale jego podania były odrzucane. Trwała wówczas wojna polsko-bolszewicka i najpewniej niemal roczna służba w Armii Czerwonej zaważyła na takiej decyzji władz II Rzeczypospolitej. Wiele wskazuje na to, że Nagórskiego pozbawiono też szans na pracę w cywilnym sektorze lotniczym, nigdy już bowiem nie zasiadł za sterami samolotu.

Wyjechał do południowej Polski i zajął się projektowaniem oraz budową obiektów energetycznych i chłodniczych, w czym pomogła mu zdobyta na Politechnice Warszawskiej dodatkowa specjalizacja z zakresu chłodnictwa. Już po II wojnie światowej, w czasie której współpracował z podziemiem, m.in. jako konstruktor ładunków wybuchowych, studiował zagadnienia dotyczące rolnictwa i ekonomiki.

W okresie międzywojennym Nagórski utrzymywał jedynie symboliczny kontakt z lotnictwem,



W 1913 roku NAGÓRSKI miał już w kieszeni nie tylko dyplom wojskowego inżyniera morskiego, lecz także świadectwo dające mu tytuł lotnika wojennego.



Trasy lotów arktycznych Jana Nagórskiego, sierpień–wrzesień 1914 roku

W 1914 ROKU NAGÓRSKI SPOTKAŁ SIĘ ZE SŁYNNYM PODRÓŻNIKIEM POLARNYM ROALDEM AMUNDSENEM, KTÓRY PODZIELIŁ SIĘ Z NIM SWOJĄ WIEDZĄ O DZIAŁANIU W REJONACH ARKTYCZNYCH.

Dwuosobowy wodnosamolot Maurice Farman MF-11, przystosowany do lądowań na śniegu i lodzie.

ry zginął później w czasie wojny w 1917 roku”. Nagórski odczekał do końca spotkania, podszedł do Centkiewicza i powiedział: „Pan pozwoli, że się przedstawię – jestem Jan Nagórski, ten lotnik zmarły ponoć w 1917 roku. Jak widać, żyję. Jeśli pan nie wierzy, to proszę dotknąć”. Istnieje jeszcze druga wersja tego wydarzenia, mniej poprawna politycznie w czasach PRL-u, w której zbulwersowany Nagórski przerywa wystąpienie Centkiewicza i oświadcza: „Ten lotnik ani nie był Rosjaninem, ani nie jest martwy – to ja nim jestem!”.

Wiadomość, że pierwszy pilot arktyczny żyje, a do tego mieszka w Polsce, natychmiast stała się sensacją. Szybko rozgłoszona w prasie, przyczyniła się do wybuchu niespodziewanej i chyba nieco krępującej Nagórskiego popularności. W 1956 roku został zaproszony do Związku Sowieckiego, gdzie oprócz odbycia wielu oficjalnych spotkań odwiedził też dawnych kolegów – żyjących jeszcze towarzyszy walk z czasów I wojny światowej. Zainteresowanie swą osobą wykorzystał do popularyzacji w Polsce lotnictwa i jego historii. Wygłaszał odczyty, uczestniczył w konferencjach i sympozjach, udzielał wywiadów, spotykał się z młodzieżą.

NIEDOCENIONY WYCZYN

Jan Nagórski chyba dopiero u schyłku swego życia zdał sobie w pełni sprawę z historycznego znaczenia arktycznej eskapady, której był bohaterem. Jego loty u północno-zachodnich wybrzeży Nowej Ziemi niemal o dekadę wyprzedziły bowiem pojawienie się w Arktyce kolejnego samolotu – dopiero w 1923 roku szwajcarski pilot-podróżnik Walter Mittelholzer, zresztą korzystając z doświadczeń Nagórskiego, zdołał przelecieć samolotem wzdłuż brzegów Spitzbergenu. Wspomniany już Roald Amundsen, który w 1926 roku dokonał pionierskiego przelotu sterowcem nad biegunem północnym, także czerpał wiedzę ze wspomnień polskiego pilota.

W 1925 roku kontakt z Nagórskim nawiązał Richard Byrd, który dotarł do jego raportu z lotów nad Arktyką. Uzyskał od Jana wiele szczegółowych danych na temat warunków meteorologicznych i wiele innych informacji mających istotne znaczenie w planowaniu wyprawy polarnej. W 1936 roku nieznanego w Polsce i uznanego za poległego w Rosji lotnika uhonorowano w ZSRS, nadając jego imię („Nagurskaja”), istniejącej do 1997 roku na Ziemi Franciszka Józefa, sowieckiej stacji meteorologicznej. W 2017 roku zyskała ona nowe życie, już jako rosyjska instalacja militarna, a wybudowane obok wojskowe lotnisko polowe ochrzczono mianem „Nagurskoje”, w hołdzie pierwszemu arktycznemu pilotowi, którego do dzisiaj Rosjanie uważają za swojego. Niestety, w Polsce dokonania Jana Nagórskiego wciąż są mało znane, a on sam już chyba znowu jest nieco zapomniany.

JAN NAGÓRSKI NIGDY NIE WYJAWIŁ, DLACZEGO PO BOLSZEWICKIM PUCZU POZOSTAŁ W SZEREGACH FLOTY BAŁTYCKIEJ

współpracując w latach 1928–1939 z Komisją Historyczną Aeroklubu RP. Po II wojnie światowej jego działalność lotnicza została całkowicie zapomniana. Wciąż hobbystycznie pasjonował się jednak Arktyką. W 1955 roku na jednym ze spotkań na ten temat odczyt o historii podboju Arktyki wygłaszał znany podróżnik Czesław Centkiewicz. Wspominał on o „rosyjskim pilocie Iwanie Josifowiczu Nagorskim, któ-

A więc WOJNA!

Tymi słowami spiker Polskiego Radia Zbigniew Świętochowski rozpoczął komunikat specjalny, którym 1 września 1939 roku o godzinie 6.30 przerwano nadawanie zaplanowanego programu.

Z dniem dzisiejszym – mówił dalej Świętochowski – wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przedstawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa”. Kiedy w rozgłosni Polskiego Radia w Warszawie padały te słowa, od przeszło dwóch godzin trwała już bitwa graniczna. O 4.35 Luftwaffe zbombardowało Wieluń; dziesięć minut później pancernik „Schleswig Holstein” rozpoczął ostrzeliwanie Westerplatte. W Warszawie pierwszy nalot niemieckich bombowców wzięto za kolejną próbę sprawności obrony przeciwlotniczej. Dopiero zacytowany komunikat radiowy uświadomił warszawiakom grozę sytuacji. Także w pierwszych wydaniach dzienników, w tym „Polski Zbrojnej”, nie było mowy o wybuchu wojny. Redakcje szybko przystąpiły do pracy i w godzinach popołudniowych oraz wieczornych poja-

wiły się dodatki nadzwyczajne i drugie wydania dzienników, w których już ogłoszono: wojna!

WOJSKOWY DZIENNIK ZOSTAJE W WARSZAWIE

Już 4 września w wyniku meldunków o postępach armii niemieckiej za-

padła decyzja o częściowej ewakuacji rządu z Warszawy do Lublina. Następnego dnia, aby uspokoić sytuację, na zwołanej konferencji prasowej zaprezentowano dziennikarzom nowego ministra resortu propagandy – Michała Grażyńskiego. Ten był wojewoda śląski był uznawany za sprawnego organizatora, więc zdawało się, że radio i prasa zostaną szybko przestawione na wojenne tory. Niestety, Grażyński od razu rozwił wszelkie nadzieje, mówiąc: „Warszawa będzie natychmiast ewakuowana; wyjeżdżając zaś, rząd pragnie zabrać ze sobą »sztaby partyjne« oraz prasę łącznie z wszystkimi urządzeniami »jako ważną amunicję duchową«”. 7 września w ślad za ewakuującymi się władzami i instytucjami państwowymi ze stolicy wyjechało również wiele redakcji i część dziennikarzy. Jednak tego samego dnia dowódca obrony Warszawy, gen. Walerian Czumak, ogłosił, że miasto będzie walczyć i zaapelował o pomoc oraz natychmiastowy powrót do normalnych zajęć. Następnego dnia z analogicznym wezwaniem do mieszkańców zwrócił się komisarz cywilny przy Dowództwie Obrony Warszawy, prezydent miasta Stefan Starzyński. Jednym z pierwszych kroków Dowództwa Obrony Warszawy było przywrócenie funkcjonowania rozgłosni radiowych i prasy. „Polska Zbrojna” należała do tych redakcji, które nie zaprzestały

NIEMCY ROZPOCZĘŁY działania wojenne przeciw Polsce

O świcie dnia 1 września 1939 r. siły zbrojne Rzeszy Niemieckiej rozpoczęły działania wojenne przeciw Polsce. Nastąpiło przekroczenie granicy polskiej w szeregu miejscowości zarówno ze strony Prus Wschodnich, jak i Rzeszy Niemieckiej. Wojska niemieckie zaatakowały garnizon polski na Westerplatte, który odparł atak. Niemieckie lotnictwo dokonało szeregu nalotów na Kraków, miasta śląskie, Częstochowę, Tczew, Puck i Grodno, przy czym przeprowadzono szereg bombardowań.

Podstępna napaść nastąpiła w kilka godzin potem, gdy ambasador polski w Berlinie zawiadomił rząd Rzeszy o życzliwym stanowisku rządu polskiego do wysiłków rządu brytyjskiego, mających na celu utrzymanie pokoju. Bez przykładowa w swej brutalności forma agresji spotka się ze zdecydowaną wolą całego narodu polskiego, który będzie bronił swej wolności, praw i honoru aż do końca.

WYCINKI PRASOWE POCHODZĄ Z „POLSKI ZBROJNEJ” Z WRZEŚNIA 1939 ROKU.



ukazywania się w dniach ewakuacji i panującej w mieście paniki. 5 września na pierwszej stronie dziennika wydrukowano przemówienie ministra Józefa Becka, które wygłosił dwa dni wcześniej w radiu. Mówił w nim o przystąpieniu Anglii i Francji do wojny. Wystąpienie Becka zilustrowano fotografiami przedstawiającymi spotkanie marszałków Piłsudskiego i Focha, marszałka Rydza-Śmigłego z gen. Gamelinem oraz... gubernatora generalnego Australii, lorda Gowrie, który 4 września podpisał w imieniu swego kraju wypowiedzenie wojny Niemcom. Ten optymistyczny przekaz wieńczył dekret prezydenta RP o utworzeniu legionu czeskiego i słowackiego, który obok Wojska Polskiego miał walczyć z niemieckim najeźdźcą. Mottem numeru było stwierdzenie Józefa Piłsudskiego: „Można umierać za Francję, broniąc Polski, można pracować dla rozrostu Francji, zabezpieczając szczęście Polski”. Przekaz był jasny – na wojnie nie jesteśmy sami!

OPTYMIZM DO SAMEGO KOŃCA

„Polska Zbrojna” i inne redakcje, starające się funkcjonować w wojennych warunkach, przyjęły wspólną linię działania zarysowaną w komunikacie, w którym m.in. napisano: „...E pur si muove! Prasa polska nie chce umrzeć. Wie, że jej umrzeć nie wolno. Budzenie, podsycanie życia – oto jest święty obowiązek narodowy i społeczny!”. Inaczej mówiąc, dziennikarze postanowili,

bez względu na rzeczywistą sytuację na froncie, pokrzepiać czytelników optymistycznymi doniesieniami z frontu. Stąd wciąż powtarzające się w „Polsce Zbrojnej” i innych dziennikach doniesienia o sukcesach nie tylko polskiej, lecz także sojuszniczych armii na „antyniemieckich frontach”. 15 września na pierwszej stronie dziennika wielkie nagłówki głosiły: „120 samolotów bombardowało Berlin!”, „2 dywizje niemieckie rozbite pod Kutnem!”, a „Straty na froncie zachodnim są tak duże, że Niemcy musieli przesunąć z Polski pięć dywizji”. Z tymi hurraoptymistycznymi wiadomościami kontrastowały tylko doniesienia o bestialstwie Luftwaffe, które bombardowało i ostrzeliwało nie tylko wojsko, ale też ludność cywilną. „To bandyci – nie żołnierze”, pisano krótko w „Polsce Zbrojnej” 18 września. Niestety, do opisów walk z Niemcami dodano wówczas informację o przekroczeniu polskiej granicy przez Armię Czerwoną.

OSTATNIE WYDANIE

Praca redakcji prasowych pozostających w Warszawie była ściśle uza-

leżniona od sytuacji oblężonego miasta. „Polska Zbrojna” podkreślała bohaterstwo obrońców stolicy i drukowała apele dowództwa obrony o ofiarność i wytrwanie. 23 września redakcja przypominała obrońcom stolicy: „Naszym zadaniem jest związać nieprzyjaciela i zadawać mu straty. Najsilniejsze ośrodki oporu [to] Warszawa i Modlin!”. Numer z tym tekstem okazał się ostatnim wydaniem „Polski Zbrojnej” we wrześniu 1939 roku.

Potężne bombardowania Luftwaffe, które nastąpiły 23 września i w kolejnych dniach, spowodowały m.in. zniszczenie elektrowni miejskiej. To położyło kres dziennikom ukazującym się w Warszawie. Wydania przygotowane na niedzielę 24 września nie mogły już zostać wydrukowane. Niektóre, w postaci szczotkowych odbitek, rozwieszono na drzwiach lub ścianach drukarni i sąsiednich budynków. 28 września 1939 roku Warszawa skapitulowała, ale w innych częściach kraju walka trwała nadal i nie skończyła się jesienią, jak chcieli tego Hitler i Stalin. PK



KOMENTARZ

ALEKSANDER SMOLIŃSKI

W we wrześniu 1939 roku polskie siły zbrojne, głównie zaś Wojsko Polskie, stanęły wobec próby wypełnienia niewykonanego wówczas zadania – obrony Rzeczypospolitej Polskiej przed hitlerowskim najeźdźcą. Ewentualne powodzenie w tej walce mogła zapewnić jedynie wojna prowadzona w systemie koalicyjnym, a więc przy szybkiej i realnej wojskowej pomocy armii francuskiej oraz sił brytyjskich – głównie lotnictwa. Nie mniej istotna mogła się okazać też współpraca z so-

juszniakiem rumuńskim. Tymczasem w rzeczywistości w trakcie kampanii jesiennej 1939 roku żaden z tych czynników nie zaistniał w takiej formie, jakiej oczekiwali Naczelne Dowództwo oraz walczący naród polski.

Błyskawiczne tempo działań wojennych i rzeczywista postawa sojuszników spowodowały, że zarówno Rzeczpospolita Polska, jak i jej armia znalazły się w sytuacji ustawicznego i głębokiego strategicznego odwrotu, którego celem miało być osławione „przedmoście rumuńskie”, gdzie Wojsko Polskie spodziewało się doczekać zdecydowanej interwencji militarnej mocarstw zachodnich – Francji i Wielkiej Brytanii. Kres tym planom położyła jednak inwazja Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej 17 września 1939 roku.

ALEKSANDER SMOLIŃSKI jest profesorem zwyczajnym, pracownikiem Wydziału Nauk Historycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

Jesteśmy jak oni

**Szturmani z Gliwic
przejęli historyczne
tradycje pododdziałów
zasłużonych
w III powstaniu
śląskim.**



Najmłodsza jednostka wojsk specjalnych, dziedzicząca dotąd tradycje Oddziału Dywersji Bojowej Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej Agat, przejęła też spuściznę innych historycznych jednostek. „To była oddolna inicjatywa żołnierzy. Większość z nich wywodzi się ze Śląska i identyfikuje z historią tego regionu”, mówi st. chor. sztab. Mirosław Piwko, starszy podoficer dowództwa Jednostki Wojskowej Agat. Z kolei jej dowódca, płk Artur Kozłowski, zwraca uwagę na to, że niedawno obchodziliśmy setną rocznicę wybuchu I powstania śląskiego: „Powstania śląskie są trochę marginalizowane, choć odegrały ogromną rolę w naszej historii. Cieszę się, że moi żołnierze będą z dumą reprezentować śląskich bohaterów”.

WYWALCZYLI NIEPODLEGŁOŚĆ

Jednostka Wojskowa Agat przyjęła tradycje oddziałów walczących o przyłączenie Górnego Śląska do Polski. Powstanie było spontaniczną reakcją tych, którzy nie chcieli na tym terenie niemieckiej władzy. Bezpośrednio do insurekcji przyczyniła się masakra w kopalni Mysłowice (15 sierpnia 1919 roku), gdzie Niemcy strzelali

do górników domagających się zaległych wypłat. Zryw upadł po dziesięciu dniach, ale po roku doszło do wybuchu II powstania śląskiego. Pośrednio było ono związane z postanowieniami traktatu wersalskiego, kończącego I wojnę światową. Gwarantowano w nim niepodległość Polski oraz przynależność do niej: Wielkopolski, Pomorza Zachodniego, części Górnego Śląska, a na Warmii i Mazurach, Powiślu i drugiej części Górnego Śląska zarządzono plebiscyty. Niemcy opuścili wówczas teren Śląska, a na ich miejsce wprowadzono siły aliantów. Pozostała jednak niemiecka policja, tzw. Sipo (Sicherheitspolizei), która miała gwarantować bezstronność w czasie plebiscytu. W rzeczywistości funkcjonariusze organizowali ataki na komisje plebiscytowe. To doprowadziło do II powstania. Walki w sierpniu 1920 roku objęły praktycznie cały teren Śląska. To była jedna z czterech polskich insurekcji zakończonych sukcesem.

Do wybuchu III powstania śląskiego przyczyniły się natomiast wyniki plebiscytu, który tak naprawdę nie zadowalał ani Polaków, ani Niemców. Wzięło w nim udział ponad milion osób. Za Polską opowiedziało się 479 tys., a za Niemcami



Kpt. ROBERT OSZEK,
marynarz ze Śląska,
stworzył oddział
wyszczepiony w wozy
opancerzone.

Grupa oficerów 1 Dywizji przed pałacem w Ślawentzitz (późn. Ślawięcice). Drugi z prawej kpt. Robert Oszek, 1921 rok



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

707 tys. Duży wpływ na taki wynik, choć zdaniem historyków niedecydujący, miał fakt, że głos mogli oddać nie tylko mieszkańcy Śląska, lecz także osoby, które z tych terenów wyemigrowały. Ostatecznie nie udało się poprowadzić granicy według wyników plebiscytu, trudno było np. duże miejscowości przydzielić do Niemiec, a skupione wokół nich wioski – do Polski. Niemcy nie byli gotowi na jakiegokolwiek ustępstwa, więc wybuchło kolejne powstanie. Pod względem militarnym ten zryw nie zakończył się sukcesem, ale politycznie i ekonomicznie – jak najbardziej. W październiku 1921 roku Rada Ligi Narodów podjęła decyzję o podziale spornych ziem i do Rzeczypospolitej przyłączono powiaty: katowicki, lubliniecki, pszczyński, rybnicki, świętochłowicki i tarnogórski.

SZUKAJĄ PODOBIENSTW

Historia powstań śląskich stała się inspiracją dla żołnierzy Agatu. „W jednej z książek historycznych znalazłem wzmiankę o kpt. Robercie Oszku, niepokornym marynarzu ze Śląska, który stworzył oddział wyposażony w wozy opancerzone. Tą wiedzą podzieliłem się z kolegami z jednostki”, mówi st. chor. sztab. Mirosław Piwko. „Na zaproszenie żołnierzy pracownicy katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej przeprowadzili w jednostce serię wykładów na temat oddziałów Roberta Oszka i »Konrada Wawelberga«, dodaje chorąży. Szturmani proponowali, by podział patronów nawiązywał do zadań oddziałów. „Żołnierze kpt. Oszka walczyli z wykorzystaniem pojazdów pancernych, tak jak nasi szturmani z zespołu C używają ciężkich wozów M-ATV. Grupa Destrukcyjna Wawelberga mogła natomiast działać samodzielnie lub na rzecz innych pododdziałów – podobnie jak nasz zespół wsparcia”, tłumaczy starszy podoficer JWA.

Grupę Destrukcyjną Wawelberga stworzył pod koniec 1920 roku kpt. Tadeusz Puszczyński („Konrad Wawelberg”).

Ten oficer wywiadu był twórcą działań specjalnych w międzywojennej Polsce. Na polecenie kierownictwa Oddziału II Sztabu Generalnego Naczelnego Dowództwa WP zorganizował grupę liczącą początkowo 70 ochotników. Ich głównym zadaniem było niszczenie połączeń komunikacyjnych między Śląskiem a Niemcami.

Wawelberczycy byli doskonale przygotowani pod względem minerskim – każdy potrafił skonstruować bombę z zapalnikiem czasowym, uzbroić i zdetonować ładunek. Zastępnęli z akcji przeprowadzonej w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku. Śląskiem wstrząsnęła wówczas seria wybuchów. Żołnierze wysadzili siedem mostów, tory kolejowe oraz dwa niemieckie pociągi towarowe. Te wydarzenia przyczyniły się do wybuchu III powstania śląskiego. Wawelberczycy skutecznie prowadzili też działania na tyłach Niemców, nawet 30 km za linią frontu. Przecinali linie aprowizacyjne i utrudniali przemarsz wojsk. Uznaje się ich za specjalistów w działaniach dywersyjno-sabotażowych. „Prowadzona w 1921 roku operacja »Mosty« nie odbiega od dzisiejszych standardów działań specjalnych. Żołnierze „Wawelberga” najpierw starannie rozpoznali teren, drobiazgowo zaplanowali akcję, a potem szybko przeprowadzili mocne uderzenie i wykonali jeszcze szybszy odwrót”, opisuje st. chor. sztab. Piwko.

W walkach na Śląsku szczególnie zasłużył się jeszcze oddział oficera marynarki wojennej kpt. Roberta Oszka, który pochodził ze śląskiego Zabrza. W 1919 roku został on skierowany na Śląsk, gdzie przygotowywano się do plebiscytu i ewentualnego powstania, gdyby wynik był niekorzystny dla Polski. Na południe kraju Oszek sprowadził kilkudziesięciu marynarzy z Floty Pińskiej i utworzył samodzielny pododdział szturmowy. Na wieść o przeniesieniu w głąb lądu miał powiedzieć: „Ja, oficer marynarki, na piechotę walczyć nie będę!”, a swoim żołnierzom obiecał „pokład pod nogami”. Słowa dotrzymał – przejął ciężarówkę z katowickiej huty Baildon i trzy z nich opancerzył. Jego wozy nosiły nazwy: „Korfanty”, „Woźniak-Walerus” (lub „Powstaniec”) oraz „Zabrski powstaniec”. Oszek dowodził „Korfantym”. Na pokładzie było miejsce dla dziewięciu żołnierzy uzbrojonych w pięć karabinów i broń ręczną, z której mogli prowadzić ogień przez otwory strzeleckie. Ze względu na dużą mobilność i siłę rażenia jego żołnierze byli kierowani do wsparcia słabych odcinków frontu. Podkomendni kpt. Oszka szczególnie zasłużyli się w ciężkich walkach o Górę Świętej Anny (więcej na ten temat w „Polsce Zbrojnej” nr 12/2017). Po zakończeniu powstańczych walk Oszek został komendantem konspiracyjnej Organizacji „P”, która miała na Śląsku chronić polskie placówki i instytucje do czasu przejścia ich przez władze II RP, a następnie wrócił do służby w marynarce.

Żołnierze Agatu podobieństw ze śląskimi pododdziałami szukają w wykonywanych zadaniach i sposobie ich realizacji. „Zarówno wawelberczycy, jak i żołnierze Oszka wykonywali zadania taktyczne o znaczeniu strategicznym. Musieli zniszczyć cel o wysokiej wartości. Na tym przecież polegają współczesne operacje specjalne”, podsumowuje st. chor. sztab. Piwko. ■

W CZASIE
PRZESŁUCHANIA
OBIECAŁAM SOBIE,
ŻE NIKOGO
NIE WYDAM

Nie bałam się Niemców

Z Aliną Dąbrowską o służbie w Szarych Szeregach, katorżniczej pracy i medycznych eksperymentach w obozach koncentracyjnych rozmawia Piotr Korczyński.

Jak pani zapamiętała wybuch wojny?

Od piątego roku życia mieszkałam w Pabianicach. Byłam najmłodsza spośród czwórki rodzeństwa. Mój ojciec pracował jako urzędnik w magistracie miasta, a mama zajmowała się domem. Przez cały 1939 rok mówiło się o tym, że będzie wojna. Pamiętam, że wielkie wrażenie zrobiło na mnie słynne przemówienie ministra Józefa Becka, którego wysłuchałam przez radio. Kilka dni przed wybuchem wojny z koleżankami biegałyśmy na dworzec kolejowy, gdzie stały wojskowe pociągi z naszymi żołnierzami. Zanosiliśmy im słodycze, a wagony przystrojone były kwiatami. Panował entuzjazm, bo wszyscy wierzyli, że wojna potrwa krótko i będzie zwycięska. Pamiętam też, jak wołałyśmy do żołnierzy: „Przywieźcie nam głowę Hitlera!”. W domu zabezpieczaliśmy paskami papieru szyby w oknach, by nie wyleciały przez wybuchy, ale zbyt niskich zapasów żywności nie robiliśmy, bo po co? Wszyscy sądzili, że Niemcy tak jak szybko wejdą, tak jeszcze prędzej z Polski wyjdą pobici. Dla mnie 1 września 1939 roku był ważny jeszcze z tego powodu, że miałam rozpocząć naukę w liceum. Bardzo lubiłam się uczyć, szczególnie obcych języków. Początkowo chciałam uczyć się francuskiego, ale

ostatecznie zdecydowałam się na niemiecki. Jak wiadomo, w Pabianicach, podobnie jak w Łodzi, mieszkało wielu Niemców ze względu na liczne w tej okolicy niemieckie przedsiębiorstwa i fabryki. Mieli własne gimnazjum i kościół ewangelicki. To wpłynęło na mój wybór, dzięki któremu przeżyłam wojnę. Warto podkreślić, że w Pabianicach między społecznościami polską i niemiecką nie czuło się jakiegokolwiek szczególnej wrogości. Animozje zaczęły się dopiero w ostatnich miesiącach pokoju, kiedy wojna wisiała w powietrzu, ale i wtedy nie dochodziło do gwałtownych wystąpień antyniemieckich.

Pamięta pani moment, w którym wojsko niemieckie wkroczyło do Pabianic?

Dowiedziałam się o tym z radia. Pamiętam komunikat, w którym ogłoszono, że Niemcy wmaszerowali do Polski o godzinie 5.00 rano. Ja wtedy nie widziałam żadnych niemieckich żołnierzy, ale już po zajęciu miasta najbardziej utkwily mi w głowie ich tłumaczenia, dlaczego doszło do wojny. Mówili: „Odpowiedzieliśmy na atak”. Czyli że to Polacy byli agresorami, a nie Niemcy. Pierwszych niemieckich żołnierzy zobaczyłam 5 albo 6 września. Nasz dom stał przy ulicy Żwirki i Wigury, czyli ➔

WIZYTÓWKA

**ALINA DĄBROWSKA
„FALKA”**

Wieźniarka pięciu niemieckich obozów koncentracyjnych, w tym Auschwitz. Po wojnie, do emerytury, pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych jako prawnik specjalizujący się w prawie międzynarodowym.

blisko głównej arterii prowadzącej do Łodzi. Od tamtej właśnie strony przyjechali Niemcy – na motocyklu i w ciężarówce. Kamienica, w której mieszkaliśmy, należała do bardziej okazałych, obok była rzeźnia. Niemcy spokojnie weszli i nawet grzecznie zapytali mieszkańców, czy są wolne lokale. Ja znałam język niemiecki już na tyle, że mama poprosiła mnie: „Ala, powiedz, że u nas nie ma miejsca”. A mnie w tym momencie zablokowało, nie mogłam wykrztusić z siebie ani jednego słowa.

Jak pani znalazła się w Szarych Szeregach?

Konspirować zaczęłam dzięki mojemu bratu Zenonowi. On na początku września 1939 roku razem z naszym ojcem zgodnie z poleceniem dowództwa wyruszył na wschód. Obaj się od razu zgubili i rozdzielili. Ojciec dotarł do Zgierza, gdzie przeczekał u znajomych i po kilku dniach wrócił do domu, natomiast brat trafił dalej na wschód i tam przeżył najazd Armii Czerwonej 17 września 1939 roku. To był dla niego szok. Wrócił do domu z mocnym postanowieniem, że trzeba walczyć z okupantem. Zaprzysiężona zostałam w 1941 roku w domu jednego z naszych kolegów, drużynowego Kazimierza Jakubowskiego. Mama czuła, że Zenek działa w konspiracji i prosiła go, by nie wciągał mnie w swoją działalność, ale ja już od dawna byłam w nią zaangażowana. W Szarych Szeregach nauczyłam młodszych od siebie, ale miałam i inne zadania. Należałam do konspiracyjnej trójki, razem z Mirką Sędzińską i dziewczyną, której nazwiska nie pamiętam. Chodziłyśmy do szpitala, gdzie odwiedzałyśmy rannych polskich żołnierzy. Jeden z nich dał mi adres swojej rodziny z prośbą, bym napisała, gdzie się znajduje. Dowiedziałam się później, że udało mu się uciec. W 1942 roku zostałam aresztowana, co wynikało z kolejnej konspiracyjnej działalności.

Czy była ona związana z pracą u Niemców?

Tak. Niedługo po wkroczeniu Niemców do Pabianic wszyscy otrzymali nakaz pracy. Ja znalazłam zajęcie całkiem blisko, bo w naszej kamienicy. Jedno piętro zajął Niemiec, Oskar Schmaltz, który prowadził tak zwaną agenturę bydła, czyli przejął cały handel i rejestrację bydła odprowadzanego do pobliskiej rzeźni. Zostałam sekretarką w jego biurze i tam nauczyłam się pisać na maszynie. Ta umiejętność zresztą bardzo przydała się w mojej drugiej pracy, czyli w jednej z pabianickich fabryk zbrojeniowych Lohmann-Werke. Tam pod pseudonimem „Falka” prowadziłam poważną konspiracyjną robotę. Jako maszynistka, pisałam instrukcje dotyczące urządzeń i części

NAJBARDZIEJ PRZERAŻAŁY MNIE SELEKCJE WIĘŹNIÓW IDĄCYCH NA ŚMIERĆ. DOCHODZIŁO DO DRAMATYCZNYCH SYTUACJI, KIEDY MATKI, RODZICE BYLI ROZDZIELANI Z DZIEĆMI

potrzebnych do produkcji uzbrojenia. W tym samym dziale co ja pracowali polscy inżynierowie związani z Armią Krajową. Któregoś dnia jeden z nich podszedł do mojego biurka i podniósł z niego instrukcję, którą skończyłam przepisywać. Czytając, jakby mimochodem rzucił: „O, to ciekawe”. A ja nie miałam wątpliwości, czemu się nią zainteresował. Musiałam przy tym bardzo uważać, bo obok mnie pracowała córka zagorzałego nazisty, dyrektora Arbeitsamtu – niemieckiego urzędu pracy. Po godzinach na matrycy odbijałam dla Szarych Szeregów ulotki i materiały do tajnego nauczania, które następnie wynosiłam za bramę fabryki zawinięte w sweter. Niemcy wówczas nie przeprowadzali zbyt skrupulatnych rewizji.

I nadszedł feralny dzień 13 maja 1942 roku...

Coś już przeczuwałam, bo kiedy rano po nocnej zmianie wrócił z pracy mój brat, powiedziałam mu w żartach, żebyśmy się pożegnali, bo może więcej się nie zobaczymy. A przecież były akurat pięćdziesiąte urodziny naszej mamy i zaplanowaliśmy duże spotkanie rodzinne. Rzeczywiście nigdy więcej nie zobaczyliśmy się z bratem, gdyż dwa tygodnie później Zenek również został aresztowany, a następnie zakatowany przez gestapo.

Zanim opowiem o aresztowaniu, wrócę jeszcze do inżyniera, który interesował się przepisywanymi przeze mnie dokumentami. On wtedy zabrał je z sobą i oddał dopiero następnego dnia. Jak się okazało, AK zrobiło odbitki. Ktoś doniósł o tym na gestapo i to było powodem mojego aresztowania. Początkowo tego dnia nic nie wskazywało na to, że coś złego się wydarzy. Normalnie



Alina Bartoszek
(potem Dąbrowska)
w latach wojny

rozpoczęłam pisanie na maszynie. Po południu nagle wszedł Sudeck, główny dyrektor firmy, i poprosił, bym poszła z nim do jego gabinetu. Tam czekał już na mnie gestapowiec. Zaczął krzyczeć i wymachiwać mi nad głową dokumentami, które wcześniej zabrał polski inżynier. Pytał, czy ja je pisałam. Odpowiedziałam, że tak. Zapytał następnie, co z nimi robiłam. Odpowiedziałam, że oddałam niemieckiemu kierownikowi. Gestapowiec oznajmił mi: „Ten dokument dostał się w niepowołane ręce”. Ja odpowiedziałam, że nic na to nie mogę poradzić, dlatego że moja szafka nie jest zamykana na klucz. Tego faktu się uchwycił.

Zachowała pani przytomność umysłu.

Nie straciłam głowy, ale muszę też panu powiedzieć, że nie byłam przerażona. Znałam język niemiecki, z racji pracy codziennie stykałam się z Niemcami i nie bałam się ich. Zresztą szafka od razu została sprawdzona i potwierdziło się, że mówię prawdę.

Mimo to została pani osadzona w więzieniu w Łodzi.

Mieściło się ono przy ulicy Gdańskiej 13. Liczba 13 jest dla mnie szczególna. Aresztowano mnie 13 maja, osadzono w budynku numer 13, w celi numer 13 i przetrzymywano przez 13 miesięcy, nim trafiłam do Auschwitz. A wie pan, czyje święto jest 13 maja? Matki Boskiej Fatimskiej. Wierzę, że dzięki Jej opiece zachowałam życie. Wróć jednak do 13 maja – wtedy zatrzymano jeszcze jednego chłopaka, Janka Frąckiewicza, który pracował na zmianę z moim bratem. Ustawiono nas razem pod ścianą. On był skuty kajdankami. Okazało się jednak, że gestapowcy zrobili to nieumiejętnie, bo zdołał się oswobodzić i uciec. Niemiec, który nas pilnował, nie zauważył, a może nie chciał zauważyć, jak Janek zmieszał się z tłumem robotników fabryki i tyle go widziano. Kiedy do naszego strażnika dołączył gestapowiec, który mnie aresztował, zapytał, gdzie jest drugi aresztowany. Ten najspokojniej w świecie odpowiedział: „Przecież wziąłeś go ze sobą...”. Gestapowiec tylko zaklął.

Czy poddawano pani ciężkim przesłuchaniom?

Nie. Wiadomo było, za co mnie aresztowano i gestapowcy nie powiązali mnie z żadną działalnością podziemną. Doszli do wniosku, że świadomie nie miałam kontaktu z AK. Moim atutem było też to, że mówiłam dobrze po niemiecku. Gestapowcy nie musieli ze mną rozmawiać przez tłumacza. Po pierwsze, wiedziałam, co do nich mówię, a po drugie, przy tłumaczu Niemcy byli bardziej brutalni niż wtedy, kiedy nie mieli świadków. Dzięki grypsom udało mi się poinformować rodziców, że aresztowanie nie jest związane z rodziną, żyję i jestem zdrowa. Na pierwszym przesłuchaniu gestapowiec poinformował mnie, że aresztowali też mojego brata. Po moim wyrazie twarzy poznał, że jest to dla mnie szok, więc doszedł do wniosku, że nie byłam wtajemniczona w działalność Zenka. Krzyknęłam nawet: „Nie wierzę panu!”. Wtedy dał mi przeczytać zeznanie brata, z którego treści wynikało,

że nikogo nie wydał. Obiecałam sobie, że także nikogo nie wydam. Gestapowiec osiągnął cel odwrotny do zamierzonego, bo świadomość bohaterstwa Zenka tylko mnie wewnętrznie wzmocniła.

W czasie śledztwa powiedziano, że czeka panią Auschwitz?

To było zupełne zaskoczenie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że po trzynastu miesiącach więzienia, do którego nawet zdążyłam przywyknąć, trafię do piekła.

Jakim pociągiem zawieziono panią do obozu?

Miał normalne wagony pasażerskie z przedziałami i ławkami. Na pierwszy rzut oka wyglądałyśmy z innymi przewożonymi więźniarkami jak zwykłe pasażerki. Oczywiście pilnowali nas żandarmi, ale zupełnie nie widać było ani po pociągu, ani po nas, gdzie jedziemy tego czerwcowego dnia 1943 roku. Zresztą, jak powiedziałam, żadna z nas nie miała świadomości, czym w istocie są niemieckie obozy koncentracyjne. Nawet kiedy stanęłyśmy przed bramą Auschwitz, kiedy zaprowadzono nas do wspólnej łaźni i zamieniono ubrania na obozowe pasiaki, nie przerażało mnie to zbytnio, raczej powiedziałabym, że zaciekawiało. Po ostrzyżeniu głów śmiałyśmy się, że wszystkie wyglądamy podobnie. Wtedy też wytatuowano nam numery. Mój numer 44165 wyglądał dość zgrabnie, bo tatuowała go żydowska artystka. Ona potrafiła dziergać takie małe cyfry. To, że trafiłam do piekła, dotarło do mnie, dopiero kiedy znalazłam się w przydzielonym mi bloku siódnym. Po przekroczeniu progu baraku, zobaczywszy starsze więźniarki i warunki, w jakich mam mieszkać, wpadłam w przerażenie. Ponieważ weszłam tam jako ostatnia, dostałam do spania miejsce na ziemi. Tej nocy poczułam się całkiem opuszczona i dopiero wtedy się rozplakałam.

Gdzie panią przydzielono do pracy?

Pracowałam w wielu miejscach w obozie, ale zaraz po przyjeździe, już na drugi dzień, przydzielono mnie do pracy w polu i tam przepracowałam kilka miesięcy. Nie narzekałam, bo pilnowali nas folksdojczycy z Czech i Słowacji, którzy byli łagodniejsi od rdzennych Niemców. Następnie celowo zarażono mnie tyfusem i prawie miesiąc leżałam chora.

Jak udało się pani przetrwać chorobę?

Mój młody organizm okazał się silniejszy od tyfusu. Kiedy wróciłam z izby szpitalnej do bloku, któregoś dnia przyszedł esesman i zapytał, kto umie pisać na maszynie. Zgłosiłam się i przez pewien czas w budynku przy obozowej bramie spisywałam listę zmarłych Żydów. Pamiętam, że przy prawie wszystkich nazwiskach jako przyczyna śmierci było podane zapalenie płuc... Pracy w obozie nie wspominam najgorzej. Także z głodem jakoś sobie można było poradzić. Najbardziej przerażały mnie selekcje więźniów idących na śmierć. Dochodziło wtedy do dramatycznych sytuacji, kiedy matki, rodzice byli rozdzielani z dziećmi. ■

PO SŁUŻBIE

/ SPORT

ZMIESZAJ SIĘ Z BŁOTEM

**Większość zawodników
dobiega na metę ostatkiem sił.
Wyglądają na pokonanych, ale tak naprawdę
każdy z nich wygrał jedną z najważniejszych
walk w swoim życiu.**

MICHAŁ ZIELIŃSKI





Z

awodnicy zamarli w pozycjach startowych. Większość na całe gardło odlicza czas pozostały do startu. Niektórzy koncentrują wzrok na linii brzegowej jeziora. Nieruchoma tafla wody kontrastuje z betonowym moło i odsłoniętym fragmentem piaszczystego dna. Tegoroczna susza sprawiła, że jest bardzo niski stan wód i co się z tym wiąże – wszechobecne błoto. Grzaskie, zasysające, odbierające wszystkie siły. Organizatorzy doskonale o tym wiedzą,

a wkrótce przekonają się też uczestnicy.

„Trzy... dwa... jeden...”, zwarta grupa rzuca się przed siebie i w kilku susach pokonuje dystans do jeziora. Woda rozbryzguje się na wszystkie strony i dosłownie zakrywa tych, którzy biegną na czele. Część z nich próbuje płynąć, ale większość podnosi ręce nad głowę i stara się schronić przed falą za innymi zawodnikami. Po niespełna trzech minutach uśmiechnięci uczestnicy zamykając grupę nikną z pola widzenia. Wrócą za kilka godzin, całkowicie odmienieni.

„Na koszulce jest dobrze napisane, że ten bieg katuje, upadła i miesza z błotem”, mówi Janusz. „Nie polecam go nikomu, chyba że chce się pokonać swoje największe słabości”, przestrzega

Marta. „W kilku słowach? Krew, pot i łzy”, podsumowuje Krzysztof. To troje zawodników, którzy zajęli pierwsze miejsca w swojej klasyfikacji w XV Biegu Katorżnika. Różni ich niemal wszystko, od motywacji, przez podejście do sportu, po wiek. Łączy nadzwyczajna wola, aby osiągnąć obrany cel.

CHEĆ DO ŻYCIA

Wokół Krzysztofa roztacza się aura spokoju. Jego mowa ciała, spojrzenie, a nawet ton głosu świadczą o tym, że jest to człowiek, którego trudno wybić z rytmu. „Biegłem tu po raz pierwszy i nie wiedziałem, czego się spodziewać. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że będzie ciężko i że trzeba to przetrwać. Wiedziałem też, że do tego biegu tak naprawdę nie da się do końca przygotować. Można mieć bardzo dobrą kondycję, ale wynik i tak zależy przede wszystkim od nastawienia psychicznego”, mówi Krzysztof Pływacz i dodaje, że w Katorżniku trzeba przeć do przodu niezależnie od powstałych ran i stłuczeń. Jako żołnierz 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej zaliczył niejedną wielogodzinny marsz z obciążeniem. Niemniej jednak to był tylko jeden z czynników, dzięki któremu osiągnął najlepszy czas w kategorii drużynowej (ostatecznie wraz ze



BRNIESZ W BŁOCIE, A KAŻDY KOLEJNY KROK SPRAWIA CORAZ WIĘCEJ KŁO- POTÓW. Z TRUDEM PODNOŚCISZ NOGĘ, A PO CHWILI ONA ZNO- WU GRZEŹNIE W MAZI

swoim zespołem WP Ski Team zajął trzecie miejsce).

Twierdzi, że zwycięstwo to efekt samodyscypliny. Każdy trening trzeba zaplanować, a następnie trzymać się obranego kierunku bez względu na samopoczucie. Taka strategia pozwala idealnie przygotować się do zawodów. „Ponad 20 lat zajmowałem się biathlonem i teraz na tym bazuję. Muszę brać pod uwagę ograniczenia czasowe, więc wybieram trening najbardziej efektywny. W moim wypadku najlepiej sprawdza się bieganie, również po górach. W tygodniu pokonuję około 100 km”, tłumaczy Krzysztof Pływaczek, który w biathlonowych mistrzostwach Polski zdobył ponad sto medali oraz dwukrotnie reprezentował nasz kraj w zimowych igrzyskach olimpijskich. Na mistrzostwach świata wywalczył szóste miejsce w sztafecie mieszanej. Karierę sportową zakończył cztery sezony temu i teraz koncentruje się na służbie.

„Mój organizm jednak nieustannie potrzebuje wysiłku. Start w zawodach daje siłę napędową do dalszej pracy. Być może wynika to z potrzeby utrzymania reżimu treningowego. Dobra kondycja przekłada się na świetne samopoczucie i chęć do stawiania czoła nowym wyzwaniom”, uważa Krzysztof Pływaczek i podkreśla, że to nie wynik jest dla niego najważniejszy. Każde zawody to okazja do poznawania nowych ludzi oraz do integracji ze znajomymi. Nic tak nie łączy, jak wspólne pokonywanie trudności.

Kiedy Marta wbiega na metę, trudno ją rozpoznać. Błoto na twarzy przypomina maskę z nocnych koszmarów. Z czarną breją kontrastują odsłonięte w uśmiechu zęby oraz białka oczu. Or-

ganizatorzy przez dłuższą chwilę nie mogą odczytać jej numeru startowego. Kiedy w końcu się to udaje, okazuje się, że Marta zajmuje pierwsze miejsce w klasyfikacji dziennikarek. „Czuję olbrzymią radość, ponieważ zrealizowałam swoje marzenia. Weszłam na trasę z myślą, żeby się nie poddać i dobiec na metę nie jako ostatnia. Tymczasem jako pierwsza w swojej kategorii pokonałam bieg, który zalicza się do najtrudniejszych w Polsce”, cieszy się Marta Szulc, na co dzień pracownik Wojskowego Instytutu Wydawniczego. W zawodach biegowych startuje od wielu lat. To jest jej pasja, ale nie stawia się na wyniki. Tak samo podeszła do startu w Biegu Katorżnika.

NIEPOWTARZALNA ATMOSFERA

„Pierwsze kilometry poszły mi całkiem dobrze. Zarówno pokonywanie odcinka prowadzącego przez jezioro Przesmyk, jak i późniejsze przedzieranie się przez chaszcze porastające Kokotek sprawiały mi przyjemność. Trochę głębsza woda pozwalała ochłodzić się i zmyć z siebie błoto, które dodawało kilogramów i przez to utrudniało bieg”, tłumaczy Marta. Kryzys dopadł ją w drugiej połowie 12-kilometrowej



MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



W tym biegu nie było rywalizacji. Walka toczyła się przede wszystkim z własnymi słabościami. Marta, nasza redakcyjna koleżanka, podkreśla, że nawet najlepsi zawodnicy nie byli obojętni na los pozostałych uczestników.

trasy. Najpierw zapadła się w bagno, z którego nie mogła się wydostać o własnych siłach. Potem musiała zmierzyć się z ogromnym zmęczeniem. „Brniesz w błocie, a każdy kolejny krok sprawia coraz więcej kłopotów. Z trudem podnosisz nogę, a po chwili ona znowu grzęźnie w mazi. Zapadasz się po ramiona i zastanawiasz, jak się podciągnąć, żeby dalej ruszyć. W pewnym momencie pełzłam na kolanach. Trzciny poprzecinały mi ręce, miałam poobijane piszczeczki, ale w ogóle nie czułam bólu. Za to strasznie chciało mi się pić”.

W tym biegu nie było rywalizacji. Walka toczyła się przede wszystkim z własnymi słabościami. Marta podkreśla, że nawet najlepsi zawodnicy nie byli obojętni na los pozostałych uczestników. Wyciągali pomocną dłoń bez względu na to, jak przekładałoby się to na ich lokatę. „Nie znałam tych ludzi, a przez cały czas czułam się jak wśród bliskich. Fakt, po dotarciu na metę byłam w szoku i czułam złość, że organizatorzy poprowadzili tak trudną trasę, ale te emocje po chwili minęły. Słyszałam o Katorżniku wiele, ale zupełnie czymś innym jest odczuć to na własnej skórze. Organizatorzy mają wielkie serce, a atmosfera jest niepowtarzalna. Nie dziwię się, że zawodnicy wracają tam z całymi rodzinami”.

TO NIEHONOROWE

Janusz Szywała, weteran misji Organizacji Narodów Zjednoczonych w Syrii oraz zwycięzca tegorocznej klasyfikacji seniorów, skończył w tym roku 65 lat. O Biegu Katorżnika dowiedział się przypadkiem cztery lata temu. Wygrał licytację organizowaną przez Jednostkę Wojskową Komandosów, a główną nagrodą było uczestnictwo w zawodach. Dopiero po ogłoszeniu wyników sprawdził, na co się zdecydował. „Rezygnacja nie wchodziła w grę. Dlatego zacząłem się przygotowywać. Nie miałem wiele czasu, raptem dwa miesiące. Bieg okazał się bardzo ciężki. Przez całą drogę zastanawiałem się, co ja tutaj robię. Pojawiła się także pokusa od-

puszczenia sobie. Ja jednak tak nie potrafię, to niehonorowe. Na miejscu spotkałem znajomego. Wspieraliśmy się na trasie i ostatecznie udało się ją pokonać w około cztery godziny”, wspomina Janusz Szywała. Dla niego to był początek nowej pasji. Podszedł do biegania na poważnie i rozpoczął cykliczne treningi. Rok później ponownie wystartował w Biegu Katorżnika. W jednej z trzech kategorii dla mężczyzn zajął 98. miejsce na blisko 150 uczestników.

„Byłem najstarszy. Obawiałem się startu, ale mój organizm już przyzwyczaiał się do wysiłku, a ja wiedziałem, o co chodzi w Katorżniku. Na trasie byłem lepszy od wielu trzydziestolatków, ale przede wszystkim pokonałem ogrom trudności. Dzięki takiemu doświadczeniu człowiek jest pewniejszy siebie, ma inaczej poukładane w głowie. Wie, że w trudnym momencie nie odpuści”, tłumaczy Janusz Szywała. Rygorystycznej diety nie trzyma, ale regularnie trenuje. Jeżeli zaplanuje pokonanie 17 km, a zaczyna padać deszcz, on wkłada buty i biegnie. Choć to spory wysiłek, uważa, że zdrowie ma coraz lepsze. Nie choruje, ustąpił także ból kręgosłupa.

Jego kalendarz obejmuje wiele startów, w tym biegi Powstania Warszawskiego oraz Niepodległości. W każdym z nich reprezentuje Zrzeszenie Weteranów Działań poza Granicami Państwa. Jedynie na Bieg Katorżnika wkłada inną koszulkę. „Po biegu w Lublińcu wszystkie ubrania trzeba wyrzucić. Nie wyobrażam sobie, żeby tak potraktować koszulkę z symbolami narodowymi”, zaznacza Janusz Szywała.

Większość zawodników dobiega na metę ostatkiem sił. Po symbolicznym odznaczeniu podkową katorżnika padają na ziemię i walczą o oddech. Niektórzy płaczą. Inni ściskają bliskich. Każdy wygrał najważniejszą walkę, jaką można stoczyć – z lękiem oraz własnymi słabościami. Niemal wszyscy staną ponownie na linii startu za rok. ■

Lubelskie

Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego



Lublin



MIASTO INSPIRACJI



5 PAŹDZIERNIKA
LUBLIN

Hala MOSiR
al. Zygmuntowskie 4

JEDYNE W EUROPIE WYDARZENIE SPORTOWE, W KTÓRYM BIORĄ UDZIAŁ WOJOWNICY
W MUNDURACH – ZAWODOWI ŻOŁNIERZE WALCZĄCY W KLATCE NA ZASADACH MMA.

POLSAT

SPORT HD



PLASTIXAL
PRODUCENT OBIĘT I ORZU

APIS

SALONY WYPOSAŻENIA
ŁAZIENEK I WNĘTRZ

LEONE
1947



PITBULL
WEST COAST

MIML
Centrum Medyczne

KGH

KGH POLSKA Sp. z o.o.

WPH

WOJSKOWE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWE

mosir Lublin



Film „Nie wszystko mi wojna zabrała” opowiada historię dwóch bojszowiaków wcielonych do Wehrmachtu. Na zdjęciu bohater rozmowy

ŚLĄSKIE SCENY Z ŻYCIA

*Z Józefem Kłykiem
o westernie śląskim, doświadczeniach
z planu „Hubala”, powstaniach śląskich
i dramatycznych losach Ślązaków w II wojnie
światowej rozmawia Piotr Korczyński.*

Kiedy służył pan w jednostce saperów w Łodzi, znalazł się pan na planie „Hubala”, uważanego za jeden z najlepszych polskich filmów wojennych. Jak do tego doszło?

Jako saperzy zajmowaliśmy się efektami pirotechnicznymi, ale też statystowaliśmy w scenach walk. W mojej jednostce było sporo Ślązaków, którzy posługiwali się dobrze zarówno gwarą śląską, jak i językiem niemieckim, więc najczęściej odgrywaliśmy wehrmachtowców. Dochodziło często do zabawnych epizodów, jak na przykład ten związany z niemieckimi hełmami, które na potrzeby filmu wykonano z plastiku. W jed-

WOJNA SIĘ SKOŃCZYŁA. W DOMU NA OJCA CZEKALI UBECY. NIE DLATEGO, ŻE SŁUŻYŁ W WEHRMACHCIE, LECZ U ANDERSA

nej ze scen weszliśmy jako oddział niemiecki między dwie płonące stodoły. Tam panował taki żar, że hełmy odkształciły się na naszych głowach i zaczęły przypominać te należące do Armii Czerwonej. W kłęby dymu wchodzili Niemcy, a wybiegali z nich... Rosjanie. Trzeba było przerwać zdjęcia i sprowadzić prawdziwe, stalowe hełmy niemieckie.

Pana przygoda z filmem rozpoczęła się jednak znacznie wcześniej.

W dzieciństwie na strychu rodzinnego domu, w którym notabene przed wojną było kino, znalazłem stare numery niemieckiego pisma „Filmwelt”. Były w nich na przykład piękne fotosy z planu „Gorączki złota”. Całe to „zaplecze ułudy” od razu zawładnęło moją wyobraźnią. Wzorowałem się wtedy na Charliem Chaplinie, ale też Douglasie Fairbanksie, który występował m.in. w westernach. Z nim są związane moje pierwsze fascynacje Dzikim Zachodem. Zacząłem wtedy przygotowywać westernowe akcesoria: pasy z ładownicami, kołty, kamizelki, kapelusze. Szukałem też dyliżansu, bo chciałem nakręcić klasyczną westernową scenę napadu na taki pojazd. Przypomniałem sobie wówczas, że w Bojszowach jest stary landauer [w śląskiej gwarze oszklona karetka]. Jego właściciel Tomek Rogalski to był koniarz pełną gębą. Wykorzystywał konie do prac polowych, ale lubił też popisywać się swoimi umiejętnościami jeździeckimi. Miałem wtedy zaledwie 17 lat, kiedy więc przyszedłem do niego z kolegami, popatrzył na mnie jak na smarkacza, ale powiedział: „Dobra, ale wam koni nie dom, bo jeszcze pieroństwa narobicie, przeca wyście som smarkocze, chyba że jo som pojada”. Kiedy Rogalski pojawił się na planie, ze zdumieniem zobaczyłem, że na głowie ma pszczyński kapelusz z szerokim rondem, flanelową koszulę

WIECZOREK/DZIENNIK ZACHODNI



Kadr z filmu „Szlakiem bezprawia. Człowiek znikąd”, 1983 rok

JAK KAZIMIERZ KUTZ ZOBACZYŁ „CZŁOWIEKA ZNIKĄD”, TO CHWALIŁ: „WY TAM JESTEŚCIE NATURALNI, BO ŚLĄZACY W TEKSASIE NIE KUPOWALI KONI DLA OZDOBY, TYLKO DO ROBOTY, PO ROBOCIE SIADALI WIĘC NA SVOJE WIERZCHOWCE I KLECHTALI JAK UMIELI DO SALOONU NA PIWO”



w kratę, westa, czyli kamizelkę, wysokie skórzane buty i tzw. manszestroki – obcisłe spodnie. Tylko pas z koltami mu przypiąć i gotowe! Ale najbardziej zdziwiła mnie kowbojska chusta na jego szyi. Powiedziałem mu wtedy: „Panie Tomku, ta chusta toście se chyba do szpanu przywiązali”. A on na to: „Nie, synku. Jak jeżdża po polu, pot się ze mnie leje, to tu mom lejce, tu bat, tu wajchy przeciepuje od maszyny – to chustą wycierom pot, a potem ona schnie na plecach, bo jom obra-com”. Używał chusty tak jak kowboje na prerii! Zresztą, jak Kazimierz Kutz zobaczył „Człowieka znikąd”, to chwalił: „Wy tam jesteście naturalni, bo Ślązacy w Teksasie nie kupowali koni dla ozdoby, tylko do roboty, po robocie siadali więc na swoje wierzchowce i klechtali jak umieli do saloonu na piwo”.

Nakręcił pan również filmy opowiadające o losach mieszkańców Bojszów w czasie powstań śląskich, które były nie mniej dramatyczne od przeżyć Ślązaków w Teksasie.

Pierwszy film o powstaniu śląskim nakręciłem w 1976 roku. Scenariusz „Ku Polsce” oparłem na wspomnieniach jeszcze żyjących wtedy dwóch weteranów powstań z Bojszów – Konrada Kapiasa i Wiktora Piekorza, którzy przeżyli pogrom w III powstaniu śląskim. Jednak ja skupiłem się w filmie na motywach z I powstania. W 1919 roku Bojszowcy byli po niemieckiej stronie, ale w oddalonym o kilka kilometrów Oświęcimiu w czerwcu 1919 roku zainstalował się sztab Polskiej Organizacji Wojskowej. Rozkazał on bojszowiakom zdobywać broń ze składu znajdującego się w niemieckim dworze. Oni chętnie to zrobili. Myśleli jednak, że broń zostanie wykorzystana w planowanym powstaniu, więc zgłaszali się z nią do sztabu w Oświęcimiu. Tam ją odbierano i oznajmiano, że jest potrzebna do walki z bolszewikami na wschodniej granicy. Chłopcy się zbuntowali, za co zostali wtrąceni przez Polaków do aresztu. Wtedy doszło do paradoksalnej sytuacji – bojszowiacy byli wyjęci spod prawa zarówno przez niemieckie, jak i polskie władze. Kiedy jednak w sierpniu 1919 roku wybuchło powstanie, stanęli do

walki. Zabili czterech grenschützów [ochotniczy oddział milicji terytorialnej], ale ich dowódca zdołał uciec w kobiecym przebraniu i sprowadził odsiecz. Gdy Niemcy otoczyli wieś, żeby ją spacyfikować, trwało w niej wesele. Ci, którym udało się wyrwać z kotła, ratowali się ucieczką przez Wisłę na polską stronę. O tych wydarzeniach opowiada mój film.

Pokazuje pan również pogmatwane losy Ślązaków w II wojnie światowej. Czy w tych filmach korzystał pan z doświadczeń frontowych ojca?

Co ciekawe, w życiu mojego ojca miał miejsce iście wester-nowy epizod. Zanim ojciec trafił do 2 Korpusu gen. Andersa, został wzięty do amerykańskiej niewoli. Schwytili go indiańscy zwiadowcy, którzy zamiast hełmów mieli rytualne przepaski, a w dłoniach dzierżyli noże bowie. Zaczniemy jednak od początku. Ojciec został wcielony do Wehrmachtu, chociaż miał tylko jedno oko. Stracił je jako szesnastolatek przy rąbaniu drewna. Z tego powodu zresztą nie wzięto go do Wojska Polskiego. Nie przeszkadzało to jednak Niemcom w 1940 roku. Kiedy ojciec zameldował werbującemu go oficerowi, że nie widzi na jedno oko, ten mu odpowiedział: „Ty jesteś tutaj najlepiej przygotowany ze wszystkich do wojska – inni muszą przy strzale oko przymykać”.

Długo pana ojciec służył w niemieckiej armii?

W sumie w jej szeregach „zwiedził” 12 krajów. Kiedy stacjonował w Przemyślu, został wybrany na łącznika i często jeździł pociągami do Warszawy z jednym z oficerów. Opowiadał mi, że podróż zaczynał zawsze w przedziale „Nur für Deutsche”, ale szybko przechodził do polskiego. Tam współpasażerowie niezbyt przychylnie patrzyli na jego mundur. Pewnego razu dość swobodnie opowiadali o kontrabandzie, którą mieli poukrywać w bagażach i pod ubraniem. Przed samą Warszawą ojciec nagle się odezwał, ku ich konsternacji, po polsku: „Słuchajcie, jak wy to chcecie wszystko przewieźć? Przecie zara będzie



ARCHIWUM JÓZEFA KŁYKA

żandarmiska sztraufa i wszystkich was przymkną”. Zwrócił się też do siedzącej obok nastolatki: „W tym futerale to chyba mosz granaty, bo na same skrzyпки to jest za ciężkie”. Wszyscy zbledli, a tata powiedział: „Jo wom to przeniese”. Żandarmi oczywiście zatrzymali żołnierza obładowanego walizkami. Wtedy ojciec wskazał na swojego dowódcę siedzącego w wagonie i krzyknął: „Przymknijcie mordy, bo to wszystko należy do niego!”. Oficer wyjrzał tylko przez okno i potwierdził: „Ja, ja”. W ten sposób zaczęła się współpraca ojca z polskim podziemiem.

Później trafił do prawdziwego piekła, na front wschodni...

Najpierw był w Sewastopolu, gdzie walki toczyły się w upale dochodzącym do 50 stopni Celsjusza. Kiedy dotarł do Stalingradu, zaczęła się zima i temperatura osiągała minus 50. Ojcu jednak udało się wyrwać ze stalingradzkiego kotła dzięki znajomemu oficerowi, który wypisał mu przepustkę. Razem z pewnym Bawarczykiem jednak zdezerterowali i obaj dotarli aż do Rumunii. Tam zostali aresztowani przez SS i postawieni pod ścianą. Szczęśliwy traf chciał, że przejeżdżał tamtędy tenże znajomy oficer z niedobitkami ich oddziału i zaświadczył, że skazańcy nie są deztererami, tylko żołnierzami wysłanymi na rekonesans. Przecież każdy filmowiec bałby się wymyślić taką historię, by nie zostać posądzony o zbytnią fantazję! Później byli Węgry, Czechy i krótki pobyt w domu. W Bojszowach ktoś doniósł do pobliskiego Auschwitz, że po okolicy kręci się dwóch żołnierzy w polowych mundurach ze śladami odmrożeń na twarzach – najprawdopodobniej dezterterzy z frontu wschodniego. Oficer SS, który przyjechał do domu, dał obu alternatywę: albo czapa, albo powrót do macierzystej jednostki do Przemyśla. Stamtąd jednak zimą 1944 roku ojciec niespodziewanie znowu został wysłany na front wschodni, ale ostatecznie trafił z oddziałem na Zachód. I tak broniąc, a raczej udając, że broni Frankfurtu przed Amerykanami, trafił do niewoli.

Po kilku dniach do obozu jenieckiego przyjechali polscy oficerowie i ogłosili, żeby zgłaszali się ci, którzy czują się Polakami. Kilku chłopaków wystąpiło, ale ojciec postanowił poczekać. Dobrze zrobił, bo w nocy Niemcy im wszystkim poderżnęli gardła. Następnym razem polscy werbownicy przyjechali już w ciężarówkach i wtedy ojciec wpisał się na listę chętnych do Wojska Polskiego. Po tym, jak opuścili obóz, wywieziono ich do Marsylii. Jechali stłoczeni w otwartych lorach kolejowych, a Francuzi myśleli, że to jeńcy niemieccy, więc z mostów i wiaduktów lali na nich wrzątek i rozgrzaną smołę. W Marsylii zostali przemundurowani w brytyjskie battle dresy

z naszywkami z napisem „Poland” i popłynęli do Neapolu. Stamtąd zawieziono ich do Bari i wcielono do pancernego pułku 2 Korpusu. To było po kampanii włoskiej, więc zaczęli ćwiczyć walkę z... Japończykami, dlatego że wtedy planowano wysłać Polaków na front japoński. Tymczasem wojna się skończyła. W domu na ojca czekali ubecy. Nie dlatego, że służył w Wehrmachcie, lecz u Andersa... Szczęście udało im uciec i przez rok się ukrywał. Na kanwie przeżyć ojca zrobiłem właśnie „Czterech synów ojciec miał” i „Nie wszystko mi wojna zabrała”.

Wykorzystał pan w filmach wiele innych relacji Ślązaków z frontów II wojny światowej. Która najmocniej utkwiła panu w pamięci?

W „Nie wszystko mi wojna zabrała” opowiedziałem historię dwóch bojszowiaków wcielonych do Wehrmachtu, którzy trafili do Lwowa. Tam pewnego dnia stali pod koszarami i palili papierosy. Nagle podeszła do nich młoda kobieta z dzieckiem na rękach i zapytała: „Panowie, wy po polsku mówicie, a jesteście w armii niemieckiej?”. A oni odpowiadają: „My po śląsku se godomy, a ty co, a chej mosz chłopą?”. „Mojego męża Ruscy zabrali”. „A ty tu pod koszary nie łaż, bo będą źle o tobie myśleć”, poradzili jej życzliwie. „Ale ja nie mam swojemu dziecku co dać jeść”. Od tego czasu Ślązacy codziennie przygotowywali jej paczkę żywnościową. Któregoś dnia ich oddział dostał jednak rozkaz wyjazdu na front w głąb Rosji. Jeden z nich podczas walk został ciężko ranny, kolega myślał, że on nie żyje, więc wziął jego nieśmiertelnik, który oddał żonie poległego. Później się z nią ożenił i urodziło im się dziecko. Kiedy nadszedł 1956 rok, Rosjanie zwolnili z niewoli ostatnich jeńców spod Stalingradu. Wtedy okazało się, że kolega jednak przeżył wojnę! I jest w filmie taka scena, kiedy ten ocalały, w zniszczonej kufajce, postarzały w niewoli, wchodzi do swojego domu, a tutaj była żona z jego frontowym kolegą bawią małe dziecko. Popatrzył chwilę i powiedział: „A, to wyście się już pobrali... To my byli ino bezdzietnym małżeństwem, to jo wom nie bede wchodził w paradę”, i pojechał do Pszczyny ułożyć sobie życie na nowo. Do miasta przyjechali wtedy repatrianci ze Wschodu. Mężczyzna jakby piorunem rażony stanął na środku drogi, bo w tłumie zobaczył znajomą kobietę ze Lwowa! Ona też go poznała: „To pan, pan nam chleb nosił!”. Okazało się, że jej mąż zginął w rosyjskim łagrze. Mężczyzna zaopiekował się nią i tak, nieoczekiwanie, zdobył nową rodzinę. ■

JÓZEF KŁYK jest twórcą westernów śląskich oraz filmów wojennych, które kręci w Bojszowach pod Pszczyną.



W dzieciństwie wzorowałem się na Douglasie Fairbank-sie, który występował m.in. w westernach. Z nim są związane moje pierwsze fascynacje Dzikim Zachodem.

KOMU STRYCZEK, KOMU KULA...

Swoją biografię ma każdy z nich, niekiedy zabawną, często tragiczną, wplecioną w burzliwą historię. Wszyscy, o których pisze Piotr Korczyński, przetrwali w kronikach, choć z różnych powodów.

KSIĄŻKA

Piotr Korczyński, „Dla ojczyzny ratowania; szubienica pal i kula. Dyscyplina w dawnym Wojsku Polskim”, PWN, 2019.

Gdyby królowie hollywoodzkich superprodukcji historycznych Ridley Scott i Mel Gibson potrzebowali kolejnego bohatera do swojego filmu, z powodzeniem mogliby ograniczyć poszukiwania do historii naszego kraju. Wystarczy przeczytać najnowszą książkę Piotra Korczyńskiego, aby przekonać się, że materiału na kolejne scenariusze wystarczyłoby dla trzech pokoleń reżyserów w fabryce snów. A korowód to niezwykle różnorodny. Rycerze, złodzieje, piraci, napoleońscy oficerowie, żuawi śmierci, powstańcy, książęta, żołnierze z armii Andersa i Berlinga. Każdy ma swoją biografię, niekiedy zabawną, często tragiczną, wplecioną w burzliwą historię. Wszyscy, o których pisze Korczyński, przetrwali w kronikach, choć z różnych powodów. Jedni gonili za złotem i chwałą, inni szukali przygody. Jeszcze innych motywowały głęboki patriotyzm i poczucie honoru. Gdy była potrzeba, chwyтали za broń, wkładali zbroję lub wstępowali do armii, gdzie poddawali się wojskowemu reżimowi. A utrzymanie dyscypliny w polskim wojsku, czy to za czasów Władysława Jagiełły, czy Władysława Andersa, wcale nie było łatwe.

Podobno hetman Jan Tarnowski zawsze w obozie wojskowym stawiał dwie szubienice. Na jednej



wieszano za przestępstwa wojskowe, na drugiej – za pospolite. Jarema Wiśniowiecki podczas oblężenia Zbaraża kazał dezertantom obcinać ręce i nogi. W czasie powstania styczniowego za najdrobniejsze przewinienia można było trafić do karnych kompanii kosynierów, a podczas II wojny światowej na Zachodzie niezdiscyplinowanych lub z różnych względów niewygodnych żołnierzy wysyłano do obozów izolacyjnych ulokowanych w Szkocji. W Armii Berlinga funkcjonowały

oparte na sowieckich wzorcach oddziały dyscyplinarne. Zdarzało się, że za karę żołnierza odsyłano z armii tam, skąd przybył, czyli do miejsca zsyłki, a więc do piekła.

Wszystkie wyjątkowe biografie, opisy problemów z dyscypliną i dezercją, które pojawiają się u Korczyńskiego, zmierzają do jednej konkluzji, wydawałoby się bardzo oczywistej, ale ważnej, bo dotyczącej pewnej prawdy ogólnej. Otóż historia, drodzy państwo, nie jest nigdy czarno-biała. Historia to suma ludzkich strachów, wypadkowa zdarzeń, które łatwo oceniać z perspektywy czasu, jednak trudno przewidzieć, gdy się dzieją. A dowodem powyższego jest właśnie ta książka.

JOANNA ROCHOWICZ

KSIĄŻKA

Szpieg już bez maski

Na damę. To była jedna z jej metod działania. Kiedy ruszała na akcję, zawsze elegancko się ubierała, robiła staranny makijaż i wkładała bardzo drogie futro, które zresztą kilka razy uratowało jej życie. Jak twierdziła, taki wygląd sprawiał, że nikt nie podejrzewał jej o konspirację. Naiwne? Może trochę. Niemniej jednak skuteczne, ale prawdopodobnie tylko w wykonaniu tej kobiety. **Izabella Horodecka** (na zdjęciu), bo o niej mowa, była odpowiedzialna za przygotowanie akcji likwidacyjnych od strony wywiadowczej i logistycznej. To ona stoi za 23 egzekucjami wykonanymi przez Polskie Państwo Podziemne w czasie II wojny światowej na zdrajcach, konfidentach, szmalcownikach. Z jej wskazania został wykonany wyrok śmierci m.in. na znanym aktorze Igo Symie.

Była piekielnie inteligentna, skrupulatna i w każdej sytuacji potrafiła zachować zimną krew. Jak twierdziła po latach, miała taką „przypałość”, że nie odczuwała strachu. Jedną z jej ról było przyniesienie broni na akcję i zebranie jej po wszystkim. Kiedyś rozewrywała się jej torba i steny wysypały się na ulicę. Spokojnie zdjęła futro, za-

pakowała w nie pistolety i odeszła. To zaledwie strzępek informacji o Izabelli Horodeckiej, a całe jej życie to gotowy scenariusz na film szpiegowski z niezwykle romantycznym wątkiem miłosnym. Dopóki taki nie powstanie, warto sięgnąć po książkę Przemysława Słowińskiego „Kobiety wywiadu”. Obok tak już „wyeksploatowanych” postaci jak Krystyna Skarbek, Coco Chanel, Mata Hari czy Elżbieta Zawacka, pokazuje w niej mniej znane historie, często bardzo kontrowersyjne lub niezwykle tajemnicze. Tak jak Heleny Mathej-Służewskiej, jednej z najpotworniejszych zbrodniarek i bezwzględnej agentki gestapo, a może... ofiary niefortunnych zbiegów okoliczności.

Niestety ta publikacja ma pewne wady. Przestrzelono na przykład świetny zresztą pomysł na obudowanie głównego tekstu ramkami z informacjami dotyczącymi pewnych wydarzeń czy instytucji. Niestety są one dość przypadkowe, chaotycznie ustawione i co gorsza niektóre zawierają osobiste uwagi autora bardziej odpowiednie w felietonie. Niemniej jednak warto sięgnąć po tę lekturę. ■



Przemysław Słowiński, „Kobiety wywiadu”, Fronda, 2019.

ANETA WIŚNIEWSKA

KSIĄŻKA

ZROZUMIEĆ AFGANISTAN



O tym nieujarzmionym przez żadnego z najeźdźców kraju napisano wiele opracowań. Zawarto w nich przemyslenia i refleksje żołnierzy, którzy w składzie polskich kontyngentów wojskowych brali udział w operacji wsparcia poko-

ju pod egidą NATO. Ta monografia jest nieco odmienna w swej narracji i zawiera fakty, które pozwolą poszerzyć wiedzę zarówno o celach prowadzenia wojny, jak i skutkach pomocy ekonomicznej (zwłaszcza finansowej), którą społeczność międzynarodowa zaoferowała władzom Afganistanu. Autor, pełniąc obowiązki w dowództwie strategicznym ISAF, oceniał prowadzone działania militarne przez pryzmat celów operacji, które zostały ustalone w jej początkowej fazie. Prezentuje teraz, jak najważniejsze z nich, czyli odbudowa struktur państwowych, podniesienie poziomu bezpieczeństwa obywateli tego kraju i wsparcie rozwoju gospodarczego, były osiągane w trakcie jego służby w Kabulu.

Ryszard Demczuk w książce „Mudżahedini, talibowie i opium” pokazuje najistotniejsze zagadnienia dotyczące aktualnej sytuacji w Afganistanie, które były tematem rozmów w trakcie szczytów NATO oraz konferencji międzynarodowych. Porusza problem narkobiznesu i nieskuteczności walki z nim. Wyjaśnia, jak dowództwo operacji reagowało na bieżącą sytuację w tym kraju i jakie rozwiązania wcielano w życie, by prowadzone działania były bardziej skuteczne. Dokonuje też próby nakreślenia błędów popełnionych w trakcie prowadzenia operacji ISAF i wskazuje, jaki był ich skutek. ■

JAN BRZOZOWSKI

Ryszard Demczuk, „Mudżahedini, talibowie i opium”, Bellona, 2019.



ANDRZEJ FAŁARA

Ucieczka „Orła”

W rocznicowym szumie wydarzeń upamiętniających wybuch II wojny światowej zniknie zapewne wspomnienie o ucieczce okrętu podwodnego „Orzeł” z Tallina. Ta brawurowa akcja polskiej jednostki została przeprowadzona dokładnie 80 lat temu. „Orzeł” przybił do portu w stolicy Estonii 14 września 1939 roku, dzień później został internowany, a po kolejnych trzech dobach umknął w siną dal.

Daty są ważne. Wszak 17 września, czyli dzień przed ucieczką „Orła”, Armia Czerwona przekroczyła polską granicę. Z kolei niepodległość Estonii po wybuchu II wojny światowej wisiała na włosku. W powyższej sytuacji przedłużanie pobytu polskiego okrętu w Tallinie było niemal równoznaczne z oddaniem się w ręce wroga. Wszystko jedno którego.

Historię „Orła” Polacy starszego pokolenia znają ze znakomitego filmu Leonarda Buczkowskiego. Młodzi nie oglądają takich staroci, więc była chyba najwyższa pora, nie nie ujmując dziełu sprzed 60 lat, by nakręcić nową wersję. Z tego co słyszałem, zakończyły się już zdjęcia, film ma wejść na ekrany na początku przyszłego roku. Roboczy tytuł: „Orzeł. Ostatni patrol”, reżyser: Jacek Bławut.

U Buczkowskiego członkowie załogi okrętu noszą fikcyjne nazwiska. Nie wiadomo do końca dlaczego. Może twórcy filmu zabezpieczali się w ten sposób przed pretensjami historyków o przeinaczanie prawdy? Ale nazwy okrętu przecież nie zmienili. Poza wszystkim, scenariuszowego bajkopisarstwa nie jest wcale w tym starym „Orle” tak dużo. Ciekawe, czy w nowym filmie scenarzyści popuszczą wodze fantazji. Wiadomo w każdym razie, że kapitan Grudziński jest tu kapitanem Grudzińskim, a bosman Kotecki bosmanem Koteckim.

W tej nowej wersji brak jest postaci najciekawszej z dramaturgicznego punktu widzenia, a mianowicie kmdr. ppor. Henryka Kłockowskiego. To on był dowódcą „Orła”, gdy okręt zawinął do portu w Tallinie. Od dłuższego czasu chorował, wydawało się, że wymaga poważnej kuracji. W Tallinie trafił do szpitala, a „Orzeł” uciekał z portu bez niego. Można więc domniemywać, że nowy film opowiada o dalszych, już potallińskich losach okrętu, gdy Kłockowskiego nie było na pokładzie.

Były dowódca „Orła” w 1942 roku stanął przed Polskim Sądem Morskim w Londynie. Został oskarżony o dezercję i zdegradowany do stopnia marynarza. Orzeczoną karę więzienia (cztery lata) zawieszono mu na czas wojny. W późniejszych latach podejmował próby rewizji wyroku, ale nie był w stanie dostarczyć dowodów świadczących o swojej niewinności. Zadanie miało trudne. Jego podkomendni z „Orła” nie mogli zeznawać. Okręt zaginął z niewyjaśnionych przyczyn podczas patrolu na Morzu Północnym, na przełomie maja i czerwca 1940 roku. ■

Nowe programy kształcenia

Od nowego roku szykują się zmiany w kształceniu podoficerów. Kursy będą krótsze, dzięki czemu weźmie w nich udział więcej niż obecnie szeregowych zawodowych.

PAULINA GLIŃSKA

Przygotowane zmiany dotyczą w sumie trzech kursów. Pierwszy to tzw. bazowy kurs podoficerski dla szeregowych zawodowych, dwa pozostałe to kursy kwalifikacyjne dla kandydatów do wyższych grup w korpusie podoficerów i podoficerów starszych.

Najbardziej zmieni się kurs podoficerski dla szeregowych zawodowych aspirujących do stopnia kaprała. Kursy takie są prowadzone obecnie w szkołach podoficerskich w Poznaniu, Dęblinie i Ustce. Jedną ze zmian jest krótszy czas ich trwania. Zamiast sześciu miesięcy (kwartalne szkolenie ogólnowojskowe i trzymiesięczna część specjalistyczna) bazowy kurs potrwa łącznie 81 dni. Najpierw przez trzy tygodnie żołnierz e-learningowo będzie przyswajał wiedzę teoretyczną z zakresu m.in. metodyki, przepisów prawnych, regulaminów, dowodzenia, kształcenia obywatelskiego, łączności czy międzynarodowego prawa humanitarnego konfliktów zbrojnych. Pozostałe 60 dni kursu kandydat na kaprała spędzi w szkole podoficerskiej. Tu czeka go więcej niż dotychczas zajęć praktycznych z metodyki, dowodzenia i przywództwa. Jako nowość pojawi się

przedmiot operacje informacyjne. Uczestnicy kursu poznają m.in. zagadnienia dotyczące zasad używania telefonów komórkowych, aktywności w mediach społecznościowych, przekazywania informacji w warunkach ćwiczeń i szkoleń poligonowych.

Zmiany obejmą też kształcenie specjalistyczne. Obecnie szeregowy zawodowy po kwartalnym szkoleniu ogólnym kierowany jest na trzymiesięczną „specjalistykę” do jednego z centrów szkolenia. W praktyce często jednak bywa tak, że gdy jako absolwent kursu wraca do swo-



KOMENTARZ

**SŁAWOMIR
NASTAROWICZ**

Prace nad nowym standardem kształcenia kandydatów na podoficerów oraz programów nauczania rozpoczęliśmy w 2018 roku. W grudniu gen. broni Rajmund T. Andrzejczak, szef Sztabu Generalnego WP, powołał w tym celu specjalny zespół, w którego skład weszło ponad 30 osób, w tym reprezentanci szkół podoficerskich, dowództw rodzajów sił zbrojnych i jednostek wojskowych. Prace koordynował Zarząd Planowania Użycia

Sił Zbrojnych i Szkolenia P3/P7 Sztabu Generalnego WP. Wzięliśmy pod uwagę postulaty i propozycje zebrane od dotychczasowych uczestników kursów, dowódców jednostek wojskowych oraz kadry szkół podoficerskich. Określiliśmy też konkretne oczekiwania wobec absolwenta kursu: jaką wiedzę oraz jakie umiejętności i kompetencje powinniśmy mu przekazać. Efektem kilku miesięcy pracy są trzy programy kształcenia. ■

St. chor. sztab. SŁAWOMIR NASTAROWICZ
jest starszym podoficerem Sztabu Generalnego WP.



jej jednostki, dowódca kieruje go na kolejny specjalistyczny kurs przygotowujący do objęcia danego stanowiska, zgodnie z potrzebami jednostki.

W nowym programie kształcenia całkowicie zrezygnowano więc z modułu specjalistycznego. Założenie jest takie, że uczestnicy przyszłorocznych kursów będą realizowali szkolenie specjalistyczne już po zakończeniu kursu w szkole podoficerskiej.

Skrócenie czasu trwania kursu w praktyce oznacza, że w szkoleniach w szkołach podoficerskich będzie mogło wziąć udział znacznie więcej szeregowych. Według wstępnych szacunków liczba kandydatów zwiększy się o oko-

KURSY SĄ PROWADZONE W SZKOŁACH PODOFICERSKICH W POZNANIU, DĘBLINIE I USTCE. ZAMIAST SZEŚCIU MIESIĘCY POTRWAJĄ ŁĄCZNIE 81 DNI

ło 80%. Po pierwszych przyszłorocznych turnusach planowana jest wstępna ewaluacja programu kształcenia.

Od przyszłego roku zmiany czekają także już służących podoficerów, przewidywanych do wyznaczenia na stanowiska o stopniach etatowych: podoficera i podoficera starszego. Obecnie

kursy kwalifikacyjne dla tych grup żołnierzy trwają około dwóch miesięcy. Zmiany, podobnie jak w bazowym kursie podoficerskim, zakładają dopasowanie treści programowych do bieżących potrzeb, skrócenie czasu trwania oraz uaktualnienie zawartości modułów kształcenia zdalnego. Od nowego roku kursy będą trwały około dwóch tygodni nauki stacjonarnej oraz odpowiednio: 52 godziny i 63 godziny e-learningu. W przypadku obu kursów pojawią się także zajęcia z cyberbezpieczeństwa.

Nowe programy kształcenia zostały zatwierdzone przez szefa Sztabu Generalnego WP. Będą obowiązywać od 1 stycznia 2020 roku. ■

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Studia dla przyszłych oficerów

MON określiło limit przyjęć na studia wojskowe w roku akademickim 2020/2021 – na chętnych czeka 1411 miejsc.

Wresorcie obrony narodowej przygotowany został projekt rozporządzenia dotyczącego przyszłorocznego naboru na studia wojskowe. Zgodnie z propozycjami limit przyjęć ma wynieść 1411 miejsc.

Najwięcej, bo 800 kandydatów, przyjmie Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie. Będą oni mogli studiować na dziesięciu kierunkach, w tym na elektronice i telekomunikacji, kryptografii i cyberbezpieczeństwie, informatyce oraz mechatronice i logistyce.

Na AWL-u na kandydatów na żołnierzy zawodowych będzie czekało 365 miejsc. Tradycyjnie

najwięcej osób będzie mogło studiować dowodzenie (285), 60 ochotników zostanie przyjętych na inżynierię bezpieczeństwa, a 20 na logistykę.

Akademia Marynarki Wojennej wręczy indeksy 130 osobom. Rozpoczną one studia na: systemach informacyjnych w bezpieczeństwie, nawigacji, mechatronice, mechanice i budowie maszyn oraz informatyce.

Trzy kierunki do wyboru oferuje z kolei Lotnicza Akademia Wojskowa. Tu podchorążymi pierwszego roku będzie mogło zostać 116 osób. Większość z nich (78) może studiować lotnictwo i kosmonautykę, pozostali logistykę i nawigację. PG ■

SPRAWY ŻOŁNIERZY

MIEJSCA NA KURSACH OFICERSKICH

W przyszłorocznych kursach będzie mogło wziąć udział ponad pół tysiąca kandydatów na podporuczników.

Zgodnie z tegoroczną decyzją MON-u w sprawie naboru na szkolenie wojskowe kandydatów na oficerów, w przyszłym roku w kursach oficerskich będzie mogło wziąć udział ponad 500 osób. Oferta jest adresowana do osób posiadających tytuł magistra lub równorzędną, w tym absolwentów uczelni wyższych niebędących żołnierzami zawodowymi oraz podoficerów i szeregowych zawodowych. Szkolenie na oficerów będą prowadziły cztery wojskowe akademie. Najwięcej, bo 345 kandydatów, przyjmie wrocławska Akademia Wojsk Lądowych. 132 ochotników będzie się szkolić w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, 53 – w Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie, a 12 w gdyńskiej Akademii Marynarki Wojennej.

Większość miejsc jest przeznaczona dla podoficerów. Sześciomiesięczne kursy dla tej grupy żołnierzy będą prowadzone we wszystkich czterech uczelniach. Czas na złożenie wniosku do dyrektora Departamentu Kadr MON żołnierze mają do 30 września 2019 roku. Podoficerowie razem z cywilami będą też mogli wziąć udział w kursach trzymiesięcznych organizowanych we wrocławskiej Akademii. Na tych najkrótszych kursach przygotowano w sumie 25 miejsc. Kwartalne szkolenie przejdą kandydaci na wojskowych lekarzy, weterynarzy, farmaceutów, ratowników medycznych, a także prawników i prokuratorów. W tym przypadku termin składania wniosku upływa 24 stycznia 2020 roku.

O miejsce na kursie oficerskim będą mogli ubiegać się także szeregowi zawodowi. W ich przypadku poza dyplomem studiów wyższych wymogiem jest także co najmniej trzyletni staż służby. Dla tej grupy żołnierzy przygotowano tym razem 71 miejsc. Kursy dla szeregowych będą prowadzone we wrocławskiej Akademii Wojsk Lądowych i potrwać 12 miesięcy. Na złożenie dokumentów ochotnicy mają czas do 29 maja 2020 roku.

Szansę na zostanie oficerem mają też cywile z wyższym wykształceniem. Miejsc dla tej grupy kandydatów będzie jednak mniej niż w zeszłym roku, gdy szkolenie rozpoczęło 115 osób. Tym razem na 12-miesięcznych kursach w Akademii Wojsk Lądowych dla cywilów przygotowano 54 miejsca. W tym przypadku czas na złożenie dokumentów mija 29 maja 2020 roku. PG ■

SZANSE NA ZOSTANIE OFICEREM MAJĄ TEŻ CYWILE Z WYŻSZYM WYKSZTAŁCENIEM

ODSZKODOWANIE

Jako żołnierz zawodowy pełniłem służbę w Wojsku Polskim od 1978 roku do 2017 roku, odszedłem z wojska na własną prośbę. Po upływie niecałych dwóch tygodni znalazłem się na oddziale zakaźnym w szpitalu z rozpoznaniem żółtaczki typu C i od tego momentu do dzisiaj ciągle się leczę. Przed odejściem do cywila w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy byłem leczony w szpitalu wojskowym. Jeżeli rozwój żółtaczki następuje około 40 dni od daty zarażenia, to mogę uznać, że zostałem zarażony jako żołnierz zawodowy. Na komisji wojskowej nie zostało to uwzględnione oraz nie otrzymałem odpowiedniego odszkodowania. Chciałbym się dowiedzieć, czy mogę się starać o takie odszkodowanie oraz stanąć przed komisją w celu otrzymania określonej grupy inwalidzkiej?

→ **Tak.** Zgodnie z art. 19 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin z 10 grudnia 1993 roku ze zmianami renta inwalidzka przysługuje żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej, który stał się inwalidą wskutek stałego lub długotrwałego naruszenia sprawności organizmu: w czasie pełnienia służby albo w ciągu trzech lat po zwolnieniu ze służby, jeżeli inwalidztwo jest następstwem urazów doznanych w czasie pełnienia służby lub chorób powstałych w tym czasie; w ciągu trzech lat po zwolnieniu ze służby wojskowej, jeżeli inwalidztwo jest następstwem wypadku pozostającego w związku z pełnieniem czynnej służby wojskowej albo choroby powstałej w związku ze szczególnymi właściwościami lub warunkami służby wojskowej.

Mając na uwadze regulacje prawne, w odniesieniu do podanego przez autora zapytania stanu faktycznego, należy stwierdzić, że nie upłynęły jeszcze trzy lata od dnia zwolnienia ze służby. Ponadto, każdorazowo sąd za pomocą środków dowodowych w postaci opinii biegłych sądowych dokonuje ustaleń, kiedy pojawiły się pierwsze objawy kliniczne schorzenia i na tej podstawie ustala również okres, od którego są uzależnione terminy przedawnienia. W odpowiedzi na pytanie autora o prawo do uzyskania jednorazowego odszkodowania z tytułu choroby powstałej na skutek zakażenia, do którego mogło dojść w czasie pełnienia zawodowej służby wojskowej, należy

stwierdzić, że zainteresowany również może się starać o jego uzyskanie. W tym celu musi złożyć pisemny wniosek do szefa wojewódzkiego sztabu wojskowego właściwego dla miejsca stacjonowania jednostki wojskowej, w której ostatnio pełnił służbę żołnierz zawodowy. Szef WSzW ma obowiązek skierować zainteresowanego do właściwej komisji lekarskiej w celu ustalenia, czy uszczerbek na zdrowiu jest następstwem choroby powstałej w związku ze szczególnymi właściwościami lub warunkami służby wojskowej oraz stopnia tego uszczerbku. Ta zaś po przeprowadzeniu wymaganych badań wydaje orzeczenie, od którego przysługuje prawo wniesienia odwołania do instancji wyższej, w tym wypadku Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej w Warszawie. Niezależnie od regulacji zawartych w art. 15 ustawy o świadczeniach odszkodowawczych, w ocenie Trybunału Konstytucyjnego z 24 kwietnia 2002 roku P. 5/2001 (DzU 2002, nr 78, poz. 713, opublikowanego 19 czerwca 2002 roku, OTK ZU 2002/3A, poz. 28) „roszczenia z tytułu chorób zawodowych nie ulegają przedawnieniu i mają charakter gwarancyjny”. Podobne stanowisko wielokrotnie przedstawiał Sąd Najwyższy, m.in. w wyroku Sądu Najwyższego – Izby Administracyjnej, Pracy i Ubezpieczeń Społecznych z 4 września 1997 roku, II UKN 215/97, w wyroku Sądu Najwyższego – Izby Pracy, Ubezpieczeń Społecznych i Spraw Publicznych z 8 sierpnia 2007 roku, II UK 23/07. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egida

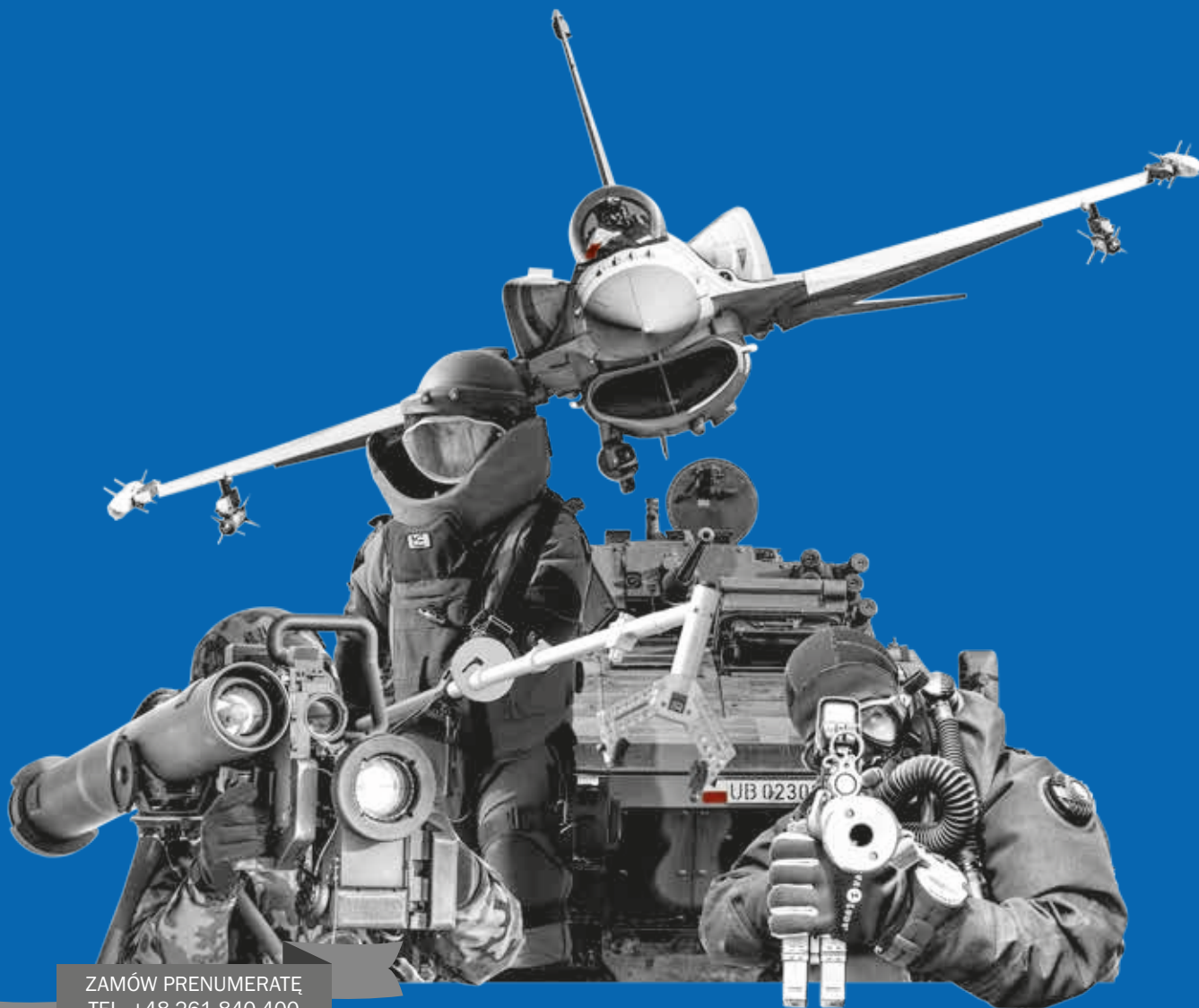
Podstawa prawna: ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin z 10 grudnia 1993 roku (DzU 1994, nr 10, poz. 36), tekst jednolity z 17 stycznia 2019 roku (DzU 2019, poz. 289 ze zm.) – art. 19 pkt 1–3; ustawa o świadczeniach odszkodowawczych przysługujących w razie wypadków i chorób pozostających w związku ze służbą wojskową z 11 kwietnia 2003 roku (DzU nr 83, poz. 760), tekst jednolity z 28 września 2017 roku (DzU 2017, poz. 1950) – art. 1, art. 6 oraz art. 15 ust. 1 pkt 2; rozporządzenie MON w sprawie postępowania w razie wypadku lub ujawnienia choroby, pozostających w związku z pełnieniem czynnej służby wojskowej z 15 września 2003 roku (DzU nr 175, poz. 1707), tekst jednolity z 21 maja 2014 roku (DzU 2014, poz. 1083) – § 1 pkt 2, § 18 pkt 2 oraz § 24.

Orzecnictwo: Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 24 kwietnia 2002 roku P. 5/2001 (DzU 2002, nr 78, poz. 713, opublikowany 19 czerwca 2002 roku, OTK ZU 2002/3A, poz. 28; wyrok Sądu Najwyższego – Izby Administracyjnej, Pracy i Ubezpieczeń Społecznych z 4 września 1997 roku, II UKN 215/97; wyrok Sądu Najwyższego – Izby Pracy, Ubezpieczeń Społecznych i Spraw Publicznych z 8 sierpnia 2007 roku, II UK 23/07.

POLSKA-ZBROJNA.PL

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

| WOJSKO
| POLSKIE |

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

SPOKÓJ NIEŚMIERTELNIKA

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

Pogrążonej w żałobie i smutku z powodu śmierci

Taty

Pani Annie Gawlas

z Zarządu Dochodzeniowo-Śledczego
szczerze wyrazy współczucia i kondolencje
składają komendant główny, żołnierze i pracownicy
Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Taty

Panu ppłk. Kazimierzowi Mączce

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Warszawie.

Naszemu Koledze

chor. Ireneuszowi Streckerowi

wyrazy głębokiego żalu, szczerego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach po stracie

Taty

składają koleżanki i koledzy
z Wydziału Personalnego (G-1)
Dowództwa 11 Dywizji Kawalerii Pancernej.

Pogrążonej w żałobie i smutku

Pani Renacie Zawilińskiej

wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy
z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy
z Dowództwa Operacyjnego RSZ.

Szczerze kondolencje i wyrazy współczucia

gen. dyw. pil. Sławomirowi Kałuzińskiemu

z powodu śmierci

Mamy

składają dyrekcja oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych MON.

wyrazy głębokiego współczucia,

a także szczerze kondolencje

z powodu śmierci

Ojca

składają kadra oraz pracownicy
Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

**Pani Magdalenie Sołtysiak
oraz Jej Rodzinie i Najbliższym**

szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają kierownictwo, żołnierze i pracownicy
Departamentu Kadr MON.

Wyrazy szczerego współczucia

Panu Mariuszowi Wandachowiczowi

w trudnych chwilach po śmierci

Taty

składają kadra i pracownicy
Szefostwa Techniki Morskiej IWsp SZ w Gdyni.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci

Taty

**chor. Piotrowi Łapie
oraz Rodzinie i Bliskim**

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
8 Bazy Lotnictwa Transportowego
w Krakowie-Balicach.

**Panu mjr. dypl. SZRP Grzegorzowi Wolnemu
wraz z Rodziną**

słowa wsparcia oraz głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają koleżanka i koledzy
z Podyplomowych Studiów Operacyjno-Taktycznych
2017–2019
w Akademii Sztuki Wojennej.

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci

Taty

**mł. chor. Wojciechowi Drażkowi
oraz Rodzinie i Bliskim**

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
8 Bazy Lotnictwa Transportowego
w Krakowie-Balicach.

Szczerze kondolencje i wyrazy współczucia

Pani Aleksandrze Madalińskiej

z powodu śmierci

Syna

składają żołnierze i pracownicy
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu ppłk. Jerzemu Tomaszewskiemu
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Brata

składają szef, kadra i pracownicy
Rejonowego Zarządu Infrastruktury
w Zielonej Górze.

Panu mł. chor. Wojciechowi Jorasowi
wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Taty

składa dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
płk Dariusz Krzywdziński
wraz z podległą kadram i pracownikami
resortu obrony narodowej.

**Panu st. chor. szt. Dariuszowi Bastowi
oraz Jego Rodzinie**

szczerze kondolencje,
a także wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Regionalnego Centrum Informatyki Warszawa.

Panu st. chor. szt. Jacentemu Bębnowi
wyrazy głębokiego współczucia i szczerzego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Wydziału Materiałowego 3 Regionalnej
Bazy Logistycznej w Krakowie.

**Rodzinie zmarłego
st. szer. Jarosława Czajki,**

żołnierza 2 Mazowieckiego Pułku Saperów,
wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
2 Mazowieckiego Pułku Saperów.

Z wielkim żalem żegnamy naszego
Przełożonego i Wychowawcę
płk. prof. dr. hab. Władysława Filara.
Najbliższym

serdeczne wyrazy współczucia
składają Jego podwładni
z byłego Centrum Informatyki
Akademii Obrony Narodowej.

Z żalem zawiadamiamy,
że 10 sierpnia 2019 roku
zmarł w wieku 67 lat
ppłk w st. spocz. mgr inż. Bogdan Berent.

Koledzy i przyjaciele

Głębokim smutkiem napeliła nas
wiadomość o śmierci
szer. Łukasza Kwieciaka.
Jego Rodzinie i Najbliższym
składamy wyrazy szczerego współczucia
i słowa otuchy w tych trudnych chwilach.

Dowódca, żołnierze i pracownicy RON
6 Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych
w Śremie

„Wszystko umiera,
tylko pamięć dobrych uczynków nie ginie”.
Napoleon I

Z głębokim smutkiem i olbrzymim żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
płk. rez. Jana Kosztowniaka,
wieloletniego komendanta Centrum Szkolenia Specjalistów
Wojsk Rakietowych w Bemowie Piskim, wychowawcy całej
rzeszy przeciwlotników, wyjątkowego człowieka, dla
którego służba Ojczyźnie zawsze była najważniejsza i na
którego pomoc zawsze mogliśmy liczyć. Zmarły na zawsze
pozostanie w naszych sercach jako wspaniały i prawy
człowiek oraz znakomity oficer.
Szczere wyrazy współczucia, głębokiego żalu
oraz słowa otuchy w tych trudnych chwilach
Małżonce Wandzie
oraz Dzieciom i Najbliższej Rodzinie
składają ci, którzy mieli zaszczyt spotkać
Pana Pułkownika na swojej drodze.



Pamiętamy

st. chor. Sylwester Dominik Janik
2 września 2013 roku
PKW Afganistan

sierż. Marcin Poręba
4 września 2009 roku
PKW Afganistan

st. chor. Władysław Wojciechowski
5 września 1989 roku
UNTAG Namibia

st. chor. Ryszard Zalewski
5 września 1989 roku
UNTAG Namibia

st. chor. sztab. Jan Franciszek Boleszczyk
5 września 1989 roku
UNTAG Namibia

kpr. Artur Pyc
8 września 2009 roku
PKW Afganistan

kpr. Piotr Marciniak
10 września 2009 roku
PKW Afganistan

por. Piotr Mazurek
12 września 2004 roku
PKW Irak

kpr. Grzegorz Nosek
12 września 2004 roku
PKW Irak

por. Daniel Różyński
12 września 2004 roku
PKW Irak

st. chor. Rafał Celebudzki
16 września 2014 roku
PKW Afganistan

chor. Kazimierz Kajszyk
20 września 1991 roku
UNDOF Syria

płk Bogdan Reczek
21 września 1977 roku
UNEF II Egipt

chor. Kazimierz Kasprzak
27 września 2010 roku
PKW Afganistan

szer. Józef Zupański
28 września 1994 roku
UNDOF Syria

POLSKA-ZBROJNA.PL

HISTORIA POLSKA ZBROJNA

MAGAZYN O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

|WOJSKO|
|POLSKIE|

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna



WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

POLECAMY

„Cieszymy się, że żyjemy w pokoju i **nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią**”, mówi Kazimierz Piechowski, jeden z bohaterów tej książki. Oddaliśmy głos tym, którzy przeszli piekło wojny i zdecydowali się o tym opowiedzieć w szczerych, poruszających rozmowach.



KSIĄŻKĘ ZAMÓWISZ NA

sklep.polska-zbrojna.pl 

DARMOVA PRZESYŁKA

